

Matthew Eden

Ostatni dokument Hessa

Tytuł oryginału: Document of the Last Nazi

Wtorek 26 kwietnia 1977

Rozdział 1

Padał ciepły, drobny deszcz. Krople wody zwisały z zardzewiałych, kolczastych drutów ogrodzenia okalającego stare więzienie przy Wilhelmstrasse. Ponad wysokim murem, w połyskującym czystością hełmie, stał żołnierz amerykańskiej piechoty, chowając się przed zacinającym deszczem pod daszkiem na szczycie strażniczej wieży. Obserwował ciemną od wilgoci jezdnię na zewnątrz więzienia i lśniące dachy przyjeżdżających samochodów.

Od deszczu zaczerniał także „pas śmierci” - goła, ubita ziemia między murem a drutami kolczastymi. Tam też znajdowało się jeszcze jedno ogrodzenie, które od trzydziestu lat strzegło więzienia Spandau, zakończone cienkimi, nieizolowanymi przewodami pod napięciem czterech tysięcy woltów. W tym okresie nikt niepowołany nie próbował wdrzeć się do środka, ani z własnej woli przedwcześnie wyjść na wolność. Przez te wszystkie lata, co miesiąc zmieniali się wartownicy, pierwsi byli żołnierze brytyjscy, po nich francuscy, rosyjscy, następnie Amerykanie, potem znowu Brytyjczycy i tak dalej - zawsze w tej samej kolejności. Natomiast czterech dyrektorów więzienia oraz podlegający im strażnicy - obywatele czterech zwycięskich mocarstw koalicji antyhitlerowskiej - pozostawali w więzieniu bez zmian. Wszyscy oni pilnowali przywódców faszystowskich Niemiec, którzy trafili do Spandau po procesach zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Na początku było siedmiu więźniów, a teraz - od wielu już lat - tylko jeden.

Wartownik przeszedł na drugą stronę wieży i spojrzął na podwórze. Ze swojego posterunku widział kawałek ogrodu, który niknął za zabudowaniami z czerwonej cegły. Ciemnozielone liście drzew błyszczały od spływającej po nich wody. Kwiatowe klomby i krzewy owocowe w ogrodzie wyglądały na zaniedbane, jakby od wielu lat nikt ich nie pielęgnował. Wzdłuż piaszczystych alejek wyrosła wysoka trawa i chwasty.

Żołnierz nie miał pojęcia, dlaczego więzienie było tak pilnie strzeżone, skoro przebywał w nim tylko jeden skazany - stary Rudolf Hess. Wartownik usłyszał o nim po raz pierwszy dopiero w zeszłym roku, kiedy to został przeniesiony do Berlina i wcielony do kompanii pełniącej służbę w Spandau. Ten miesiąc był drugim, w czasie którego strzegł więzienia, i zaczynał mieć już dość męczącej bezczynności. A ów starzec spędził tu trzydzieści lat! „Zamknęli go dziewięć lat przed moim urodzeniem”, pomyślał wartownik. Myślał o tym za każdym razem, gdy obejmował posterunek na wieży, i ciągle nie mógł tego pojąć. Hess był zastępcą Adolfa Hitlera i w tamtych czasach ten fakt miał swoją wymowę. Ale teraz, kiedy pojawiał się w ogrodzie, nie było w nim niczego szczególnego. Ot, przygarbiony staruszek o siwych włosach, spacerujący z założonymi do tyłu rękami. Obserwując go, wartownik zawsze był ciekaw, co też on może myśleć, po tych trzydziestu latach. Jeśli w ogóle o czymś myślał, wszyscy mówili bowiem, że postradał zmysły. Dzisiaj były jego urodziny - kończył osiemdziesiąt trzy lata. Boże. Żołnierz uważał trzymanie Hessa w więzieniu za jakieś wielkie nieporozumienie. To przecież nie miało sensu.

Z Wilhelmstrasse na krótką drogę do więzienia skręcił ambulans armii amerykańskiej. Wartownik, wracając na swój poprzedni punkt obserwacyjny, zauważył go zanim ten zniknął za murem. Stojący tam drugi żołnierz również go spostrzegł.

Wysoka zielona brama została otwarta. Postukując wycieraczkami ambulans ruszył po kocich łbach i zatrzymał się przed budynkiem administracyjnym. Z karetki wyskoczyli kierowca oraz żołnierz, po czym obaj szybko wbiegli po kamiennych schodach do wejścia i zniknęli we wnętrzu. Z drugiej strony dziedzińca nadjechał czarny, czterodrzwiowy mercedes i stanął za ambulansem.

Wojskowy kierowca wysiadł i stanął obok samochodu, chowając głowę w ramionach okrytych nieprzemakalną peleryną. Nasunawszy czapkę na czoło, obserwował drzwi u szczytu schodów. Kiedy się otworzyły, wyszło z nich czterech mężczyzn w cywilnych ubraniach, każdy z nich był wojskowym pułkownikiem i dyrektorem więzienia: Amerykanin, Rosjanin, Anglik oraz Francuz. Na ich twarzach malowało się napięcie.

Kierowca wyprężył się na baczność, zsalutował i otworzył tylne drzwi limuzyny. Rosjanin, Anglik i Francuz wsiedli do auta.

- Usiądę z przodu - powiedział pułkownik amerykański.

- Tak jest, sir. - Kierowca zatrzasnął tylne drzwi i otworzył przednie dla swojego przełożonego.

Warta pilnująca wjazdu uformowała się w szereg. Gdy czarny mercedes ruszył, ponownie otworzono zieloną, stalową bramę, a stojący przy niej żołnierze sprezentowali broń.

Z ich wypolerowanych hełmów powoli kapały krople deszczowej wody. Samochód wolno przejechał przez bramę, która natychmiast została zamknięta i włączył się do ruchu na Wilhelmstrasse.

Kiedy żołnierze wracali do wartowni, drzwi budynku administracji otworzyły się jeszcze raz. U szczytu schodów pojawili się dwaj mężczyźni z sanitarki ostrożnie niosący przód noszy. Ich drugi koniec podtrzymywali dwaj strażnicy. Nieśli je tak z bloku więziennego, położonego na tyłach gmachu głównego. Obok szedł lekarz z sanitariuszem. Na noszach leżał starzec okryty aż po brodę plastikową płachtą, tak, aby deszcz nie zmoczył jego koca. Gdy schodzili po schodach, lekarz nieustannie obserwował twarz chorego. Była biała, podobnie jego włosy. Jedynie krzaczaste brwi, nad zapadniętymi oczami, zachowały czarny kolor.

Delikatnie wsunęli nosze do ambulansu. Lekarz, sanitariusz oraz strażnicy usiedli obok leżącego. Kiedy tylko zamknęły się drzwi, lekarz odpiął przymocowaną do ścianki sanitarki maskę tlenową i trzymał ją w gotowości, na wypadek gdyby zaszła konieczność użycia jej w drodze do szpitala. Miał jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Już wcześniej - w celi - zrobił co mógł stosując zastrzyki i tlen. Może nie było jeszcze za późno na ratunek, ale przecież pacjent miał już osiemdziesiąt trzy lata. Lekarz modlił się, żeby udało się go ocalić. W przeciwnym wypadku... nie miał pojęcia, co mogło się wydarzyć. Ale z pewnością trzeba będzie za to drogo zapłacić. To było nieuniknione.

Spoza gmachu więzienia wyjechał drugi mercedes i zatrzymawszy się przed bramą czekał na ambulans. W środku było czterech wojskowych, bez czapek i w cywilnych płaszczach okrywających ich mundury. Przy kierownicy siedział sierżant, obok niego kapitan, a z tyłu dwóch szeregowców. Na podłodze, żeby nie rzucały się w oczy, leżały cztery karabiny maszynowe. Ponadto, kapitan i sierżant mieli ukrytą pod płaszczami broń osobistą. Otrzymali rozkaz, aby dyskretnie eskortować sanitarkę z sektora brytyjskiego do szpitala wojskowego w sektorze amerykańskim. Trzeba było uważać. Nikt w Berlinie nie mógł podejrzewać, że Rudolfowi Hessowi coś się stało.

Kapitan siedział na wpół odwrócony patrząc przez tylną szybę na ambulans, który po chwili ruszył.

- Jedziemy, sierzancie - zwrócił się do kierowcy. Mercedes potoczył się wolno po kocich łbach i przejechał przez ponownie otwartą bramę. Ambulans podążył jego śladem. Samochody skręciły na południe w Wilhelmstrasse. Sierżant pewnie i szybko prowadził torując drogę.

Kapitan spojrział do tyłu i stwierdził, że sanitarka podąża za nimi. Żałował, że nie mogli użyć syreny, aby dotrzeć do celu jak najszybciej, ale rozkaz był jasny: nie zwracać na siebie uwagi.

- Niech pan popatrzy, sir - odezwał się sierżant.

Kapitan odwrócił się i popatrzył na drogę przed samochodem. Na północ jechał szybko jeep amerykańskiej żandarmerii, a tuż za nim wojskowa ciężarówka. Kiedy jeep ich mijał, kapitan zobaczył w nim czterech żandarmów siedzących pod szczelnie zapiętym brezentowym dachem. Dwóch następnych siedziało w kabinie ciężarówki, a gdy przejechała, kapitan odwróciwszy się zobaczył, że z tyłu było ich pełno. Siedzieli pod brezentem na ławkach wzdłuż obu burt. Ostatnich dwóch opierało się o tylną barierkę.

- Myśli pan, że jadą do Spandau, sir? - spytał sierżant. Kapitan skinął głową i oparł się wygodniej w swoim fotelu.

- Bez wątplenia. - Ci żandarmii dopilnują, żeby nikt i nic nie wydostało się z terenu więzienia, dopóki nie będzie wiadomo, jak doszło do tego, co przydarzyło się Hessowi.

Rozdział 2

Kiedy zabrzmiał brzęczyk domofonu, Strang był w łazience i wycierał się po wyjściu spod prysznica. Nikogo nie oczekiwał i zawsze prosił, żeby nie przychodzić do niego bez uprzedniej zapowiedzi swojej wizyty przez telefon. Pewnie ktoś na dole wcisnął przypadkowo niewłaściwy guzik, albo też nie będąc lokatorem chciał dostać się do środka i szukał kogoś, kto by go wpuścił. Strang wycierał się dalej.

Sygnal odezwał się ponownie, tym razem dłużej, więc umieścił ręcznik na wieszaku, sięgnął po szlafrok i wkładając go pośpiesznie, poszedł do przedpokoju. Wcisnął guzik domofonu.

- Kto tam? - powiedział do mikrofonu.

- Jack. Przepraszam cię, Phil, ale mam piekielnie ważną sprawę.

- Wejdz. - Drugim przyciskiem otworzył drzwi wejściowe na dole. Czego, do diabła, mógł chcieć Tillman. Nie minęła jeszcze godzina, jak pożegnali się w budynku misji i wtedy jakoś nie miał żadnej ważnej sprawy.

Otworzył drzwi i czekał. W drugim końcu korytarza z windy wysiadł Tillman i Strang od razu dostrzegł, że coś było nie w porządku. Nigdy nie potrafił tego ukryć. Miał pięćdziesiąt dwa lata i wiele rzeczy napawało go niepokojem. Cztery czy pięć lat temu, przed

aferą Watergate i wynikłym z niej dochodzeniem, podczas którego Kongres zabrał się ostro za CIA, był podobno zupełnie innym człowiekiem. Możliwe, ale wtedy Strang go jeszcze nie znał. Lubił Tillmana za poświęcenie, jednak uważał, że jego nadmierne przejmowanie się wszystkim przyprawi go kiedyś o atak serca.

- Mam nadzieję, że w niczym ci nie przeszkodziłem. - Wszedł do mieszkania.

- Nie. Przygotowuję się właśnie do wyjścia na kolację. - Poprowadził go przez hall do pokoju dziennego.

- Obawiam się, że będzie ci musiała wystarczyć kanapka w naszej misji.

- Co się stało?

- Wielka afera w Spandau. Albo Hess próbował popełnić samobójstwo, albo ktoś chciał go w tym wyręczyć.

Strang zatrzymał się w drzwiach.

- Hess? Dlaczego ktoś miałby próbować go zabić?

- Nic jeszcze nie wiem. Śledztwo prowadzi wojsko. Właśnie przyjechał do mnie do domu porucznik żandarmerii i wszystko mi powiedział. Cała sprawa jest trzymana w najściślejszej tajemnicy. Dlatego przyszedłem do ciebie bez uprzedzenia. Nie chciałem rozmawiać o tym przez telefon.

Strang pomyślał, że telefony prawdopodobnie nie były na podsłuchu, ale Tillman wolał nie ryzykować.

- Jak to się stało?

- To musiała być próba samobójstwa.

Hess próbował już tego dwa miesiące temu, podcinając sobie żyły w kilku miejscach. Wczoraj Sowietci dali mu wystarczający powód, żeby spróbował jeszcze raz. Kilka miesięcy temu jego pani adwokat złożyła skierowaną do Moskwy apelację w sprawie zwolnienia - tylko do Moskwy, gdyż Zachód od wielu już lat gotów był wypuścić go na wolność. Wczoraj, w przeddzień jego urodzin, Moskwa odrzuciła apelację. Tego ranka pisała o tym szeroko cała prasa, nie tyle o samej odmowie, która i tak była spodziewana, ile o momencie przekazania jej do wiadomości. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Prasa pisała o podarunku urodzinowym z Moskwy.

- Kiedy to się stało?

- W czasie lunchu. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego wojsko powiadomiło nas dopiero teraz. Ubierz się, Pia! Chciałbym, żebyśmy jak najszybciej pojechali do misji.

- Będę gotowy za dwie minuty.

Szybko przeszedł przez pokój i zniknął w sypialni. Dlaczego Hess usiłował ze sobą skończyć, po tylu latach spędzonych w Spandau? Wydawało się, że już dawno pogodził się ze swoim losem. Odmowne załatwienie apelacji również nie było dla niego niespodzianką, bo wydarzyło się już trzy czy cztery razy w przeszłości. Moskwa niezmiennie dawała tę samą, odmowną odpowiedź. Może jednak ta wczorajsza uświadomiła mu, że Rosjanie wciąż go nienawidzą i nigdy nie zgodzą się na jego zwolnienie?

- W jakim on jest stanie, Jack? - zawołał Strang zapinając koszulę.

- Nie wiem. - Tillman stanął w drzwiach. - Leży w szpitalu wojskowym. Ze względu na wiek, nie jest z nim chyba dobrze.

- To prawda. - Strang miał już na sobie rozszerzane, sztruksowe spodnie beżowego koloru. Wyciągnął z szafy żółtą apaszkę i wetknął sobie pod niebieską koszulę. Prawie nigdy nie nosił krawatów. Lubił ubierać się swobodnie, gdyż wtedy czuł się znacznie lepiej.

- Co mam dla ciebie zrobić?

- Chciałbym, żebyś zbadał tę sprawę. Wojsko obiecało udzielić nam wszelkiej możliwej pomocy. Zdają sobie sprawę, że jeśli on umrze, będzie to miało poważne następstwa polityczne. Bóg raczy wiedzieć, jak zareagowałyby na to Moskwa.

- Prawda. Ale w tej chwili nie mamy na to wpływu, Jack. Hess może umrzeć stawiając nas wobec faktu dokonanego.

W lutym udało im się pozszywać go bardzo szybko i nie było groźby utraty życia. Jednak ile takich szoków mógł znieść organizm starca?

Tillman nie odezwał się. Strang wyjął z szafy brązową, zamszową marynarkę.

- Chodźmy. - Kiedy szli w stronę wyjścia, nałożył marynarkę, podwinął jej rękawy i wywinął na nie mankiety koszuli.

Deszcz przestał już padać. Przed blokiem, w powietrzu unosił się zapach wilgotnej trawy. Mercury Tillmana stał zaparkowany na łukowatym podjeździe do budynku, który był nowoczesnym wieżowcem w dzielnicy Zehlendorf, położonym o dwa kilometry od amerykańskiej misji. Strang zwykle chodził tam piechotą, a samochodu używał tylko wtedy, gdy wskazany był pośpiech. Jazda przez miasto i stanie w korkach nie należały do przyjemności. Poruszając się na własnych nogach miał większe poczucie wolności i swobody.

- Czy znasz pułkownika Goodblooda? - Rozglądając się uważnie w prawo i lewo Tillman wyjechał na ulicę.

- Nie. Ale wiem, kim jest.

Goodblood był komendantem żandarmerii amerykańskiego garnizonu w Berlinie. Przebywając w Berlinie od dwóch lat, Strang nie poznał zbyt wielu ludzi z misji, poza swoimi

współpracownikami z CIA. Z pozostałymi mógłby się poznać jedynie przy okazji spotkań towarzyskich i przyjęć, ale rzadko bywał na tego typu imprezach. Większość czasu spędzał w towarzystwie Berlińczyków, głównie jego agentów albo ludzi, których miał nadzieję zwerbować. Spotykał się również z funkcjonariuszami zachodniemieckiej służby bezpieczeństwa.

- W każdym razie, on cię oczekuje. Powiedziałem żandarmerii, że z ramienia naszej instytucji ty będziesz prowadził tę sprawę.

- A co ty zamierzasz zrobić, Jack?

- Powiadomię o wszystkim Langley.

- Może zaczekamy z tym godzinę lub dwie, aż będziemy więcej wiedzieli.

Tillman odwrócił się w jego stronę.

- Ale ja nie chcę, do cholery, czekać jeszcze godzinę lub dwie!

Strang popatrzył na niego uważnie, po czym odwrócił głowę do okna. W samochodzie zapanowało milczenie. Tillman, mocno skoncentrowany na prowadzeniu pojazdu, odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

- Przepraszam cię, Phil.

- Nie przejmuj się. Masz tyle lat, że mógłbyś być moim ojcem, a to daje ci prawo do krzyku.

- Przecież nie jestem aż taki stary.

- Pewnie, że nie.

Strang odetchnął z ulgą słysząc jego zduszony śmiech. Napięcie trochę spadło, ale gdyby Hess zmarł, zrobiłoby się prawdziwe piekło. Tillman miał rację.

Dużo zależało w tej chwili od samego Hessa. Bardzo dużo. Może wojna albo pokój w Europie. Niewiarygodne, ale tak właśnie było. Żołnierze strzegący Spandau, byli ostatnim widocznym symbolem antyhitlerowskiej koalicji Rosji i krajów zachodnich, symbolem porozumienia czterech mocarstw w sprawie okupacji Niemiec i Berlina po zakończeniu wojny. Na podstawie traktatu, wojska amerykańskie, radzieckie, brytyjskie oraz francuskie wspólnie sprawowały kontrolę nad miastem i miały wstęp do każdej jego części. Ta sytuacja nie trwała jednak długo. Trzy lata po wojnie Rosjanie odizolowali Berlin Wschodni, ale sami nieustępliwie egzekwowali należne im prawo do wysyłania swoich uzbrojonych oddziałów przez Bramę Brandenburską na stronę zachodnią. Robili to co cztery miesiące, kiedy przychodziła ich kolej na objęcie warty w Spandau. Od jedenastu lat przebywał tam tylko osiadając dożywocie stary Rudolf Hess. Rosjanie nigdy nie wyrazili zgody na jego zwolnienie, nawet w sześćdziesiątym szóstym, kiedy Speer i Schirach po odbyciu kary

dwudziestu lat więzienia wyszli na wolność. Zachód gotów był wtedy uwolnić także Hessa, Moskwa nie wyraziła jednak zgody, argumentując, że był on zastępcą Hitlera czyli jednym z największych zbrodniarzy. Jednak prawdziwym powodem była dla nich możliwość wysyłania swoich żołnierzy do zachodniej części miasta, co wynikało z ustaleń traktatu. Z pewnością nienawidzili Hessa jako hitlerowca, ale ich stanowisko miało podłoże polityczne. Kiedyś nawet stwierdzili, że po jego śmierci chcą utrzymać kontrolę czterech mocarstw nad Spandau na dotychczasowych zasadach.

Jaka byłaby jednak reakcja Moskwy, gdyby Hess zmarł teraz? Zachód nigdy nie nalegał na utrzymanie swoich praw do Berlina. Rezygnowali z nich powoli na rzecz Rosjan, którzy wymuszali to stosując blokadę i wznosząc Mur Berliński. Nigdy nie napotkali na fizyczny opór dawnych sojuszników. A jeśli Moskwa zażąda teraz, aby mocarstwa dalej strzegły pustego więzienia? Czy Zachód zgodzi się również na to? A w przypadku, gdyby takiej zgody nie było, czy spróbują powstrzymać Rosjan? Może wtedy nastąpiłby atak i Moskwa siłą wzięłaby Berlin Zachodni, czym wielokrotnie już groziła w czasie poprzednich kryzysów? Oznaczałoby to wojnę. Waszyngton zbyt wiele razy gwarantował bezpieczeństwo zachodniej części miasta, żeby się teraz wycofać. To było niemożliwe. Gdyby Moskwa przejęła ją bez walki, następne byłyby Zachodnie Niemcy. Sprawa mogła więc mieć bardzo poważne następstwa i Tillman miał powody do zdenerwowania. Wszystko wisiało dosłownie na cienkiej nitce życia starego Rudolfa Hessa.

Byli już na ruchliwej Clayallee i z daleka Strang dostrzegł, że mimo wieczornej pory w wielu oknach misji paliło się światło. Sporo osób musiało dziś zostać po godzinach.

Przy bramie pokazali strażnikowi swoje legitymacje, po czym Tillman wjechał na teren misji i stanął obok głównego budynku. Weszli do środka i skierowali się do windy.

- Będę w swoim biurze - oznajmił Tillman. - Wpadnij, to powiesz mi, jak ci poszło z Goodbloodem.

- Przyjdę od razu po rozmowie.

Tillman wysiadł na drugim piętrze, gdzie mieściła się sekcja polityczna, stanowiąca przykrywkę dla CIA w Berlinie Zachodnim. Oficjalnie Tillman był szefem tej sekcji; nieoficjalnie pełnił funkcję szefa komórki CIA.

Strang patrzył na zamykające się drzwi windy i czekał, aż otworzą się ponownie na trzecim piętrze.

Rozdział 3

Na powitanie Goodblood uściśnął mu dłoń i zacisnąwszy usta nieznacznie się uśmiechnął. Żółta apaszka i rozszerzane spodnie Stranga nie przypadły mu do gustu, co zresztą nie było odosobnioną reakcją. Jego styl odrzucał wielu ludzi, którzy oczekiwali trzyczęściowego garnituru w prążki. Z powodu jego niedbałego wyglądu, często był traktowany niezupełnie poważnie. Nikt jakoś nie zauważył, że apaszka była zawiązana bardzo starannie, a samo ubranie utrzymane w schludnym stanie. Dopiero po pewnym czasie spostrzegano, że nie należało go lekceważyć. Dawało mu to pewną przewagę.

- Proszę usiąść, panie Strang. Przekażę panu wszelkie informacje o tej sprawie.

Strang usiadł na drewnianym krześle z prostym oparciem i patrzył, jak wyprostowany Goodblood obszedł biurko. Zauważył, że jego pantofle miały bardzo wysokie koturny, ale nawet one nie nadawały mu wzrostu wyższego niż średni. Strang przewyższał go o głowę.

Na czarnym, wypolerowanym biurku leżał szeroki, zielony bibularz i podstawka z wetkniętymi w nią dwoma piórami, a obok - zamknięta teczka. Z tyłu, za obrotowym fotelem Goodblooda, stała amerykańska flaga oraz sztandar jednostki.

- W jakim stanie znajduje się teraz Hess, panie pułkowniku?

- Personel medyczny naszego szpitala prowadzi intensywną terapię. Nie wiem, jakim cudem on jeszcze nie umarł, ale trzyma się przy życiu. Twardy człowiek. Lata spędzone w więziennym reżimie chyba go uodporniły. - Siedząc wyprostowany w swoim fotelu Goodblood oparł lekko zaciśnięte dłonie na bibularzu.

- Mam nadzieję.

Goodblood nabrał pewności, iż Strang rozumiał wagę sprawy.

- Niech mi pan wierzy, że ja również.

- Czy wiadomo już, co to było? Próba samobójstwa czy morderstwo?

- Jeszcze za wcześnie na kategoryczną odpowiedź. - Goodblood wsunął palec pod okulary w drucianej oprawie i przetarł oko. - W więzieniu jest teraz pełno moich ludzi w cywilnych ubraniach. Dowiemy się jak to było, choćbyśmy mieli rozłożyć wszystko i wszystkim na pojedyncze atomy.

- O ile wiem, to stało się w porze lunchu, prawda?

- Zgadza się. Ze względu na urodziny, pozwolono mu wybrać dowolne menu na cały dzień. Stary Hess lubi owoce. - W głosie Goodblooda zabrzmiały ciepłe tony, rysy twarzy jakby złagodniały i usta nie zaciskały się już tak mocno.

- W ogrodzie więziennym rosną wiśnie i maliny. Dojrzewają w lipcu, miesiącu w którym kontrolę nad Spandau mają Rosjanie. Od wielu lat Hess skarżył się, że ich żołnierze

wchodzą do ogrodu i ogoławają go ze wszystkich owoców, zanim on zdoła cokolwiek uszczknąć dla siebie. Są zupełnie jak plaga szarańczy. - Pokręcił głową. - No więc lubi owoce i poprosił o placek z morelami. Upieczono mu go i dostał na deser dość duży kawałek.

Goodblood wziął teczkę. Otwierając oparł o bibularz.

- Mam tutaj raport. - Padając z sufitowej lampy światło odbijało się w oprawce jego okularów. Pochylił głowę nad kartką. - Dwóch strażników pełniących służbę na korytarzu, Amerykanin i Rosjanin, usłyszało jego pojękiwania. Wbiegli do celi i znaleźli go leżącego na pryczy. Miał podkurczone kolana i trzymał się za brzuch. Zaraz potem stracił przytomność. Wezwali pełniącego służbę lekarza wojskowego, którym był oficer amerykański. Jak tylko wbiegł do celi i pochylił się nad Hessem, poczuł zapach jego oddechu.

- Co to było?

- Cyjanek. Pachnie jak gorzkie migdały.

- Boże!

- Tak. Lekarz wstrzyknął mu azotyn sodowy i tiosiarczan sodowy, podał też tlen. W tym samym czasie cywilny lekarz amerykański, pełniący w tym miesiącu dyżury w więzieniu, zawiadomił szpital wojskowy, żeby przygotował się na przyjęcie tego nagłego wypadku.

- Czy cyjanek był w placku?

- Tylko w kawałku jedzonym przez Hessa. Spożył ponad połowę porcji, ale dokonaliśmy analizy pozostawionej przez niego resztki. Była nim naszpikowana.

- A reszta tego placka?

- Paru ludzi w kuchni próbowało go i nic im się nie stało. Tę część również poddaliśmy analizie, ale nic w niej nie było. Tylko w kawałku Hessa.

- Mógł więc sam nafaszerować swoją porcję.

Goodblood zamknął teczkę i odsunął ją na bok.

- Mógł. Doskonale go rozumiem. - Siedział wyprostowany wpatrując się w Stranga spoza swoich okularów. Czekał na jego reakcję.

- Ma pan na myśli fakt, że Moskwa odrzuciła jego apelację?

- Oczywiście. Ten człowiek ma osiemdziesiąt trzy lata, z czego ostatnie trzydzieści spędził w celi, a te rosyjskie dranie wciąż próbują go złamać. - W głosie Goodblooda zabrzmiała gorycz. - Zapewne nie czyta pan niemieckich gazet, ale oni...

- Czytuję je codziennie, panie pułkowniku. - Nie wiedział, co było bardziej niezwykle: umiejętność Goodblooda czytania po niemiecku, czy też przypuszczenie, że on, Strang, nie zna tego języka. - Czytałem dziś rano, co prasa napisała o Moskwie.

Po raz pierwszy Goodblood spojrzał na niego przyjaźnie.

- Pan też zna niemiecki?

Strang kiwnął głową. Goodblood uśmiechnął się.

- Już od dość dawna nie stykam się tutaj z pracownikami CIA, ale trzy czy cztery lata temu miałem służbowe kontakty z dwoma takimi, którzy razem nie znali chyba więcej niż dwudziestu niemieckich słów. Bóg jeden wie, jak mogli działać na tym terenie.

- A ja jestem tutaj od dwóch lat, przedtem trzy lata spędziłem w Bonn i również nie spotkałem wielu oficerów armii amerykańskiej, mówiących po niemiecku.

- Ma pan rację. Nie będę się z panem o to spierał. Za mało naszych ludzi zbliża się do mieszkańców na tyle, żeby nauczyć się języka. Ten błąd popełniamy zresztą w każdym kraju. Osobiście uwielbiam niemiecki, mam dużo szacunku dla Niemców. Są twardzi, pracowici i nigdy się nie załamują. Spędziłem w tym kraju już osiem lat, ale Bóg mi świadkiem, że wcale nie mam ochoty kiedykolwiek stąd wyjechać. - Goodblood wpadł w dobry humor. - Czy nie sprawi panu różnicy, jeśli przejdziemy na niemiecki?

- Najmniejszej. - Strang wiedział, że to ułatwi mu rozmowę. Lody zostaną przełamane o wiele szybciej.

- Das ist wunderbar! - Goodblood wstał, pokazując ręką w bok. - Tam będzie nam wygodniej.

Przy ścianie stała kanapa obita brązową skórą oraz także dwa fotele. Między nimi znajdował się mały stolik.

Strang usiadł w jednym z foteli, a Goodblood na brzegu kanapy. Ostrożnie założył nogę na nogę, żeby nie pognieść kantów swoich mocno wyprasowanych spodni.

- Czy to możliwe że Hess posiadał cyjanek? - spytał Strang po niemiecku.

- Owszem, panie Strang. Tego nie da się wykluczyć.

- Kim była ostatnia z odwiedzających go osób?

- Nic z tego. - Goodblood pokręcił głową. - Nikt z odwiedzających nie mógł tego zrobić. Hessowi przysługuje jedno półgodzinne widzenie na miesiąc. Gościowi nie wolno wchodzić w żaden fizyczny kontakt z więźniem, nawet ucisnąć mu dłoni, nie mówiąc już o wręczeniu czegokolwiek. Przebieg wizyty obserwuje non stop dwóch strażników, nie mógł więc otrzymać cyjanku w czasie widzenia.

- Sugeruje pan, że zrobił to ktoś na stałe przebywający w więzieniu, na przykład strażnik?

- Możliwe. Spandau zawsze było miejscem bardzo dokładnie strzeżonym. Chcieliśmy nieco rozluźnić panujące tam rygory, ale Rosjanie nigdy nie wyrazili na to zgody. Kontrola jest więc bardzo ścisła, ale mimo to ktoś mógł mu przekazać ten cyjanek. Kiedy jeszcze

przebywał tam Albert Speer, udało mu się namówić kogoś ze służby więziennej do przeszmyglowania poza mury manuskryptu całej książki. Większość strażników oraz pozostałego personelu, administracyjnego, kuchennego, sprzątaczy i innych pracuje tam od wielu lat. Wyłączywszy Rosjan, wszyscy przeważnie bardzo współczują doli Hessa. Ja zresztą również. Gdyby wyznał któremuś z nich, że chce ze sobą skończyć, na pewno otrzymałby jakąś pomoc. Właśnie tę ewentualność teraz badamy.

- Ilu ludzi łącznie jest teraz w Spandau?

- Około czterdziestu wojskowych wartowników, którymi w tym miesiącu są nasi chłopcy, czterech dyrektorów, ze trzydziestu strażników oraz mniej więcej dwadzieścia osób dodatkowej obsługi. Ci ostatni są obywatelami krajów które były neutralne w czasie wojny, lub też zostali przesiedleni po jej zakończeniu. Razem będzie około setki ludzi. Wszyscy zostaną przesłuchani, z wyjątkiem Rosjan. Ich przełożeni nie wyrażni na to zgody.

- Niemożliwe.

- Przeciwnie. Powiedzieli, że sami to zrobią.

- No nie!

- Owszem. Ostatnie z nich skurczybyki. - Goodblood potarł oko. - Poszliśmy na to, pod warunkiem, że będą przesłuchiwanie osobiście przez ich własnego dyrektora. Przyjęli już do wiadomości, że nie wpuszczymy do Spandau nikogo z KGB. Rozpoczęliśmy badania od personelu cywilnego. Ludzie ci mieszkają poza terenem więzienia i nie chcieliśmy przetrzymywać ich do późna. Teoretycznie mamy prawo zatrzymać ich tam do czasu, aż przekonają nas, że nic nie wiedzą, ale zależy nam na ich pełnej współpracy. Gdyby któryś z nich zdenerwował się takim traktowaniem i opowiedział o wszystkim prasie... - Goodblood pokręcił głową. - Nie można do tego dopuścić.

Prasa narobiła dużo hałasu po lutowej próbie samobójstwa. Gdyby obecna afera również przedostała się do mediów, opinia publiczna w Niemczech i na Zachodzie nacisnęłaby mocno na rządy w Waszyngtonie, Londynie i Paryżu, żeby uwolniły Hessa, nawet jeśli został mu tylko jeden dzień życia. Ale Rosjanie nigdy nie ustąpią i wówczas sytuacja może wymknąć się spod kontroli.

- Czy można zaufać tym cywilom, że dochowają tajemnicy?

- Z pewnością. Przepracowali w Spandau większość swojego życia i będą lojalni. Jeśli któryś z nich wyda mi się podejrzany, policja berlińska weźmie go pod stałą obserwację. Nic innego nam nie pozostaje. Nie możemy przetrzymywać tych ludzi w izolacji aż do wyjaśnienia całej sprawy.

Strang nie był zachwycony tą sytuacją. Oczywiście Goodblood miał rację, ale czuliby się pewniej, gdyby wszyscy pozostali w Spandau do zakończenia śledztwa. Ktoś mógł jednak puścić farbę albo zatrzeć ślady.

- Chciałbym rozejrzeć się po więzieniu. Czy to da się zorganizować, panie pułkowniku?

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Rosjanie nie zgodzą się. Dopiero po potężnej awanturze wpuszczono tam moją ekipę śledczą. Zażądali, żeby Amerykanom towarzyszyła grupa rosyjskich ekspertów, ale w końcu wyperswadowaliśmy im, że w tym miesiącu my pełnimy służbę w Spandau i my będziemy decydować. Nie zachwyił ich również pomysł przewiezienia Hessa do szpitala, ale w tym wypadku dość szybko ulegli argumentowi, że w przypadku jego śmierci oni poniosą za nią całą odpowiedzialność. A przecież nie chcą, żeby umarł. Wymogli na nas umieszczenie czterech dyrektorów więzienia oraz kilku strażników w szpitalu, w pobliżu pokoju Hessa. Wszyscy już tam są. Jak pan widzi, z wycieczki do Spandau nic nie wyjdzie. - Goodblood przejechał palcem po kancie spodni, wzdłuż uda do kolan. - Jeśli stary Hess chciał zwiększyć napięcie między nami a Moskwą, znalazł na to najlepszy możliwy sposób. I jeśli umrze... - Potrząsając głową spuścił wzrok na wypolerowany czubek swojego buta, przekręcając go, jakby chciał ujrzeć w nim odbicie światła.

- Jednego nie rozumiem - odezwał się Strang. Goodblood spojrział na niego w milczeniu.

- Jeśli już miał ten cyjanek, dlaczego zwyczajnie go nie połknął? Po co wkładał go w ten cholerny placek?

- Któż to może wiedzieć? Może chciał zwalić winę za morderstwo na nas, żebyśmy mogli zamknąć Spandau na cztery spusty? Albo naprawdę zależało mu na poróżnieniu nas z Rosjanami? Nigdy nic nie wiadomo. To trochę niewiarygodne, żeby starzec o trzydziestoletnim więziennym stażu miał dość sił na wrobienie nas w podobną historię. Może myślał, że to byłby spektakularny sposób pożegnania się z tym światem.

- Ale pan chyba w to nie wierzy? - spytał Strang. - Nie przeprowadza pan śledztwa wyłącznie w celu potwierdzenia hipotezy o samobójstwie?

- Oczywiście, że nie. Jednak trudno mi znaleźć jakikolwiek motyw dla morderstwa. A panu?

- Też nic nie przychodzi mi do głowy.

Hess stanął o krok od śmierci, lecz jeśli ktoś próbował pozbawić go życia, powód i osoba sprawcy pozostawały w zupełnej ciemności.

Rozdział 4

Z misji pojechał taksówką do szpitala wojskowego. Gdy zbliżał się już do celu, zauważył dwóch berlińskich policjantów spacerujących przy głównej ulicy przylegającej do szpitala, dyskretnie ją obserwując. Taksówka stanęła przed głównym wejściem. Na granicy zasięgu jej reflektorów dostrzegł jeepa zaparkowanego przy bocznych drzwiach szpitala. W środku siedziało dwóch żandarmów, którzy rozmawiali z dwoma innymi, stojącymi na chodniku. Jeden z nich odwrócił się i patrzył na Stranga, jak ten wysiadał z auta.

W hallu stało jeszcze czterech żandarmów, po dwóch z każdej strony. Idąc w kierunku recepcji Strang czuł na sobie ich wzrok. Obstawa była szczelna. Jak poinformował go Goodblood, Hess był zarejestrowany pod nazwiskiem Schmidt i leżał w specjalnie wyizolowanej dla niego części szpitala..

- Dobry wieczór. - Uśmiechnęła się recepcjonistka.

- Dobry wieczór. Jestem umówiony z kapitanem Edisonem.

- Pan nazywa się...? - Recepcjonistka patrzyła uważnie na jego twarz. Miała polecenie zachowywać ostrożność wobec obcych, którzy przychodzili do szpitala, zwłaszcza cywili.

- Strang.

- Tak jest. Kapitan Edison prosił, żeby pan wjechał do niego na górę. Powiadomię go, że pan już jest. - Podniosła słuchawkę.

Wjechał windą na trzecie piętro. Musiał porozmawiać z tym psychiatrą, chociaż zawsze odnosił się do nich dość sceptycznie. Prawie wszyscy znani mu ludzie zasięgaliby kiedyś porad psychiatrycznych, ale dalibóg nikt nie ukończył terapii w lepszym stanie, niż był przed nią. Może tylko bardziej świadomie wnikali w głąb samych siebie, co zresztą często zwiększało ich frustrację. Najbardziej nie lubił u psychiatrów żądy dominacji oraz narzucania wszystkim swoich własnych standardów normalności. Jednak dzisiaj nie miał wyboru: jedynie psychiatra mógł udzielić potrzebnych mu informacji, bez względu na ich merytoryczną wartość, musiał przyjąć do wiadomości to, co powie mu Edison.

Poszedł wzdłuż korytarza. W połowie jego długości znalazł drzwi z numerem, który wcześniej podał mu Goodblood i zapukał.

- Proszę!

Otworzył drzwi. W małym, kwadratowym pomieszczeniu stał obok metalowego biurka potężnie zbudowany mężczyzna, nieco niższy od Stranga, ale szeroki w barach, o

falistych blond włosach i gęstych wąsach. Był w jego wieku, może nieco młodszy, miał około trzydziestu dwóch lat.

- Witam, panie Strang. - Uśmiechnął się i wciągnął dłoń. - Jestem Edison.

- Mam nadzieję, że to nie przeze mnie jest pan jeszcze w szpitalu, kapitanie.

- Wszystko jest w najlepszym porządku. Wychodziłem już, kiedy zadzwonił pułkownik Goodblood i powiedział, że pan chciałby bez zwłoki porozmawiać o wiadomej sprawie. Od wielu lat interesuję się starym Hessem. Z przyjemnością postaram się panu pomóc. Proszę spocząć.

Strang usiadł na twardym, metalowym krześle, jakie często spotyka się w rządowych instytucjach. Marynarka mundurowa Edisona wisiała na wieszaku obok drzwi, razem z narzuconym na nią krawatem. Lekarz miał rozpięty kołnierzyk koszuli i podwinięte rękawy.

- Czego chciałby się pan o nim dowiedzieć? - Edison rozsiadł się w swoim obrotowym fotelu, opierając kolano o biurko i splatając ręce z tyłu głowy.

- Czy możliwe, że to była kolejna próba samobójstwa? - Edison uśmiechnął się pokazując białe, równe zęby.

- Oczekiwałem takiego pytania. - Przechylił się do tyłu i do przodu. - Szczerze mówiąc, niełatwo udzielić na nie jasnej, jednoznacznej odpowiedzi.

- To dobrze. W jednoznaczną odpowiedź i tak bym nie uwierzył. - Jak na razie nie było najgorzej. Edison wydawał się dość sensowny. Może ta rozmowa będzie miała rzeczowy charakter.

Edison znowu uśmiechnął się, wyprostował plecy i oparł łokcie na biurku.

- Przed tą próbą w lutym powiedziałbym, że nigdy już nie targnie się na swoje życie. Poprzednio robił to trzy razy, ale bardzo dawno temu. Myślałem, że już na dobre pogodził się ze swoim losem. Dziwny z niego człowiek, jakby klasyczny przypadek w psychiatrii. Nigdy go nie widziałem, ale oddałbym rok mojego życia za możliwość spędzenia z nim paru godzin. Przeczytałem wszystkie raporty psychiatrów, jakie do tej pory o nim napisano. Badali go kilkakrotnie najlepsi w świecie specjaliści i po przeczytaniu ich opinii w dalszym ciągu nie wiem, w jakim stanie jest jego umysł. Na podstawie wszystkich tych lektur nie mógłbym stanowczo stwierdzić, czy jest trochę niespełna rozumu, czy też jest zdrowy, ale bardzo przebiegły i przez wiele lat wodził wszystkich za nos, nie wyłączając psychiatrów. W dodatku, co najmniej kilka z tych raportów było - wykonał znaczący ruch dłonią - wyretuszowanych z przyczyn politycznych.

- Naprawdę?

- Ależ tak. Pana to dziwi? Myślałem, że dla CIA takie rzeczy są codziennością.

- Jeśli nie będzie pan mówił, co myśli o CIA, ja powstrzymam się od uwag na temat psychiatrów.

- Okay. - Edison roześmiał się. - Jest jednak udokumentowane, że po przylocie Hessa do Wielkiej Brytanii został tam przebadany i stwierdzono u niego objawy schizofrenii oraz obłąkania. Winston Churchill nakazał wówczas zmianę raportu lekarskiego, aby uniknąć konieczności repatriowania Hessa ze względu na jego stan. Chciał zatrzymać go w Anglii do końca wojny w celu postawienia go przed sądem. Dwa czy trzy lata po wojnie był badany w Spandau przez Amerykanina, który potwierdził diagnozę Brytyjczyków, ale naczelny lekarz wojskowy kazał mu zmienić raport. Wtedy nie chcieliśmy narażać się Rosjanom, którzy utrzymywali, że Hess jest zdrowy i nie dopuszczali żadnych odstępstw od tego stanowiska. Nie chcieli stwarzać podstaw do ubiegania się o zwolnienie: miał odbyć pełną karę dożywotniego więzienia. Przecież w Norymberdze domagali się dla niego kary śmierci.

* * *

Wyłączywszy Szwajcarię i Francję Vichy, 10 maja 1941 hitlerowskie Niemcy władały całą Europą od Karpat po Pireneje, od północnego przylądka Norwegii po Grecję. Jedynie sześć tygodni dzieliło ich od rozpoczęcia operacji „Barbarossa” - zmasowanego ataku piechoty, czołgów oraz Luftwaffe na Rosję. Ta kampania miała być przeprowadzona z zaciekłością oddającą całą nienawiść Hitlera do komunizmu. Odczucia Hessa do tego systemu były równie głębokie, co jego wodza.

Wówczas, 10 maja, Hess był zastępcą Hitlera od ośmiu lat, i drugim w kolejności - po Hermanie Göringiem - do sukcesji władzy w państwie. Był członkiem Tajnej Rady Gabinetu oraz Rady Ministrów z ramienia resortu obronności Rzeszy. Posiadał stopień honorowy Obergruppenführera SS, równoważny generałowi w armii lądowej. Miał wielką liczbę podległego mu personelu, którym kierował Martin Bormann. Wieczorem tego dnia Hess - pilot od czasów pierwszej wojny światowej - wszedł do kabiny myśliwca typu „Messerschmitt” i poleciał do Szkocji, gdzie w okolicach Glasgow skoczył na spadochronie. Został wtedy jeńcem brytyjskim i siedział w pustym pomieszczeniu w podartym mundurze pilota Luftwaffe.

Powiedział Anglikom, że Hitler nic nie wie o jego misji. Przyleciał w celu omówienia z nimi układu pokojowego i przekazania im warunków, jakie według jego opinii byłyby do przyjęcia przez Hitlera. Powiedział, że Anglia i Niemcy powinny zostać sojusznikami, po czym razem zaatakowałyby wspólnego wroga, czyli Rosję.

Ponieważ Hitler chciał go zdyskredytować i zmniejszyć propagandowo korzystny dla Anglików efekt tego lotu, w ciągu kilku dni radio niemieckie zaczęło nadawać informacje o

chorobie psychicznej Hessa. Sami Anglicy byli o niej przekonani. Przez następne cztery lata, do końca wojny, był trzymany w areszcie. Kiedy zrozumiał, że jego misja okazała się fiaskiem, zaczął okazywać przejawy irracjonalnego zachowania oraz kompletnego zaniku pamięci. Większą część czasu spędzonego w Anglii znajdował się pod obserwacją psychiatrów. Dwukrotnie próbował pozbawić się życia.

W październiku 1945, pięć miesięcy po zakończeniu wojny, Hess został przewieziony samolotem do Norymbergii w amerykańskiej strefie okupacyjnej, aby zostać osądzonym za zbrodnie wojenne. Przebywał w tamtejszym więzieniu razem z innymi przywódcami hitlerowskimi, których schwytano pod koniec wojny.

Przed procesem był dwukrotnie badany przez konsylia psychiatrów z czterech mocarstw, którzy stwierdzili u niego histerię, paranoję oraz amnezję, zmniejszającą możliwość jego obrony. Orzeczono jednak, że może stanąć przed sądem, czego domagał się zwłaszcza prokurator radziecki. Jeszcze w czasie wojny Anglicy wyjawili Moskwie cel misji Hessa i podczas dziesięciu miesięcy procesu Rosjanie byli wobec niego bezlitośni.

Proces przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym rozpoczął się 20 listopada 1945 w Pałacu Sprawiedliwości. Hess, ubrany w starą sportową marynarkę z tweedu, siedział w pierwszym rzędzie ławy oskarżonych, tuż obok Goringa, i wydawał się nie rozpoznawać żadnego z nich. Kilka dni po rozpoczęciu procesu, kiedy oskarżenie pokazało film o potwornościach hitlerowskich obozów koncentracyjnych, sprawiał wrażenie zdumionego i nie okazał żadnych emocji, chociaż kilku innych oskarżonych załamało się. Następnego dnia złożył oświadczenie na sali sądowej. Powiedział, że jedynie symulował amnezję i gotów był przyjąć całą odpowiedzialność za wszystko, co uczyniono w podległych mu instytucjach reżimu hitlerowskiego.

Proces trwał miesiącami. Pod koniec lutego 1946, znalazłszy się w krzyżowym ogniu pytań oskarżenia, znowu zaczął tracić pamięć, lecz pierwszego października tegoż roku uznano go winnym konspiracji i przestępstw przeciwko pokojowi. Otrzymał wyrok dożywotniego więzienia.

Radziecki członek trybunału wyłamał się z jednomyślnej decyzji większości. Domagał się dla niego kary śmierci.

* * *

- Rosjanie byli wobec niego wyjątkowo bezwzględni - podjął Edison - ale wówczas nasze stanowisko było niemal równie pozbawione skrupułów. Tak samo postępowali Anglicy. Rosjanie nigdy nie przyznaliby, że postradał zmysły, gdyż chcieli, aby był osądzony i skazany. Z drugiej strony, Brytyjczycy byli przekonani o jego obłądździe jeszcze przed

pierwszym przesłuchaniem go po lądowaniu w Szkocji. Jego lot był czynem szaleńca. Przecież Wielka Brytania była od dwóch lat w stanie wojny z Niemcami i miała na koncie więcej klęsk niż zwycięstw. Zapewne uważali każdego Niemca za trochę stukniętego. Tak podawała propaganda. W takich okolicznościach, oczekiwanie obiektywnej oceny stanu umysłowego lidera hitlerowskich Niemiec byłoby żądaniem nieco wygórowanym, prawda?

- Raczej tak.

- Jestem tego pewien. - Edison ponownie oparł kolano o krawędź biurka i odchylił się w fotelu. - Nie wątpię jednak, że coś się z nim stało, kiedy po kilkutygodniowym pobycie w Anglii doszedł do wniosku, iż nie traktują go poważnie. To musiało nim wstrząsnąć. Może pan sobie przecież wyobrazić, jaką władzę ten człowiek miał w Niemczech! Uczestniczył w planowaniu ich wszystkich operacji wojskowych w Europie. Potem poleciał do Anglii, przekonany, że zostanie twórcą przymierza, które zmieni bieg historii. No i spotkał się ze znaną nam reakcją Brytyjczyków. Wyrzekł się go również Hitler. - Poglądził wąsy. - Nic więc dziwnego, że chciał zamknąć się w sobie. Amnezja, paranoja i cała reszta, wszystko to było nieuniknione.

- Tak pan myśli?

- Oczywiście. Jestem pewien jeszcze czegoś innego: wszystkie te orzeczenia psychiatrów nie mogą być traktowane jako obiektywne, gdyż wszyscy lekarze, którzy badali go w czasie wojny i w Norymberdze byli pod silnym wpływem nastroju tamtych czasów. Byli po prostu ludźmi.

- Czy teraz uważa go pan za obłąkanego?

- Siedział przez trzydzieści lat w więzieniu. Dziwiłbym się, gdyby był zupełnie normalny. Ale nie mogę stwierdzić, czy jest zdrowy psychicznie. Nikt nie mógłby tego orzec.

- A czy możliwe, że dzisiaj znowu chciał popełnić samobójstwo?

- Oto jest pytanie, prawda? Najważniejsze pytanie.

- Tak.

Powoli Edison obniżył swój fotel i pochyliwszy się w zamyśleniu położył dłonie na biurku.

- W lutym zrobił to po raz czwarty - rzekł Strang. - Bóg świadkiem, że naprawdę chciał pożegnać się z życiem.

- No tak, ale dwukrotnie zrobił to jeszcze w czasie wojny, kiedy przebywał w Anglii. Prawdopodobnie przyczyną była depresja, która spowodowała także amnezję i inne przejawy irracjonalnego zachowania. On był niesłychanie dumnym człowiekiem, i z tego co słyszałem, pozostał nim do dzisiaj. Trzecia próba nastąpiła w Spandau pod koniec lat pięćdziesiątych, ale

potraktowano ją niezbyt poważnie. Wielu ludzi uważało, że zrobił to w celu zwrócenia na siebie uwagi. Podobny motyw mógł mu przyświecać również w lutym.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że chciał wywołać współczujące komentarze prasy, w czasie gdy jego adwokat wносиła apelację.

- Uważa go pan za aż takiego spryciarza?

Edison skinął głową.

- Wczorajsze oddalenie jego apelacji przez Moskwę musiało nim niezłe wstrząsać - powiedział Strang.

- Niekoniecznie.

- Co pan przez to rozumie?

- Nie jestem przekonany, czy on chce wyjść na wolność. Kiedyś pewnie tego pragnął, ale nie wiadomo, co czuje teraz.

- Ale przecież uważa pan, że przeciął sobie żyły, aby poprawić szanse apelacji. Nie powiedziałbym, że to świadczy o obojętności.

Edison pokręcił głową.

- Mówiłem tylko o pozyskaniu współczucia opinii publicznej. Wątpię, żeby apelacja cokolwiek go obchodziła, poza związanym z nią zainteresowaniem prasy.

- Pan mówi poważnie?

- Nie pozwoliłbym sobie na żarty wobec CIA. Myślę, że w Spandau czuje się zupełnie dobrze. Dziesięć, może dwanaście lat temu, kiedy wyszli na wolność ostatni dwaj z pozostałych więźniów, pewnie też chciał opuścić więzienie. Ale teraz spędził tam samotnie już wiele lat. Ma dla siebie dużo miejsca, przeznaczonego przez budowniczych dla sześciuset więźniów. Pilnują go żołnierze najpotężniejszych armii świata i znajduje się tam w centrum zainteresowania. Ma świadomość roli, jaką odgrywa we współczesnej polityce. Wszystko to może przyjemnie łechtąć jego próżność. Ma bardzo silną osobowość, nie ma co do tego cienia wątpliwości. Z zadowoleniem przyjmuje kolejne apelacje w jego sprawie, ale chyba nie przywiązuje do nich większej wagi.

- Jeśli pan się nie myli kapitanie czy zdaje pan sobie sprawę co to oznacza?

- Nie bardzo.

- To oznacza, że nie miał powodu, żeby targnąć się dzisiaj na swoje życie. A więc ktoś próbował go zgładzić. Nie wiem, dlaczego ktoś miałby to zrobić, ale jeśli to prawda, mogą wyniknąć poważne i niebezpieczne komplikacje.

- Radzę, żeby pan nie przyjmował wersji o samobójstwie, panie Strang. Zdaje się, że staje pan wobec dużych problemów.

Rozdział 5

Późno wieczorem czarny volkswagen „garbus” podjechał po kocich łbach dziedzińca Spandau do głównej bramy. Wewnątrz siedział tylko jeden człowiek - niski, łysy mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Z budki przy bramie wyszedł wartownik oraz jeden ze strażników narodowości angielskiej, który zajrzawszy przez opuszczoną szybę do wnętrza samochodu, odezwał się do kierowcy.

- Dobry wieczór, Walterze.

- A! Pan Sims. Dobry wieczór.

- Widzę, że w końcu pozwolili panu jechać do domu. - Sims uśmiechnął się.

- Tak. - Mężczyzna nie odwzajemnił uśmiechu. Sims pomyślał, że musiał być zdenerwowany tym, co wydarzyło się w więzieniu oraz wieczornymi przesłuchaniami.

- Późno pan dzisiaj wraca.

- To nieważne, panie Sims. I tak nikt na mnie nie czeka. Cieszę się, że mogłem pomóc detektywom prowadzącym śledztwo. To straszne, co się stało.

- Prawda. Czy otrzymał pan przepustkę?

- Tak. Proszę. - Nerwowymi ruchami kierowca po omacku szukał złożonej kartki, która leżała na sąsiednim fotelu. Dopiero gdy spojrzał, znalazł ją i podał.

- Nie, proszę wejść do środka. Sierżant musi obejrzeć przepustkę osobiście. - Sims pokazał głową w stronę budki wartowniczej, skąd obserwował ich stojący tam sierżant żandarmerii.

Kierowca wysiadł z auta i poszedł za Simsem. Drugi wartownik został przy samochodzie.

- To jest pan Lichti, sierżancie. - Sims zwrócił się do żandarma. - Mój stary znajomy. Obaj służymy tutaj od wielu lat prawda Walterze?

- Tak, Od bardzo widu lat

Na żandarmie nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia.

- Czy ma pan przepustkę na opuszczenie terenu więzienia, panie Lichti?

- Mam. Proszę bardzo. - Lichti wyciągnął rękę. Żandarm zaniósł kartkę do stojącego przy ścianie pod oknem starego biurka i uważnie ją obejrzał w świetle lampy. Na dole widniał

podpis kapitana dowodzącego ekipą prowadzącą śledztwo. Podpis był z pewnością autentyczny. Sierżant wpisał nazwisko Lichtiego do rejestru leżącego na biurku oraz dokładną godzinę jego wyjścia i podpisał się obok.

- W porządku. - Na biurku leżały spięte inne przepustki. Wziął je i dołączył do nich przepustkę Lichtiego.

- Czy mogę już jechać? - Lichti zwrócił się do Simsa.

- Tak. Chodźmy, Walterze.

Kiedy zbliżali się do volkswagena, stojący przy nim wartownik ruszył w stronę bramy, żeby ją otworzyć. Lichti zasiadł za kierownicą i Sims zatrzaskał za nim drzwi.

- Życzę miłych snów - powiedział Sims.

- Dziękuję. Wzajemnie, panie Sims.

- Tak, mieliśmy dziś ciężki dzień.

- A więc, dobranoc panu.

- Do zobaczenia.

Volkswagen odjechał, a Sims wrócił do budki przy bramie.

Sierżant siedział na brzeżku biurka i przeciągał się.

- Miły gość z tego Waltera - odezwał się Sims. Żandarm skinął głową. Był zmęczony i znudzony.

- Pracuje tutaj już od dwudziestu czterech lat - Sims usiadł na krześle pod ścianą i rozprostował nogi. - Ja jestem tu dziewiętnaście.

- Jest Niemcem?

- Ależ skąd. Niemcy tu nie pracują. To Szwajcar.

- A co robi?

- Jest pomocnikiem szefa kuchni. Sam zresztą też świetnie gotuje.

Sierżant wziął z biurka paczkę papierosów.

- Miło go było poznać. - Wyciągnął rękę z papierosami. - Nie, dziękuję. - Sims pokręcił głową. - Zawsze dobrze jest znać kucharza. Tak zawsze mówiliśmy w wojsku.

- My również.

* * *

Lichti pojechał wzdłuż Spandauerdamm, kierując się przez miasto na południowy wschód. Mieszkał samotnie na ostatnim piętrze czterokondygnacyjnego bloku w Kreuzbergu - robotniczej dzielnicy w sektorze amerykańskim.

Objechał wzgórze Kreuzberg i pokonawszy kanał Teltow skręcił w swoją uliczkę, boczną od Lindenstrasse. Wyłączywszy silnik wyjął kluczyki sięgając do klamki.

- Guten abend, Walter.

Lichti podskoczył odwracając głowę w stronę opuszczonego okna. Wysoki mężczyzna stał pochylony z uśmiechem na twarzy. Dłoń oparł na drzwiach auta, w miejscu, gdzie chowała się szyba.

- Dobry wieczór. - Lichti próbował uśmiechnąć się. - Przestraszył mnie pan.

- Późno dzisiaj wracasz.

- Tak. Prowadzą śledztwo i...

- Rozumiem. Chodźmy. Opowiesz nam o tym. - Ton zaproszenia był stanowczy. Mężczyzna zrobił ruch głową w głąb ulicy, gdzie stał zaparkowany samochód. W świetle latarni, za kierownicą rysowała się sylwetka człowieka.

- Bardzo pana proszę. Jestem zmęczony, chciałbym...

- Chodź i mów, Walterze - padł rozkaz. Wysoki mężczyzna otworzył drzwi volkswagena. - Idziemy.

Środa 27 kwietnia 1977

Rozdział 6

Rankiem deszczowe chmury, które od tygodnia wisiały nad Berlinem rozrzedziły się i wyrzało słońce. W połowie drogi do misji, idąc cichymi uliczkami dzielnicy Zehlendorf

Strang zauważył zbliżające się w jego kierunku srebrno-szare audi. Samochód zaczął zwalniać. Strang wzmógł uwagę, gdyż czasami w Berlinie zdarzały się różne rzeczy. Rozpoznawszy twarz kierowcy rozluźnił się.

Audi stanęło przy krawężniku kilka kroków przed nim. Podeszedł do opuszczonego okna po prawej stronie i zajrzał do środka.

- Wcześniej dzisiaj wstałeś, Dieter.

- Ostatnio wcześniej się kładę, to i wstaję o pierwszym brzasku.

Strang uśmiechnął się, ale kierowca pozostał poważny, powoli żuł gumę. Wyglądał na zmęczonego. Nazywał się Kluger i był oficerem Bundesamt für Verfassungsschutz, czyli zachodnio-niemieckiego Urzędu Ochrony Konstytucji. On i Strang często ze sobą współpracowali. Miał czterdzieści trzy lata i pół roku wcześniej ożenił się z kobietą młodszą od niego o szesnaście wiosen. Była pełna energii do tego stopnia, że Kluger z niepokojem myślał, jak długo jeszcze zdoła dotrzymać jej kroku. Dwukrotnie, w żartach, wspominał o tym Strangowi, ale ten wyczuł troskę w jego głosie. Przez ostatni miesiąc nie wracali do tego tematu, ale Kluger ciągle sprawiał wrażenie przygnębionego.

- Za parę miesięcy w ogóle nie wypuści cię z łóżka. - Kluger wykrzywił twarz w krótkim uśmiechu nie wyrażającym rozbawienia.

- Przejedźmy się.

- Lubię chodzić piechotą.

- Chciałem cię zabrać trochę dalej. - Wskazał głową w kierunku Grunewaldu, dużego, leśnego parku, położonego poza dzielnicą Zehlendorf, wzdłuż brzegu Haveli.

- Nie mam czasu na przejażdżkę po parku, Dieter.

- Wiem, że jesteś zajęty. Dlatego chciałem, żebyśmy pojechali w jakieś spokojne miejsce. Chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

- O czym? - spytał obojętnie Strang.

- Mam na myśli aferę z Hessem.

- Jaką znowu aferę?

- To, co wydarzyło się wczoraj w Spandau. - Tym razem Kluger się uśmiechnął.

Strang wyprostował się i rozejrzał dookoła. Nikogo w pobliżu nie było. Obszedł samochód, otworzył drzwi i wskoczył do środka.

- Co o tym wiesz?

- Wiem, że Hess najadł się trucizny.

- Posłuchaj, Dieter. Ta informacja jest ściśle tajna i bardzo chcemy, żeby taką pozostała. Wiesz, jakie mogą być kłopoty, gdyby dowiedziała się o tym opinia publiczna?

- My nic nie powiemy.

- A skąd wiesz o tej historii?

Kluger żuł gumę z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Na litość boską, czy ona tak ci zadała, że straciłeś rozum? Przecież to sprawa najwyższej wagi. Według mnie, ktoś próbował otruć starego Hessa, a ktokolwiek powiedział ci o tym, może wiedzieć coś ważnego. Jeśli pracuje dla ciebie, może także pracować dla kogoś innego. Kto to jest?

- Nie. - Kluger pokręcił głową, kładąc dłoń na ramieniu Stranga. - To sprawdzony człowiek, Phil. Ręczę za niego. Pewnie, że jest informatorem, ponieważ chcemy wiedzieć, co dzieje się tam w środku, a zwłaszcza co robią te sowieckie skurczybyki, kiedy przejmują kontrolę. To wszystko. Ten człowiek pracuje dla nas, ale nie przeciw nam. Jeszcze nie zwariowałem. Myślisz, że gdyby działał na dwa fronty, nie wiedziałbym o tym? Nie martw się, jest na pewno w porządku. Ale nie pytaj mnie o jego nazwisko.

Strang patrzył na niego. Nie podobało mu się, że było coś, czego nie mógł samodzielnie sprawdzić, ale przynajmniej ufał Klugerowi na tyle, żeby nie wątpić w jego słowa. Jeśli Kluger był pewny tego człowieka, ta pewność mu wystarczała. Był równie ostrożny, jak on sam.

- Może masz szczęście, że znam sprawę, bo mogę ci pomóc. - Kluger spojrzał na drugą stronę ulicy, gdzie stały duże domy otoczone pięknie utrzymanymi ogródkami. - No więc, wybierzesz się na przejażdżkę? Tutaj nie jest najlepsze miejsce na rozmowę.

- Dobrze. Ruszaj.

Kluger jechał szybko, nieustannie żując gumę. Przejął wiele amerykańskich zwyczajów. Żucia gumy nauczył się pod koniec wojny w Regenburgu od żołnierzy amerykańskich. Potem otrzymał stypendium i studiował nauki polityczne w University of California w Los Angeles. Z powodu jego uwielbienia dla Amerykanów, Urząd Ochrony Konstytucji, wysłał go dwanaście lat temu do Berlina, gdzie miał z nimi współpracować w tym najbardziej wrażliwym punkcie Europy.

Jadąc przez Zehlendorf widzieli ponad dachami domów słońce, przezierające przez czubki sosen Grunewaldu. Zostawili za sobą ostatnie zabudowania i ujrzeli zieloną ścianę drzew. Kluger zaparkował samochód na skraju parku i poszli wzdłuż brzegu Schlachtensee - jednego z tamtejszych długich, wąskich jezior.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś chciał zabić Hessa? - spytał Kluger. - Nie uważasz tego za kolejną próbę samobójstwa?

- Według mnie, to było usiłowanie morderstwa. Wiesz przecież, że zawsze szukam dziury w całym.

- Ja chyba również, bo w pełni podzielam twoje zdanie.

- Jakie masz informacje o tej sprawie, Dieter?

- Znam takich, którzy mieliby motyw oraz środki, żeby to zrobić, albo kogoś wynająć.

- Kto?

- Czy obserwujesz działalność nacjonalistów?

- Nie czytuję wszystkich ich przemówień. Są do siebie bardzo podobne.

Partia Narodowa miała charakter ekstremalnie prawicowy, neonazistowski. Mieli nawet własną bojówkę, zwaną przez nich „komitetem bezpieczeństwa”. Jego członkowie nie nosili mundurów, ale poza tym nie różnili się od „brunatnych koszul”, których Hitler używał do zwalczania opozycji we wczesnym okresie działalności NSDAP. Wszczynali potyczki ze wszystkimi, których uważano za lewicowców: z radykalnymi studentami, socjaldemokratami, unionistami. W ciągu kilku ostatnich lat miały miejsce trzy lub cztery wielkie bitwy uliczne, zwłaszcza te w Monachium i Hamburgu. Używano, co prawda, jedynie pięści oraz pałek, ale zamieszki miały gwałtowny przebieg. Podczas ostatnich wyborów municypalnych w RFN nacjonaści zebrali średnio piętnaście procent głosów, a dwadzieścia procent w wielu małych miasteczkach. Okazali się silniejsi niż którakolwiek partia prawicowa w Niemczech od zakończenia wojny. W swoich przemówieniach najczęściej domagali się dwóch rzeczy: zjednoczenia Niemiec oraz nieograniczonej restrykcjami remilitaryzacji kraju, włączając strategiczną broń nuklearną.

- Czy zwróciłeś uwagę, że już dość dawno nie wspominali o Hessie?

- Nie.

Od czasu do czasu nacjonaści przypominali o wielkiej niesprawiedliwości, jaką jest przetrzymywanie Hessa w więzieniu. Oczywiście nie chodziło im o sprawiedliwość, ani nawet o Hessa; chcieli, żeby Moskwa straciła pretekst do posyłania swoich wojsk do zachodniej części Berlina. Dążyli do zlikwidowania tam radzieckiej obecności.

- Nie obserwujesz ich z należytą uwagą, Phil. Nie wspominali o Hessie od ośmiu miesięcy.

- Jak sądzisz, co to może oznaczać?

- Pomyślałem o tym wczoraj wieczorem, gdy poinformowano mnie o wydarzeniu w Spandau. Nie mam dla Hessa krzty współczucia, ale...

- Na litość boską, Dieter, daj spokój! - Kluger popatrzył na niego ostro.

- O co ci chodzi?

- Jestem tu od pięciu lat i nigdy nie słyszałem, żeby jakiś Niemiec dobrze mówił o Hitlerze, albo czymkolwiek, co wtedy się wydarzyło. To naprawdę jest żenujące.

Kluger nie odezwał się, ale wyglądał trochę nieswojo. Szybko, z zacięciem żuł gumę.

W poprzek ścieżki, którą szli przebiegł królik, znikając w trawie na polance zalanej promieniami słońca, przedzierającym się przez gałęzie drzew.

Kluger spojrział w bok, tam gdzie przepadł królik i powiedział cicho:

- Chcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, czy też wolisz pogadać o moim skrytym poparciu dla faszystów?

- Chcę cię wysłuchać, ale nie usprawiedliwiał się przede mną za to, co sądzisz o Hessie. Sam trochę mu współczuję i gdybyś myślał podobnie, nie byłoby to dla mnie szokiem. Trzydzieści lat za kratkami jest wystarczającą karą.

- Może. Nie o tym jednak chciałem z tobą rozmawiać. - Strang zerknął na niego i zobaczył, jak szybko rusza szczęką żując gumę. Żałował, że naskoczył na niego, ale czasami nie mógł się powstrzymać, gdy jakiś Niemiec zaczynał głośno odcinać się od wszystkiego, co przyniosły ze sobą czasy Hitlera. Kluger był jednak porządnym człowiekiem i Strang nie powinien wprawiać go w zakłopotanie.

- No więc, co z tymi nacjonalistami, Dieter?

- Jak mówiłem, nie odczuwam dla Hessa specjalnego współczucia, ale nie podoba mi się sposób, w jaki nacjonaści wykorzystują jego sytuację. Mają powód, żeby domagać się jego zwolnienia, a jednak przestali wspominać o nim około dwa miesiące przed złożeniem apelacji.

- Myślisz, że to nie jest przypadkowe?

- Właśnie. Od poprzedniej apelacji minęło sporo lat i nie jest zbiegiem okoliczności, że zostawili go w spokoju, kiedy przygotowano ostatnie odwołanie. Oni sami nie mogli wnieść apelacji gdyż ich motywy byłyby zbyt oczywiste. Potrzebowali figuranta o nieposzlakowanej opinii.

- Kto jest jego adwokatem?

- Niejaka Karin Hartmann.

- Najonalistka?

- Nie. W tym właśnie sęk, że nie ma z nimi żadnych powiązań. Jest ostatnią osobą, która mogłaby ich popierać.

- I mimo to jest adwokatem Hessa?

- Cóż to ma znaczyć? Czy koniecznie musi być neonazistką, żeby zostać jego obrońcą? Sam przed chwilą powiedziałaś, że mu współczujesz. Gdyby wszyscy ludzie na

świecie, którzy mu współczują byli nazistami, świat byłby ich pełen, przyjacielu. Czasami dziwny z ciebie drań, Phil.

- Próbujesz mi więc powiedzieć, że ona robi to po prostu ze względów humanitarnych?

- Otóż to. Jest w tym podobna do swojego ojca, dr Petera Hartmanna, który bronił Hessa na procesie norymberskim. Zmarł dwa lata temu i wtedy ona przejęła wszystkie jego sprawy.

Zza zakrętu ścieżki wyszła trzymająca się za rękę para. Strang i Kluger szli dalej w milczeniu, aż kroki zakochanych stopniowo zamarły za ich plecami.

- Myślisz, Dieter, że to nacjonaści namówili tę kobietę do przygotowania apelacji?

- Nie mogli zaproponować jej tego bezpośrednio. Pewnie nie wpuściłaby żadnego z nich do swojego biura. Ale musi tu być jakiś związek. Wszystko odbyło się w optymalnym czasie. Zapewne przestali mówić o Hessie, ponieważ nie chcieli zmniejszać jego szans, ani tracić poparcia poważanych osobistości, które przy okazji apelacji zawsze agitowały na rzecz zwolnienia byłego zastępcy Hitlera. Nie są przecież idiotami.

- A kiedy apelację odrzucono, próbowali go zabić?

- Mówiłem już wcześniej, że mają motyw. Mają też pieniądze, żeby przekupić kogoś ze Spandau. Mogli to zrobić. Jaka dla nich różnica, czy Hess opuści więzienie żywy czy umarły, jeśli Spandau zostanie puste i Rosjanie nie będą mieli kogo pilnować?

To była ciekawa hipoteza. Strang pomyślał, że Kluger mógł być na dobrym tropie.

- Porozmawiam z panią Hartmann. - Zawrócili na ścieżce.

- Jak długo masz nadzieję utrzymać całą sprawę w tajemnicy, Phil?

- Jeśli się da, to na zawsze.

- Chyba, że Hess umrze.

- Jeszcze nawet o tym nie myślę. Już teraz jest dość kłopotów.

- Jeżeli umrze, wszystko diabli wezmą. Sprawa wyjdzie na jaw i jako samobójca czy ofiara, zostanie uznany w Niemczech za męczennika.

- Nie chcę o tym myśleć.

- Ale zanotuj to sobie w pamięci.

- Rozumiem. Będzie męczennikiem i nacjonaści wykorzystają ten fakt, aby zdobyć sobie szersze kręgi zwolenników. Masz rację, Dieter.

Rozdział 7

Jej biuro mieściło się w centrum miasta, w starym, kamiennym budynku niedaleko Bismarckstrasse. W Berlinie Zachodnim pozostało niewiele starych budowli - niemal wszystko zostało wzniesione po wojnie na placach, z których usunięto gruz. Kiedy Strang zadzwonił do niej z misji, powiedziała, że powinien znaleźć jej biuro bez trudności, gdyż wszystkie okoliczne bloki były nowoczesnymi konstrukcjami ze stali i szkła. W jej głosie brzmiała nutka dumy.

W hallu na dole podłoga była wyłożona marmurem, a sufit znajdował się wysoko nad nią. Nazwisko Karin Hartmann było wśród niewielu innych nazwisk lokatorów, których lista wisiała w ściiennej gablocie.

Z boku wznosiły się łukiem marmurowe schody. Wewnątrz utworzonej przez nie spirali znajdował się szyb windy, opleciony z zewnątrz drucianą siatką. Kabina stała na dole. Wjechał na czwarte piętro i znalazł się na korytarzu pokrytym lastrykiem. Drzwi wszystkich biur były czarne ze złożonymi gotyckimi literami.

Wszedł do niewielkiego sekretariatu. Na podłodze, w przenikających przez okno promieniach słońca stały w doniczkach wysokie rośliny. Znad maszyny do pisania uniosła na niego wzrok siwa kobieta w okularach o grubej oprawce.

- Guten morgen. Jestem umówiony z panią Hartmann - powiedział Strang.

- Jak pańskie nazwisko? - spytała kobieta wstając.

- Strang.

- Tak jest. Jedną chwileczkę, panie Strang. Może zechce pan spocząć.

- Dziękuję. - Popatrzył na wytartą, skórzaną kanapę, która stała przy ścianie obok drzwi, ale nie usiadł.

Sekretarka otworzyła ciężkie, obite skórą drzwi w głębi pomieszczenia, zapukała w wewnętrzne, drewniane i weszła zamykając za sobą drzwi zewnętrzne. Nie przedostawał się przez nie żaden dźwięk.

Na ścianie obok kanapy wisiały w przeszklonym regale trzy półki książek z dziedziny prawa. Nad nimi znajdowała się fotografia w wąskiej, czarnej ramce. Strang podszedł bliżej i popatrzył na nią. Na zdjęciu widniało dwóch mężczyzn, którzy stali uśmiechając się do siebie. Jeden z nich, o białych włosach, nie był Strangowi znany. Drugim był Willi Brandt. Za nimi stał Schonenberger Rathaus, czyli gmach zachodniobermberskiego ratusza. Fotografia została wykonana prawdopodobnie w latach sześćdziesiątych, kiedy Brandt był burmistrzem Berlina zachodniego, zanim został kanclerzem RFN. Drugi mężczyzna był zapewne doktorem

Hartmannem, niedawno zmarłym ojcem Karin Hartmann. Wyglądało, że fotografia wisi tam od bardzo dawna.

- Panie Strang. - Sekretarka stanęła w drzwiach obitych skórą. - Panna Hartmann przyjmie pana.

Wszedł do przestronnego, zalanego słońcem gabinetu. W jednej ze ścian mieściło się pięć okien i chociaż jedno z nich było już w cieniu, światło słoneczne wpadało przez pozostałe cztery. Wzdłuż okien stały rzędem rośliny doniczkowe o szerokich, gładkich liściach.

- Dzień dobry panu. - Stała przed dużym, mahoniowym biurkiem. - Jestem Karin Hartmann. - Wyciągnęła do niego dłoń. Ująwszy ją poczuł, że była bardzo delikatna.

- Dziękuję, panno Hartmann, że zechciała mnie pani przyjąć tak szybko. - Była bardzo ładna: wysunięte kości policzkowe, prosty nos i ciemnoblond, zaczesane prosto włosy sięgające nieco poniżej dolnej linii uszu.

- Powiedział pan, że ma ważną sprawę. Niestety, nie będę mogła poświęcić panu zbyt wiele czasu. Proszę usiąść.

Usiedli naprzeciwko siebie przed biurkiem na dwóch obitych czarną skórą krzesłach z drewnianymi poręczami. Założyła nogę na nogę obciągając spódnicę do kolana.

- Ciekawe, o czym może chce ze mną rozmawiać pracownik misji amerykańskiej - powiedziała.

- Chodzi o Rudolfa Hessa. - Był pewien, że tego się właśnie spodziewała, chociaż nie pytała go o nic, kiedy zatelefonował. Po prostu zaprosiła go do swojego biura.

- A dokładniej?

- Od wczoraj jest w naszym szpitalu wojskowym.

Jej dłonie przesunęły się wzdłuż uda. Splotła palce za kolanem.

- Kiedy go tam przewieziono?

- Po lunchu.

- Nic o tym nie wiem. Nie podano tej wiadomości w telewizji ani w porannej prasie.

- To ściśle tajna informacja. Nie ujawniamy jej.

- Ale dlaczego? Co mu się stało? Czy coś poważnego?

- To nastąpiło w czasie lunchu. Coś było w jedzeniu. - Obserwował, jak przyjmuje tę wiadomość.

- Ma pan na myśli truciznę?

- Tak.

- O, Boże! - Gwałtownie wyprostowała nogi i przyłożyła dłonie do policzków. Koniuszki jej długich, wąskich palców sięgały niemal do linii włosów.

Był pewien, że dopiero w tej chwili dowiedziała się o wszystkim.

- Czy bardzo z nim źle?

- Lekarze mówią, że reaguje na terapię.

Nagłym ruchem oderwała dłonie od twarzy i niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Reaguje na terapię! Co to na miłość boską, znaczy?

- Tyle, że jeszcze nie umarł.

- Z tonu pańskiego głosu wnioskuję, że jego życie lub śmierć nie stanowi to dla pana większej różnicy. - Zdenerwowana zacisnęła mocno usta.

- Nie chciałbym, żeby umarł, panno Hartmann. - Odwróciła głowę w stronę okien. Po chwili wstała, podeszła do nich i stanęła wyglądając na zewnątrz. Podniosła z podłogi niewielką konewkę, stojącą na końcu rzędu doniczek. Zaczęła podlewać jedną z roślin, która stała w cieniu. Pochyliwszy głowę patrzyła na rozpryskującą się wodę.

Strang siedział słuchając szmeru wody na wilgotnej ziemi. Spojrzał na nią od tyłu. Nisko pochylona, z opuszczonymi ramionami, wydawała się bardzo przygnębiona. Nie przypuszczał, że to nią tak wstrząśnie. Siedział dalej patrząc na nią. Miała naprawdę świetne nogi.

Ostrożnie postawiła konewkę obok jednej z doniczek i wróciła na swoje miejsce.

- Niech diabli porwą tych przeklętych Rosjan - powiedziała cicho, - Są nieludscy. - Siedziała kręcąc głową. - Bydlaki.

- Ponieważ odrzucili apelację?

- Oczywiście. Dlatego Hess to zrobił.

- Więc pani zakłada, że próbował się zabić?

Popatrzyła na niego.

- A czy istnieje inna możliwość?

- Nie jesteśmy pewni.

- Jeśli nie samobójstwo, to co? - Po chwili zrozumiała i pochyliła się do przodu. - Pan podejrzewa, że ktoś usiłował go zamordować?

- Nie mogę tego wykluczyć.

- Boże - szepnęła opierając się na swoim krześle. - Dlaczego ktoś chciałby go zabić? To nie ma przecież sensu. Rosjanie nienawidzą go, to fakt, ale nie nastawaliby na jego życie, prawda?

- Z pewnością nie zrobili tego Rosjanie. Dla nich powinien żyć jak najdłużej dając im przepustkę do Spandau.

- No więc kto? - Rozejrzała się bezradnie po gabinecie. - Proszę mi wybaczyć, ale wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć. Właśnie zdałam sobie sprawę o czym mówimy. - Patrzyła na swoje dłonie, ułożone płasko na zwartych kolanach. - To niesłychane. Wstrząsające.

- Zgadzam się z panią.

- Ale któż chciałby go zabić, panie Strang?

- Właśnie szukam ludzi, którzy mieliby jakiś motyw.

Milczała.

- Panno Hartmann, dlaczego zdecydowała się pani wystąpić z apelacją o jego zwolnienie?

- Czy tak trudno to zrozumieć? Ma osiemdziesiąt trzy lata, a w lipcu minie trzydzieści, jak został zamknięty w więzieniu.. Przedtem siedział sześć lat w Anglii oraz Norymberdze. Czy to nie wystarczy? Taki był powód. Czy może go pan pojąć?

- Chyba tak.

- O co panu chodzi? - Marszcząc brwi przechyliła głowę na bok, jakby starała się zrozumieć, co miał na myśli, coś raczej niezbyt przyjemnego. - Dlaczego pyta mnie pan o apelację?

- Zastanawiam się, czy przypadkiem ktoś jej pani nic zasugerował?

- Niby kto?

- Jacyś politycy. Członkowie Partii Narodowej.

- Nacjonaliści? Uważa pan, że mogłabym mieć coś wspólnego z tymi przekłętymi nazistami? - Wciąż siedziała z przechyloną głową, patrząc na niego.

- Może wysłali kogoś, żeby ich reprezentował.

- Nikogo takiego tu nie było. To śmieszne przypuszczenie.

Strang widział wyraźnie, jak bardzo się zdenerwowała. Miał pewność, że nie poświęciłaby dla nacjonalistów nawet sekundy swojego czasu.

- Kim pan jest? Czym się pan zajmuje w misji USA? A może pracuje pan dla CIA?

- Czy to ważne?

- Pańskie pytania stają się napastliwe, chciałabym wiedzieć dlaczego.

- Interesuje mnie, kto mógł usiłować zabić Hessa. Myślałem, że ta sprawa nie jest pani obojętna.

- Oczywiście, że nie, ale... - Odezwał się telefon. - Przepraszam. - Wyciągnęła rękę po słuchawkę. - Jal - po chwili głos jej złagodniał. - Poproś go, żeby chwilkę zaczekał, Greta. - Odłożyła słuchawkę i oparła się na krześle. - Dlaczego pytał mnie pan o nacjonalistów?

- Oni domagają się, między innymi, usunięcia radzieckich żołnierzy ze Spandau. Głoszą, że trzymanie tam Hessa jest niesprawiedliwością, ale tak naprawdę chcą jedynie pozbyć się Rosjan. Mają więc powód, aby Hess opuścił więzienie.

- I pan uważa, że posunęliby się do zabicia go? Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- A jednak coś w tym jest. Może, gdy pani to przemyśli, również dojdzie do podobnego wniosku. Czy według pani, sprawiłoby im różnicę, czy opuści Spandau żywy albo martwy?

Wpatrywała się w niego przez chwilę. Jej blond włosy mignęły w powietrzu, kiedy gwałtownie poruszyła głową, jakby otrząsając się z myśli.

- Nie wierzę w to - powiedziała wstając. - I nie dodam już, co myślę o pańskiej sugestii, że mogłam mieć z tym coś wspólnego. - Podeszła do okna.

Strang odczuł dzielący ich dystans oraz chłód, z jakim zaczęła go traktować. Próba powiązania jej z nacjonalistami zupełnie ją rozstroiła.

Usiadła, ale tym razem za biurkiem, przyjmując oficjalny wyraz twarzy.

- Mam nadzieję, że wyraziłam się dostatecznie jasno, panie Strang. Wniosłam tę apelację, ponieważ uważam przetrzymywanie go w tym brudnym więzieniu za nieludzkie. Nie mam innego powodu. Tak się składa, że obchodzi mnie los innych ludzi, zwłaszcza, jeśli są źle traktowani. Ale pan nie jest w stanie tego pojąć.

- Rozumiem jedno: prośenie Moskwy o zwolnienie Hessa jest beznadziejne. Staram się nie tracić czasu na rozważanie mało prawdopodobnych motywów i jestem podejrzliwy wobec ludzi, którzy tak właśnie postępują. Zawsze zastanawiam się, czy robią to tylko dla zabicia czasu, zamiast pograć w brydża czy poflirtować.

Mocno zwarła dłonie oparte na biurku.

- Niech pan to sobie daruje - powiedziała ze złością.

- W takim razie niech pani nie wydaje o mnie pochopnych sądów. Tacy ludzie są dla mnie również podejrzani. Promieniujące z nich samozadowolenie wcale nie nadaje ich słowom wiarygodności.

Zadzwoił telefon. Gwałtownym ruchem chwyciła słuchawkę nie spuszczając z niego wzroku.

- Jal... do pana. - Wyciągnęła rękę nad biurkiem. Kiedy sięgał po słuchawkę, niemal rzuciła mu ją ze złością.

- Słucham? - powiedział zaintrygowany.

- Pan Strang?

- Tak.

- Mówi pułkownik Goodblood. Mamy świeże wiadomości, które powinien pan poznać. Długo jeszcze zamierza pan tam zostać?

- Kilka minut. - „Co najwyżej”, pomyślał. Nic tu po nim.

- Coś się wydarzyło. Niech pan do mnie wpadnie w wolnej chwili. Wprowadzę pana w obecną sytuację.

- Oczywiście, panie pułkowniku. - Oddał jej słuchawkę. - Dziękuję pani.

Nie patrząc w jego stronę trzasnęła nią w widełki.

- Obawiam się, że nie mam dla pana więcej czasu. Czy chciałby pan wiedzieć coś jeszcze?

- Nie. Dziękuję za pomoc. Była pani bardzo łaskawa.

Ignorując jego słowa, oparła się wygodniej i spytała:

- Wnoszę, że pomimo utrzymywania tej sprawy w tajemnicy, małżonka Hessa oraz jego syn zostali o wszystkim powiadomieni.

- Nie.

- No więc ja im powiem.

- Nie chcę, żeby pani to zrobiła.

- Nie obchodzi mnie, czego pan chce.

- Jeśli pani im powie, cała sprawa wyjdzie na jaw.

- Jak najbardziej. - Wyglądała na zadowoloną.

- Środki przekazu zaczną o tym trąbić, panno Hartmann. Jego etatowi obrońcy zaczną wrzeszczeć, żebyśmy nie odsyłali go do Spandau, jeśli wróci do zdrowia.

- Oczywiście, panie Strang.

- To nic nie da. Moskwa i tak nigdy się nie liczyła z opinią publiczną. Przysporzy pani jego rodzinie niepotrzebnych nerwów. Proszę się od tego powstrzymać.

Nie odpowiedziała, ale widział, że ją przekonał. I tak chciała go pewnie tylko sprowokować. Ruszył w stronę drzwi.

- A może wy, Amerykanie, moglibyście nie odsyłać go do więzienia, skoro jest już w waszym szpitalu?

Odwrócił się.

- Na Boga, nie wiemy nawet czy zdoła przeżyć! Ma osiemdziesiąt trzy lata i połknął cyjanek.

- Ale może nie umrze. - Wstała. - Nie możecie wywieźć go samolotem z Berlina tam, gdzie Rosjanie nie będą w stanie mu zaszkodzić?

- Istnieje taki wariant. - Wiedział jednak, że to nieprawda. Waszyngton nie zaryzykowałby dla Hessa zaognienia stosunków z Moskwą. Nie był tego wart. - Ale ta możliwość zniknie, jeśli do sprawy dobierze się prasa i opinia publiczna zaczną wywierać nacisk, Moskwa uprze się, żeby natychmiast odesłać go do Spandau, bez względu na stan zdrowia. Wynikną z tego same kłopoty.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową. - Nie powiem nikomu.

- Tak będzie najlepiej. - Otworzył drzwi. - Do widzenia.

- Do widzenia, panie Strang. - Podeszła do drzwi i przytrzymała je.

W sekretariacie na kanapie siedział jakiś blondyn, który na widok Stranga wstał, uśmiechnął się do Karin Hartmann i ruszył w jej stronę. Kiedy Strang wychodził na korytarz, odwrócił się. Panna Hartmann i blondyn obejmowali się czule.

Rozdział 8

Strang wysiadł z taksówki przy przejściu do sektora amerykańskiego i piechotą udał się do budynku misji. Od razu wjechał na górę, do biura Goodblooda.

- Guten Tag, Herr Strang. - Uśmiechnął się, Goodblood uściskał mu dłoń.

- Guten Tag, Herr Oberst. - Wiedział już, że tak odtąd zostanie: zawsze będą mówili po niemiecku, kiedy będą tylko we dwóch. Goodbloodowi sprawiało to wyraźną przyjemność, a poza tym rozmowa traciła oficjalny charakter.

- Proszę. - Prowadził do wygodnych, skórzanych foteli po drugiej stronie gabinetu. Usiedli. - Zdaje się, że zidentyfikowaliśmy osobnika, który nabroił w Spandau.

- Kto?

- Niejaki Walter Lichti. Dzisiaj rano nie przyszedł do pracy.

- Czym się zajmuje?

- Jest pomocnikiem szefa kuchni.

- O, Boże!

- No właśnie. - Goodblood spojrział na swoje skrzyżowane nogi. Czubkiem palca przejechał po kancie spodni. - Lichti był w idealnym miejscu, żeby włożyć cyjanek do placka przeznaczonego dla Hessa.

- Czy podjął pan w związku z tym jakieś kroki?

- Poprosiłem policję zachodniobierlińską, żeby sprawdzili w jego mieszkaniu. Pojechali tam i nic. Ani śladu Lichta.

- Może spakował walizki i wyjechał?

- Nic na to nie wskazuje. Wszystko było na miejscu, nawet przybory do golenia. Ubrań też raczej nie brakowało. Nie mogli tylko znaleźć jego paszportu.

- A jakie ma obywatelstwo?

- Szwajcarskie.

- I mieszka samotnie? - Goodblood kiwnął głową.

- Nigdy nie był żonaty, zawsze mieszkał sam. Pracuje w Spandau od dwudziestu czterech lat i nigdy nie było z nim kłopotów. Wszyscy tam bardzo go lubili.

„Jezu Chryste”, pomyślał Strang. „Wszyscy go lubili”.

- Czy był wczoraj przesłuchiwany, panie pułkowniku?

- Tak. Przekonał moich ludzi, że nie było go w kuchni podczas przygotowywania lunchu dla Hessa. Potwierdziło to dwóch innych pracowników.

- Wygląda mi na to, że wiedział więcej niż zeznał. - „Boże, a oni pozwolili mu zwiać! Niech to szlag...” - Musimy go odnaleźć.

- Nic innego w tej chwili nie robimy. - Goodblood patrzył spoza okularów twardym wzrokiem. - Nie zajedzie daleko. Tutejsza i zachodniemiecka policja otrzymały jego fotografie.

- Myśli pan, że nie ma go już w mieście?

- Możliwe. Miał przecież dość czasu. Próbujemy sprawdzić, czy odleciał jakimś samolotem, albo przekroczył któreś z przejść...

- Łącznie z tymi do Berlina Wschodniego?

- Oczywiście.

- Nie wierzę, że pracował dla Rosjan. Jestem pewien, że to nie oni za tym stoją.

- Zgadzam się z panem, ale muszę wiedzieć na sto procent, czy nie uciekł na Wschód.

Zamyślony Strang pokiwał głową. Kto zapłacił Lichtiemu za tę robotę? Tego właśnie musieli się dowiedzieć.

- Czy pańscy ludzie w Spandau, pułkowniku, prowadzą przesłuchania pod kątem wyjaśnienia, z kim Lichti kontaktował się na zewnątrz?

- Tak. Z niego była, zdaje się, cicha woda. Niewiele o sobie opowiadał.

- A sąsiedzi?

- Policja rozmawia teraz z nimi. Mam nadzieję, że czegoś się dowiemy.

- Ktoś musiał go widzieć, jak z kimś rozmawiał. Jeśli przekupili go, żeby otrul Hessa, nie poszło im chyba łatwo. Człowiek, który przepracował tam tyle lat, niełatwo dalby się namówić do podobnego czynu.

- I pewnie zażądał za to sówitej zapłaty, która urządziłaby go na resztę życia.

- O ile pożyje na tyle długo, żeby móc wydać te pieniądze, panie pułkowniku.

I na tyle długo, żeby mogli go jeszcze znaleźć i przesłuchać. Czy pozwolą mu pozostać przy życiu dostatecznie długo?

Czwartek 28 kwietnia 1977

Rozdział 9

O godzinie pierwszej osiemnaście w nocy zadzwonił telefon recepcji konsulatu USA. Pełniący służbę oficer ochrony podniósł słuchawkę:

- Konsulat Generalny Stanów Zjednoczonych.

- Uwaga! To jest ostrzeżenie. - Ktoś mówił po angielsku z niemieckim akcentem. - Jeśli Rudolf Hess wróci do Spandau, wasz budynek zostanie wysadzony w powietrze. Czy zostałem zrozumiany?

Oficer nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał, siedział nieruchomo, trzymając słuchawkę. Zupełne szaleństwo. Co to miało znaczyć: „wróci do Spandau”? Czy Hess kiedykolwiek opuścił więzienie? To musiał być jakiś głupi dowcip.

- No prędzej! Zrozumiałeś, co powiedziałem?

- Tak. - Oficer zaczął zapisywać tajemnicze ostrzeżenie. - Kto mówi?

Rozmówca rozłączył się. Oficer zanotował dokładną godzinę tego telefonu.

Minutę później aparat zadzwonił w hallu misji i tamtejszy wartownik wysłuchał identycznej pogróżki.

Po kilkunastu sekundach, kilometr dalej, recepcjonistka w amerykańskim szpitalu wojskowym odebrała telefon. Obok niej stał żandarm, z którym właśnie rozmawiała. Zobaczył zdumienie na jej twarzy.

Czując ogarniający ją chłód poprosiła rozmówcę, żeby powtórzył swój komunikat. Jednocześnie przesunęła słuchawkę do żandarma dając mu znak ręką. Kiedy żołnierz pochylił się, usłyszał:

- Jeśli Rudolf Hess zostanie odesłany do Spandau, wasz budynek wyleci w powietrze, jasne?

- Kim, u diabła, jesteś? - krzyknął żandarm. Dobiegł go dźwięk odkładanej słuchawki. Natychmiast wykręcił numer, aby zameldować o otrzymanym telefonie.

- O czym on mówił? - spytała recepcjonistka. - O co mu chodziło z tym Hessem?

Ciągle wybierając numer odparł:

- Nie mam pojęcia. - Wiedział jednak o mężczyźnie leżącym na górze, zarejestrowanym pod nazwiskiem Schmidt. Wszystkim żandarmom powiedziano, że to ktoś bardzo ważny. Czekaając na połączenie spojrzął na dziewczynę. - Przepraszam cię. Mary, ale muszę cię poprosić, żebyś odeszła stąd kilka kroków. Nie możesz słyszeć tego, o czym będę mówił.

Odsunęła się przestraszona wzdłuż kontuaru, ciągle myśląc o niesamowitym telefonie. Żandarm odwrócił się do niej plecami i pochyliwszy się nisko, rozmawiał przyciszonym głosem.

Sześć kilometrów na północ, w centrum miasta, telefon zadzwonił również w konsulacie brytyjskim przy Uhlradstrasse. Nocny strażnik odebrał tam takie samo ostrzeżenie.

Rozdział 10

Strang nie był w swoim biurze nawet dziesięciu minut, kiedy zadzwonił Goodblood.

- Czy może pan do mnie wpaść?

- Coś nowego, panie pułkowniku?

- Tak. Mam złe wiadomości.

- Już biegnę.

Skacząc po dwa stopnie na raz, popędził schodami na trzecie piętro. Gdy wszedł, Goodblood odwrócił się od okna, przy którym stał.

- Nocą wydarzyło się parę ciekawych rzeczy. - Goodblood opowiedział mu o telefonicznych groźbach.

- A Francuzi? Czy też dostali ostrzeżenie?

- Nie. Brytyjczycy zaś tylko jedno. To może mieć znaczenie o tyle, że Spandau znajduje się w ich sektorze. Nas potraktowali jednak na pełną skalę.

- Co pan zamierza zrobić, pułkowniku?

- Wzmocnić ochronę tych budynków. Poprosiłem także berlińską policję, aby zwiększyła ilość ulicznych patroli.

- Jak się miewa Hess?
- Coraz lepiej. Wyliże się z tego. - Goodblood uśmiechnął się swoimi wąskimi ustami.
- To nieprawdopodobne. Oczywiście, przez pewien czas pozostanie jeszcze w szpitalu.
- Dopóki tam jest, nic się nie zdarzy.
- Tak. O ile pogróżki nie były żartem.
- Kto mógł być autorem tych telefonów, panie pułkowniku?
- Sam chciałbym wiedzieć. Wydaje się, że rozmówcą we wszystkich przypadkach była ta sama osoba. Nasi ludzie i ten z konsulatu brytyjskiego zgadzają się co do głosu. Ale kim jest i dla kogo pracuje... - Kręcąc głową Goodblood przysiadł na rogu biurka. - Mam nadzieję, że uda się nam ustalić, skąd dzwonił.

Musiał dobrze wyciągnąć nogę, żeby dotknąć podłogi czubkiem grubej podeszwy swojego buta. Druga stopa wisiała wysoko w powietrzu. Nie było mu wygodnie, ale widocznie chciał pokazać, że jest dostatecznie wysoki, aby siedzieć w tej pozycji.

- Ktokolwiek dzwonił, panie pułkowniku, musi być związany z ludźmi, którzy otruli Hessa. Tylko oni mogli wiedzieć, że Hess przebywa w szpitalu. Nikt inny praktycznie o tym nie wiedział. Wszystko utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Chyba, że...

- Możemy chyba przyjąć takie założenie.
- Chyba, że ktoś puścił farbę.
- To mało prawdopodobne, panie Strang. - Sugestia, że podjęte przez niego kroki dotyczące ochrony były niewystarczające nie sprawiła mu przyjemności.
- Istnieje jednak pewna możliwość.
- Mianowicie?
- Ta cholerna adwokat Hessa. - Powiedział Goodbloodowi, jak groziła, że rozdmucha całą historię.

Pułkownik ześliznął się powoli z biurka i stanął wyprostowany.

- Czy ona może za tym stać?
- Usilnie domaga się zwolnienia Hessa ze Spandau. - Strang wstał. - Mogła się więc do tego posunąć. Sprawdzę.

Rozdział 11

Pojechał prosto do biura, nie zapowiedziawszy telefonicznie swojej wizyty. Chciał obserwować jej reakcję na kłopotliwe pytania, które zamierzał jej zadać.

Kiedy wszedł, siwowłosa sekretarka podniosła wzrok. Poznała go, nie mogła sobie jednak przypomnieć nazwiska.

- Guten Morgen.

Zdecydowanym krokiem ruszył przez sekretariat.

- Muszę się zobaczyć z panną Hartmann.

- Tak, ale... - Wstając poprawiła okulary w grubej oprawce, które zjechały jej na czubek nosa. Jednocześnie podniosła z podłogi kartkę porwaną pędem powietrza. Strang już sięgał do klamki zewnętrznych, obitych skórą drzwi gabinetu Karin Hartmann. - Chwileczkę, proszę pana. - Podbiegła do niego, ale zdążył już otworzyć drzwi wewnętrzne.

Karin Hartmann podniosła głowę.

- Czego pan chce? - spytała lodowato.

- Porozmawiać. - Czuł za sobą obecność sekretarki.

- Nie mam dla pana czasu. Przygotowuję się do rozprawy sądowej. - Przeniosła spojrzenie na pokrywające biurko papiery.

- Może się pani znaleźć w sądzie jako oskarżona, jeśli nie da mi pani satysfakcjonującej odpowiedzi na kilka pytań.

- Co takiego? - Gwałtownie podniosła głowę i wstała za biurkiem. - Jak pan śmie odzywać się do mnie w taki sposób? Nie jest pan w Ameryce. Tutaj panują inne prawa!

Trzema susami podbiegł do biurka. Pochyliwszy się zbliżył twarz do jej twarzy.

- Musi pani odpowiedzieć na moje pytania. W przeciwnym razie zada je pani policja. Który wariant pani wybiera?

Stali mierząc się wzrokiem, oddzieleni szerokością biurka. Po chwili obojętnie odwróciła głowę.

- W porządku, Greta. Zostaw nas samych.

Wycofując się, sekretarka zamknęła za sobą drzwi. Karin Hartmann powoli usiadła.

- No więc, słucham. Dlaczego wbiega pan tu jak burza i naskakuje na mnie niczym szalenciec?

- Komu pani powiedziała o Hessie?

- Nikomu.

Zauważył nerwowe mrugnięcie jej oczu oraz delikatne drżenie w kącikach ust. Nie umiała kłamać zbyt dobrze.

- Z kim pani rozmawiała?

- Nikomu o tym nie wspomniałam.

Patrzył na nią, siedzącą za biurkiem i nie był pewien, co o niej sądzić. Nie uważał, żeby rozmyślnie starała się przemilczeć coś ważnego. Może wspomniała mimochodem o Hessie sekretarce lub przyjacielowi, tak, że teraz nie potrafiła odpowiedzieć „nie” w przekonujący sposób. Była zirytowana i wrogo do niego nastawiona, ale nie odniósł wrażenia, jakby miała przed nim coś do ukrycia. Na pewno nie miała nic wspólnego z groźbami zamachów bombowych.

- Wydawało mi się, że wczoraj przekonałem pani o konieczności utrzymania całej sprawy w tajemnicy. Zresztą dla dobra Hessa.

- Jak najbardziej. Przecież mówię panu, że nie przekazałam nikomu tej informacji. Dlaczego wtargnął pan tutaj i zadaje mi podobne pytania? - Nagle zaświtała jej myśl. - Czy coś się stało z Hessem?

- Nie. Jego stan ulega poprawie. Ale ktoś dzwonił do naszej misji grożąc podłożeniem bomby, gdyby Hess wrócił do Spandau.

Była zaskoczona.

- O Boże!

- Telefonował także do szpitala, naszego oraz brytyjskiego konsulatu. Znosi się na całą serię eksplozji.

- I dlatego przyszedł pan do mnie?

Był już pewien, że nic o tym nie wiedziała. Albo też była wyjątkowo utalentowanym kłamcą, w co wątpił lub, w końcu, wariatką, czego objawów nie zauważył. Okazywała trochę złej woli, lecz to można było w zaistniałej sytuacji zrozumieć. Nikt przecież nie lubi natarczywego nagabywania i fałszywych oskarżeń.

- Jest pani jedyną osobą spoza grona bezpośrednio związanych ze sprawą, która o niej wiedziała. W kilka godzin po naszej ostatniej rozmowie otrzymaliśmy te pogróżki. Niezwykły zbieg okoliczności, panno Hartmann.

- I nic ponadto! - Pokręciła szybko głową. Blond włosy przeleciały łukiem po jej twarzy. - Na miłość boską, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, o co mnie oskarża?

- Nie oskarżam pani. Chcę tylko wiedzieć, czy powiedziała pani komuś o Hessie. Komukolwiek. Ten ktoś mógł to przekazać człowiekowi, który do nas telefonował.

- Powtarzam: ode mnie nikt się o tym nie dowiedział. Jak pan może przypuszczać, że mam kontakty z terrorystami?

Nie odpowiedział. Nagłym ruchem odwróciła głowę i wpatrzyła się w roślinę rosnącą w doniczce przy jednym z okien. Niecierpliwym ruchem potarła wierzchem dłoni pod okiem,

które było poza zasięgiem jego wzroku. Dostrzegł jednak jak przełknęła. Kiedy ponownie spojrzała na niego, twarz miała opanowaną, ale oczy wilgotne.

- Niech pan siada, panie Strang.

- Nie zamierzam tu dłużej pozostawać.

- Proszę pana. Chcę coś powiedzieć, a nie lubię, jak ktoś stoi nade mną.

Usiadł przed biurkiem.

- Niech pan mnie więcej o to nie pyta, ale niech pan zrozumie, że moim jedynym pragnieniem jest wydostanie Hessa ze Spandau, tak, by mógł żyć spokojnie ze swoją rodziną przez te lata, które mu jeszcze pozostały. Kiedy w styczniu rozmawiałam z nim w więzieniu o apelacji, wyglądał tak bezradnie... - Zaciśnęła wargi. - Nie wiem i nie obchodzi mnie, w czym brał udział, ani w co wierzył. To było trzydzieści i więcej lat temu. Jak długo może przetrwać żądza zemsty, jeśli uważamy się za zdrowych na umyśle ludzi? Był sądzony w Norymberdze przez trybunał, w którym zasiadał Rosjanin, reprezentant reżimu odpowiedzialnego za śmierć milionów ludzi. Uznano go winnym tak zwanych zbrodni, które nie były zbrodniami, gdy robił rzeczy, o które go oskarżano. I to miała być sprawiedliwość?...

Strang słyszał już podobne rzeczy z ust osób, które uważały trzymanie Hessa pod kluczem za przestępstwo, ale jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś mówił o tym z takim przejęciem jak ona.

- ... A potem został skazany na dożywotnie więzienie. Kto mógł przypuszczać, że będzie to potraktowane dosłownie? Tylko Rosjanie, ci podli barbarzyńcy. Nawet tych sześciu, którzy zostali umieszczeni w Spandau razem z nim, zostało przedterminowo zwolnionych ze względu na zły stan zdrowia, Ale nie Hess. Rosjanie nigdy go nie wypuszczą. A jaką popełnił zbrodnię? Po pierwsze, był przekonania antykomunistycznego, a po drugie, poleciał do Anglii, żeby namówić Brytyjczyków do wspólnej wojny przeciwko Rosji. Dla Rosjan właśnie to są jego zbrodnie, mimo że mogą twierdzić inaczej. No i siedzi w Spandau, aby radzieckiej sprawiedliwości stało się zadość. Według mnie, to niehumanitarne i ludzie na Zachodzie powinni domagać się jego uwolnienia. Do tego dążę. Czy jest pan w stanie mnie zrozumieć? Czuje pan choć odrobinę współczucia dla starego Hessa?

- Tak.

Z niedowierzaniem przekrzywiła głowę.

- Co proszę?

- Zgadzam się z panią. Uważam, że powinien zostać zwolniony. I to wiele lat temu.

- Wczoraj jakoś nie wyczułam u pana tej szlachetności.

- Podobno niełatwo wyczuć moje intencje. Trzeba mnie było spytać, co myślę. Istniała możliwość, że odpowiedziałbym pani.

- No tak. - Powoli uśmiechnęła się. - Trochę się chyba uprzedziłam. Pan nie ubiera się jak pracownik CIA, a teraz nawet pańskie słowa nie bardzo mi pasują do instytucji, którą pan reprezentuje.

- A iluż ludzi z CIA zdążyła pani poznać?

- Zdaje się, że żadnego. Znowu ma pan rację. To wszystko przez moje uprzedzenie. Pomyśli pan, że jestem bardzo drobnomieszczańska.

- Ależ skąd. Pani się uczy życia, panno Hartmann.

Roześmiała się.

- Proszę mi mówić Karin. Jeśli mamy być wobec siebie zupełnie szczerzy, powinniśmy zwracać się do siebie po imieniu.

- Tak. Jeszcze jedno, Karin. Nie ma chyba sensu, żebyś poświęcała aż tyle swojego życia na wydostanie Hessa z więzienia. Stanowisko Moskwy nie ulegnie zmianie. Nigdy.

Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jakby się czuł, gdyby czekało go dożywotnie przebywanie w więzieniu. Wiedział tylko tyle, że nie zniósłby tego. Do diabła z tymi egzystencjalnymi bzdurami o człowieku, który będąc fizycznie zniewolonym ma wolność duchową i niedostępne dla nikogo królestwo swoich myśli. To nie wystarcza do poczucia pełnej swobody, przynajmniej jemu. Gdyby był jednym z więźniów Spandau, pierwszego dnia spróbowaliby przeskoczyć przez mur i wartownicy wykończyliby go. Nie mógł jednak powiedzieć o tym Karin. Jego otwartość miała swoje granice.

- Wielu ludzi podziela twoje zdanie, Karin, i nic z tego nie wynika. Wszyscy oni powtarzali te same rzeczy o Norymberdze już w tamtych czasach, a potem przez kolejne trzydzieści lat: była to sprawiedliwość zwycięzców a prawdziwa zbrodnia Hessa oraz innych polegała na tym, że przegrali tę wojnę. Nie pytaj mnie ilu Amerykanów, Anglików, Rosjan i Francuzów otrzymałoby wyroki za zbrodnie wojenne, gdyby stanęli przed sądem po Norymberdze. Nie pytaj ilu Chińczyków, Arabów, Żydów, czarnych i białych Afrykanów. Jesteś prawniczką, więc nie powinnaś mnie pytać czy w Norymberdze dokonał się akt sprawiedliwości. Była to zwykła, ludzka zemsta. Przez to nie daje o sobie zapomnieć.

- Naprawdę źle cię oceniłam. - Nagle przypomniała sobie o czymś i spojrzała szybko na zegarek. - Przepraszam cię, ale muszę gonić do sądu. - Zgarnęła papiery z biurka do teczki i wstała. - Nie jestem pewna, czy przekonałeś mnie o bezcelowości dalszych prób zwolnienia Hessa, ale może moglibyśmy o tym jeszcze kiedyś porozmawiać?

- Owszem, moglibyśmy.

- Czy powiesz mi w końcu, jak masz na imię?
- Philip.

Rozdział 12

30 lipca 1945, dwanaście tygodni po kapitulacji Trzeciej Rzeszy wobec armii państw sprzymierzonych, delegacje sztabów wojskowych czterech mocarstw spotkały się w Berlinie na pierwszej konferencji Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec. Stanowiła ona wojskowy rząd Niemiec, koordynujący administrację w czterech strefach okupacyjnych.

Już wtedy Związek Radziecki usiłował nie dopuszczać wojsk państw zachodnich do kontrolowanej przez siebie strefy i dlatego zaproponował, aby siedzibą Rady był amerykański sektor Berlina. Tak więc inauguracyjne spotkanie odbyło się w częściowo zburzonym budynku mieszczącym sztab armii USA w Berlinie.

Na początku lipca pierwsze oddziały alianckie przekroczyły granice radzieckiej strefy okupacyjnej kierując się na Berlin. Wjechali do zupełnie zrujnowanego miasta. W kanałach, przy pokrytych gruzem ulicach oraz w stawach, między pokiereszowanymi pniami drzew Grunewaldu i lasku Tegeler, wszędzie tam, na wodzie unosiły się ciała zabitych. Mieszkańcy Berlina otrzymywali codzienne racje żywnościowe po osiemset kalorii. Pracowali ciężko przy odbudowie budynków, w których miały znaleźć się pomieszczenia sprawującej władzę wojskowej rady. Byli już na skraju sił i dopiero amerykańskie ciężarówki z żywnością dały im możliwość spożycia gorących posiłków. W czasie ostrzeliwania przez radzieckie działa, czołgi, moździerze i rakiety całe budowle rozleciały się na pojedyncze cegły.

W centrum miasta - dzielnicy Schonenberg - zniszczone było dziewięćdziesiąt procent budynków, z czego niemal połowa pokryła rumowiskiem ulice. Jako jeden z mniej uszkodzonych ostał się gmach Sądu Apelacyjnego - Kammergericht - o pięciuset wysoko sklepionych pomieszczeniach. Dookoła niego ziemia była zryta lejami po bombach i śladami, które zostawiły czołgowe gąsienice. Wygląd tego ogrodu nie licował z majestatem budynku.

W ciągu lipca i przez pierwszy tydzień sierpnia inżynierowie z armii amerykańskiej oraz niemieccy robotnicy naprawiali stary gmach, porządkowali przyległe tereny zieleni, tak, że 10 sierpnia mogło odbyć się drugie spotkanie Rady, już w swojej stałej siedzibie.

Na południowy zachód, w dzielnicy Dahlem, która także leżała w sektorze amerykańskim, w ten sam sposób odbudowano duży, trzypiętrowy dom o stu pomieszczeniach. Kiedyś było tu towarzystwo ubezpieczeniowe, a obecnie przeznaczono go

dla Komendantury, wojskowego ciała sprawującego władzę nad samym Berlinem, oddzielnie od reszty Niemiec.

We wszystkich pomieszczeniach tych dwóch budynków oraz w ich korytarzach pełno było ludzi w mundurach czterech mocarstw. Na zewnątrz gmachów powiewały flagi Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji. Powiewały obok siebie tylko przez trzy lata.

20 marca 1948, nie mogąc zgodzić się na koncepcję przyszłości Niemiec przedstawioną przez zachodnich sojuszników, delegacja radziecka pod przewodnictwem marszałka Wasylia Sokołowskiego opuściła siedzibę Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec i nigdy tam nie wróciła. Rada nie zebrała się już więcej.

16 czerwca generał major Aleksander Kotikow opuścił Komendanturę na czele całej delegacji radzieckiej. Mimo to, komendanci garnizonów trzech państw zachodnich spotykali się co miesiąc od 1948 roku, sprawując dyskretną kontrolę nad władzami lokalnymi Berlina Zachodniego, burmistrzem i jego gabinetem.

Dzisiaj w Komendanturze miało miejsce wyjątkowe spotkanie. Odbywało się ono na wniosek głównodowodzącego wojsk radzieckich w NRD, który wysłał swojego delegata z prośbą o przyjęcie i wysłuchanie go. Nie mieli wątpliwości, że Moskwa chciała omówić sprawę Hessa i skorzystali z okazji, by poznać jej stanowisko.

Przy stole w sali konferencyjnej zasiadli: generał major Benson, komendant amerykański; Brytyjczyk - generał major Henshaw; generał Bourdais z garnizonu francuskiego oraz delegat radziecki - generał major Igonin. Przed każdym z nich stał mikrofon i każdy miał na uszach słuchawki, aby słyszeć symultaniczne tłumaczenie wypowiedzi obecnych. Na ścianie wisiały fotografie trzech komendantów zachodnich i generała majora Kotikowa, który opuścił to pomieszczenie przed dwudziestu dziewięciu laty.

Igonin z miejsca przystąpił do ataku.

- Jestem tutaj, żeby przekazać panom stanowczy sprzeciw mojego rządu wobec wywiezienia ze Spandau więźnia numer siedem, zbrodniarza wojennego Hessa. - Kiedy siedmiu przywódców nazistowskich przewieziono z Norymbergii do Spandau i nadano im numery więzienne, Hess otrzymał siódemkę.

- Stan jego zdrowia był bardzo poważny, generale - odparł Benson. - I ciągle takim pozostaje.

- Radziecki dyrektor w Spandau protestował przeciwko jego przeniesieniu do szpitala i domagał się przeprowadzenia zabiegów leczniczych w ambulatorium więziennym.

- Radziecki dyrektor więzienia nie jest lekarzem, a poza tym już wiele lat temu wszystkie nasze rządy stwierdziły, że ambulatorium w Spandau nie nadaje się do użytku.

- Przed wywiezieniem Hessa nie poproszono o konsultację lekarza radzieckiego.

- Ponieważgo tam nie było, generale. Zgodzi się pan chyba ze mną, że czekanie na niego nie było najlepszym rozwiązaniem. W zaistniałych okolicznościach nie byliśmy pewni, czy Hess zgodziłby się poddać badaniu przez waszego lekarza. - Z kamienną twarzą Benson spojrział ponad mikrofonem na siedzącego naprzeciw komendanta brytyjskiego. Z Henshawem znali się od dawna i mieli podobne poczucie humoru.

Anglik oparł się w swoim krześle i w jego oczach zamigotały iskierki rozbawienia, chociaż twarz pozostała bez wyrazu. Czubkiem palca dotykał blizny, która biegła od lewego kącika ust łukiem przez policzek, omijała lewe oko i nikła wśród włosów. Pamiątka po bombie, która wybuchła sześć lat temu w Irlandii Północnej, gdzie dowodził brygadą piechoty.

Igonin niczego nie zauważył.

- Mamy informację, że stan zdrowia numeru siedem jest zadowalający i...

Benson powoli nachylił się do mikrofonu.

- Przepraszam, generale. Czyj stan?

- Numeru siódmego.

- Obawiam się, że będzie pan musiał mówić o nim „Hess”. Oznaczenia cyfrowe nie są znane wszystkim spośród obecnych - Benson popatrzył dookoła od Henshawa po Bourdaisa - a chcielibyśmy uniknąć nieporozumień. To znaczy takich nieporozumień, których da się uniknąć.

Igonin zacisnął mocno palce na podstawce swojego mikrofonu. W mundurze o szerokich, wyszywanych pagonach wydawał się kanciasty i wielki.

- Stan więźnia Hessa został uznany za zadowalający - powiedział ciężko. - Dlatego mój rząd wyraża życzenie, aby został on natychmiast przewieziony z powrotem do Spandau.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę - odparł Benson. - Ma pan rację, że stan Hessa znacznie się poprawił, ale on ma osiemdziesiąt trzy lata, przeszedł ciężkie zatrucie cyjankiem, a w szpitalu spędził jedynie dwa dni. Wypisanie go z naszego szpitala, w którym otrzymuje najlepszą możliwą opiekę byłoby niepotrzebnym i, proszę mi wybaczyć to słowo, niemądrym posunięciem. Mam nadzieję, że pozostali obecni zgodzą się ze mną. Generale Bourdais?

Opalona twarz francuskiego generała wyrażała nieprzejędanie. Miał białe wąsy oraz takiegoż koloru krótkie włosy, nadające jego opaleniznie bardzo ciemny wygląd. W ogóle sprawiał wrażenie znacznie młodszego niż sugerowała barwa jego włosów.

- Byłby to akt wielkiej głupoty - odezwał się Bourdais, - gdyby odesłano Hessa do więzienia przed zakończeniem rekonwalescencji. - Mówiąc patrzył prosto na Igonina jakby go nienawidził, chociaż nigdy przedtem się nie spotkali.

Benson spojrział na Henshawa.

- A jakie jest pańskie zdanie, generale?

- Absolutnie popieram. Nie wyobrażam sobie, aby mógł wrócić do Spandau zanim będzie w pełni sił. Nawet bym się nad tym nie zastanawiał.

Igonin przypatrywał się wszystkim trzem. Benson powiedział:

- Gdybyśmy zrobili to przedwcześnie i Hess zmarłby w więzieniu, opinia publiczna podniosłaby wielki szum poznawszy towarzyszące temu okoliczności. Żaden z naszych rządów nie chciałby, aby tak się stało.

- Mojemu rządowi chodzi o sprawiedliwość, a nie o poklask opinii publicznej, generale Benson. Sprawiedliwość zaś domaga się, aby Hess siedział zamknięty w celi więzienia Spandau.

- Ale jeśli wróci tam zbyt wcześnie, może umrzeć. Przecież pański rząd tego nie chce, generale. Wasz dyrektor, który był przeciwny zabranii Hessa do szpitala, zrozumiał to dość szybko.

- Mówi pan, że gdyby wrócił za wcześnie, to mógłby nie wytrzymać?

- Oczywiście, generale.

- Przekazę pańską opinię swoim przełożonym.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Benson popatrzył na przygotowane przed spotkaniem uwagi w notesie. - Obecnie prowadzimy dochodzenie, mające na celu wyjaśnienie wszystkich okoliczności tego, co zaszło. Jeśli okaże się, że ktoś usiłował go zabić, a my nie odkrywamy kto, powrót Hessa do Spandau da mordercy kolejną szansę, którą tym razem może wykorzystać w stu procentach.

- Czy nie sądzi pan, że to była próba popełnienia samobójstwa, tchórzliwej, samobójczej ucieczki, której próbował już nieskończoną ilość razy?

- Ta nieskończona ilość zamyka się w czterech podobnych przypadkach, generale. Wcale nie jesteśmy przekonani, że to była próba targnięcia się na życie. Co więcej, uważamy to za bardzo mało prawdopodobne.

- Jak to? - Igonin pochylił się do mikrofonu. - Czy chce pan przez to powiedzieć, że nastąpiło coś, co sugeruje wersję o morderstwie?

- Zniknął jeden z cywilnych pracowników Spandau, generale, i my...

- Kiedy? Przepraszam, generale Benson. Kiedy to się stało?

- Człowiek ten wczoraj rano nie zjawił się w pracy.
- Wczoraj rano? Dlaczego nie zostaliśmy o tym poinformowani?
- Przecież nie ma tu o czym mówić. Tyle tylko, że mężczyzna nazwiskiem Lichti najwyraźniej zniknął.

- Zniknął! Chciał pan powiedzieć, że ten Lichti próbował zabić Hessa, a teraz po prostu uciekł. - Igonin wcisnął głowę w swoje kanciaste ramiona, koniuszkiem uszu niemal dotykając naramienników. Oparł się ciężko o stół.

- Chcemy go przesłuchać, ale jest teraz nieosiągalny. To wszystko. Szukamy i nie wątpię, że znajdziemy go.

- W imieniu moich zwierzchników, stanowczo żądam dopuszczenia nas do prowadzenia śledztwa.

- Wasz dyrektor otrzymał już pozwolenie na przesłuchanie radzieckich strażników ze Spandau.

- Miałem na myśli uczestnictwo w całości dochodzenia, we wszystkich związanych z nim czynnościach.

Benson pochylił się nad mikrofonem kręcąc głową.

- Wykluczone. - Oparł się ponownie w krzesło.

- Mamy legalne prawo brać udział we wszystkim, co ma związek z administrowaniem Spandau oraz bezpieczeństwem więźniów. To prawo wynika z międzynarodowego traktatu.

- Nie wydaje mi się, żeby układ przewidywał możliwość śledztwa w sprawie o usiłowanie morderstwa, generale. W każdym razie, w tym miesiącu kontrolę nad Spandau sprawują Stany Zjednoczone. Interpretuję to jako obarczenie nas wyłączną odpowiedzialnością za całkowite wyjaśnienie wszystkich aspektów zdarzenia.

Henshaw wpadł mu w słowo:

- Ponieważ Spandau znajduje się w sektorze brytyjskim, musiałbym, oczywiście, wyrazić uprzednio zgodę na wkroczenie do więzienia innych niż amerykańscy oficerów śledczych. Tego jednak wolałbym za wszelką cenę uniknąć.

Igonin nie odezwał się.

- Zdecydowanie popieram stanowisko generałów Bensona i Henshawa - powiedział Bourdais. - Jestem przekonany, że ludzie generała Bensona doprowadzą tę sprawę do pełnego wyjaśnienia. - Mówiąc te słowa patrzył twardo na Igonina.

Pięć lat temu, kiedy stacjonował w Marsylii, odbyła się tam demonstracja komunistów, która przekształciła się w zamieszki ogarniające centrum miasta. Jeden z nich rzucił butelkę z benzyną, która wybuchła potężnym płomieniem na samochodzie jego żony.

Nie zdążyła nawet chwycić za klamkę. W ciągu następnych sześciu miesięcy włosy i wąsy Bourdaisa z czarnych zrobiły się białe. Znienawidził komunistów. Wiedział, że to nieracjonalne, ale nie potrafił nad sobą zapanować, nigdy też nie umiał pogodzić się ze śmiercią żony. Z takimi myślami spojrzął ponownie na Igonina.

- Propozycja włączenia waszych ludzi do prowadzenia śledztwa jest nieodpowiedzialna i nie może być traktowana poważnie.

Jakby go nie słyszał, Igonin zwrócił się do Bensaona:

- Czy mam to przekazać moim zwierzchnikom jako pańską ostateczną decyzję w tej sprawie, generale?

- Tak. Proszę również zaznaczyć, że dochodzenie jest prowadzone nie tylko w Berlinie Zachodnim, ale też w RFN i innych krajach Europy. Właśnie tam szukamy Lichtiego. Zakładamy, że jeśli to on próbował zabić Hessa, musiał być sowicie opłacony. Nie uważamy, aby opuściwszy Berlin Zachodni mógł się udać do wschodniej części miasta, czy w ogóle do NRD. - Benson westchnął ciężko. - Gdyby tak się stało, komplikacje byłyby oczywiste. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Naturalnie, że rozumiem i z pewnością ten człowiek nie uciekł do Niemiec Wschodnich.

- W takim razie, nie wiem, w jaki sposób wasi ludzie mogliby nam pomóc - rzekł Benson.

Siedział czekając na odpowiedź Igonina, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że radziecki generał nie miał nic do powiedzenia, popatrzył do swojego notesu. Przez całe spotkanie słuchając Igonina i pozostałych rysował grube, czarne kreski, niektóre proste i spiczaste, inne w parach stanowiących ramiona kąta, a wszystkie zakończone strzałkami. Wyglądały niczym linie wskazujące kierunki natarcia na mapach wojskowych. Benson był spadochroniarzem. W czasie II wojny światowej jako młody podporucznik 101 dywizji desantowej został zrzucony w Normandii i stacjonował w Bastogne. Potem walczył w Korei, oraz - trzykrotnie - w Wietnamie. Objęcie komendantury w Berlinie uważał za bardziej odpowiednie dla polityka niż wojskowego, ale skoro już otrzymał taki przydział, wypełniał swoje obowiązki z najwyższym poświęceniem. Wiedział jedno: gdyby kiedyś przyszło mu służyć tutaj jako żołnierzowi - dowódcy walczących oddziałów - Berlin stałby się najciekawszym miejscem na świecie. Nie stawiałby długiego oporu, ale walka na pewno byłaby interesująca.

Rozdział 13

Wbiegając po schodkach prowadzących ze stacji metra na ulicę Strang spojrzął na zegarek. Do spotkania z Krugerem pozostały jeszcze cztery minuty. Znalazłszy się na zalanym promieniami słońca chodniku podszedł do krawężnika i odwrócił głowę, aby zobaczyć ludzi, którzy wyszli razem z nim z kolejki podziemnej. Tak na wszelki wypadek. Nie spodziewał się żadnych kłopotów, ale zawsze instynktownie sprawdzał, czy na horyzoncie nie było widać nic podejrzanego.

Ze stacji wyszły dwie kobiety w średnim wieku i razem skierowały się do przystanku autobusowego. Za nimi pojawiła się para - kobieta trzymająca mężczyznę pod rękę. Odeszli ulicą nie oglądając się za siebie. W wyjściu ze stacji pojawił się idąc powoli starzec i dołączył do dwóch kobiet czekających na przystanku.

Przy krawężniku zatrzymał się autobus. Kobiety puściły starca przodem i same również wsiadły do środka. Strang patrzył jak autobus odjeżdża, po czym skierował wzrok wzdłuż Seidelstrasse szukając srebrnoszarego audi.

W Berlinie było wiele kobiet podobnych do tych, które odjechały autobusem. Miał wrażenie, że około trzydzieści procent populacji stanowiły pięćdziesięcioletnie starsze, niezamężne kobiety. Wszystko to wdowy albo niedoszłe żony, które straciły swoich narzeczonych, czy chłopaków w czasie wojny. Dla nich czas stanął w miejscu.

Kiedy dojrzał zbliżające się audi, spojrzął na zegarek i uśmiechnął się. Kluger, jak zawsze, był bardzo punktualny. Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Strang wsiadł i zatrzasnął drzwi, gdy pojazd już ruszał.

- Jak się masz, Dieter?

- No cóż - Kluger kiwnął głową żując gumę. - Jest chyba okay.

- Ton twojego głosu jakoś tego nie zdradza.

Kluger nie odpowiedział i Strang zauważył, że myślami jest gdzie indziej. Domyślał się, jaki Kluger miał problem i czuł, że zaraz zacznie o tym mówić, chociaż miał pewne wewnętrzne opory.

- Phil, czy możemy przez chwilę porozmawiać o czymś osobistym?

No tak. Problem nowożeńców. Czy długo potrwa, zanim ta sprawa zacznie ujemnie wpływać na jego pracę? Na Boga, przecież właśnie teraz miało to miejsce. Nie prosił Klugera o spotkanie, aby dyskutować o jego małżeństwie.

- Jasne, że możemy.

Kluger nie mógł znaleźć właściwych słów, żeby zacząć.

- O co chodzi, Dieter?

- Słuchaj. - Kluger zdjął jedną dłoń z kierownicy. Kręcąc nadgarstkiem wykonywał nią koliste ruchy, jakby pomagając słowom przejść przez gardło. - Kiedy byłeś żonaty, czy miałeś jakieś problemy z seksem?

Jezus Maria.

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Nie wiem. - W napięciu szybko żuł gumę. - Może mógłbyś mi powiedzieć czy ty i twoja żona...? Nie, przecież to nie wypada.

- Co takiego?

- Czy uważasz za normalne, żeby chcieć to robić trzy albo cztery razy każdej nocy? Czy nie ma w tym nic niezwykłego?

- Według mnie, jest to całkiem w porządku.

Kluger zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem.

- Ty draniu. Mówię zupełnie poważnie.

- No dobrze. Więc Irena chce to robić trzy, cztery razy przez każdą z siedmiu nocy tygodnia?

- Właśnie.

- I nie dajesz rady?

Kluger spojrzał na niego z ukosa.

- Tu nie chodzi wyłącznie o męskość.

- No więc o co? - Musieli dojść do jakiejś konkluzji, żeby Kluger poczuł się bardziej rozluźniony. W takim stanie jak teraz, pożytek z niego byłby o wiele mniejszy.

- Gdy ona zaczyna swoje zaloty, zwykle jestem już zbyt zmęczony. - Kluger skręcił na drogę prowadzącą na północny wschód, do Lubras, peryferyjnej miejscowości, w której zamierzali zjeść wspólnie lunch. - Czy ty miałeś podobny problem?

- Nie. - Jeśli mają rozmawiać o małżeństwie Klugera, będą to musieli robić nie wywlekając spraw jego własnego związku, który zresztą rozpadł się siedem lat temu. - Ale kiedy się żeniłem, miałem tylko dwadzieścia pięć lat, a dwadzieścia siedem, gdy się rozstaliśmy. To było krótkie.

- Przecież nie jestem dziewięćdziesięcioletnim starcem. Mam czterdzieści trzy lata. Po prostu o północy oczy same mi się zamykają. Zawsze tak było, nawet gdy byłem osiemnastolatkiem.

- Czy próbowałaś powiedzieć Irenie, że wszystko ułożyłoby się lepiej, gdybyście robili to przed kolacją, tak abyś o północy mógł spokojnie zasnąć?

- Nie. Pomyślałaby, że szukam wymówki.

- Wkrótce zaczniesz tak myśleć, jeśli szczerze z nią nie pogadasz, Dieter.

Udzielał dobrych rad o tym, jak ważne są szczerze rozmowy z żoną. Komunikacja werbalna. Powinna to słyszeć Paulina. Ale oni nie mieli problemu takiego jak Kluger. O tym łatwo byłoby porozmawiać. Niełatwo było jednak żyć z kimś, kto oczekiwał od ciebie zupełnego otwarcia się, bliskości pozwalającej na poznanie wszelkich twoich uczuć i myśli. To nie pozostawiało nawet odrobiny miejsca na własne, tylko sobie znane sekrety. Dla jego skrytej, samotniczej natury to było nie do przyjęcia. Lecz Paulina, gdy już go dobrze poznała, nie próbowała zmienić. Po dwuletniej walce z jego przyzwyczajeniami powiedziała, że oboje są zupełnie normalnymi ludźmi, ale po prostu do siebie nie pasują. Odeszła, chociaż nie mogła wyobrazić sobie dalszego życia z kimś innym. Wołała zostać sama. Nigdy nie przestała jej podziwiać, za tak dojrzałą decyzję.

- Chyba masz rację, Phil. Powiniennem porozmawiać o tym z Ireną.

- Zrobisz to?

- Tak. - Żując szybko, z uśmiechem skinął głową.

- Powodzenia.

- Ja też mam problem z kobietą.

Kluger przyjrzał mu się uważnie, podejrzewając jakiś kawał.

- Z kim?

- Karin Hartmann.

- Naprawdę? Czyżby sprawiała ci jakieś kłopoty?

- Nie, ale po tym jak rozmawiałem z nią wczoraj, ktoś zagroził wysadzeniem w powietrze naszej misji i kilku innych budynków. - Opowiedział Klugerowi o telefonach.

- Nieźle. Myślisz, że ona wie coś o tym?

- Nie sądzę. - Pokręcił głową patrząc przez boczną szybę. - Raczej nie.

- To nie brzmi zbyt przekonująco.

- Jestem pewien, że jest czysta, Dieter. Rozmawiałem z nią dwie godziny temu i wierzę w jej szczerłość.

- Nie wyobrażam sobie, aby mogła mieć coś wspólnego z podkładaniem bomb, Phil. Straszna z niej lwica, która nigdy się nie poddaje. Taką ma reputację. Ale nie mieszałyby się w podobne historie.

Skreśli z głównej drogi i pojechali w kierunku Lubars.

- Mogła jednak powiedzieć o Hessie komuś, kto nie przejawia wstrętu do podkładania bomb.

- Spytałeś ją o to?

- Pewnie, że spytałem i naturalnie zaprzeczyła, ale nie wiem, czy powiedziała mi prawdę.

- Nie ufasz jej, co?

- Nie mam powodu, żeby jej nie wierzyć. Nawet ją lubię. Ale mogę się przecież mylić.

- Ty? To niemożliwe.

- Odpieprz się. - Kluger roześmiał się.

- Błagam. Jeśli również ty tego chcesz, zupełnie opadnę z sił.

Na ustach Stranga pojawił się uśmiech.

- Potrzebuję informacji o jej znajomych, o każdym, z kim mogła rozmawiać. Może znajdziemy wśród nich kogoś mniej niewinnego niż ona.

- Zaraz po lunchu sprawdzę nasze dane. Jeśli znajdzie się ktoś podejrzany, dam ci znać.

- Powiadom mnie bez względu na rezultat. Ta sprawa nie daje mi spokoju.

- W porządku. - Kluger kiwnął głową.

Zatrzymali się na końcu centralnej uliczki miasteczka, naprzeciwko starej gospody o czerwonym dachu, dokąd czasami przyjeżdżali na lunch.

Strang sięgnął do klamki.

- A co z Lichtim? - spytał Kluger. - Jest coś nowego?

- Nie.

- Tuż przed wyjazdem na spotkanie z tobą rozmawiałem z policją. Też nic nie mają.

Nie wykryto żadnych jego powiązań z nacjonalistami.

- Nie musi być ideowcem. Pieniądze na pewno wystarczyły.

- Odnajdzie się, Phil.

- Mam nadzieję. - Strang otworzył drzwi samochodu.

Rozdział 14

Kiedy skończyli lunch było już dobrze po południu. Strang pojechał do swojego mieszkania. Od pewnego czasu starał się pracować w domu jak najwięcej, gdyż Tillman, w związku ze sprawą Hessa, robił się coraz bardziej nerwowy. Strang nie miał ochoty na

znoszenie humorów swojego szefa, które zresztą ujemnie wpływały na efekty jego, Stranga, pracy.

Po około dwudziestu minutach, w czasie których intensywnie myślał, zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się Tillman.

- Gdzież ty się, na Boga, podziewasz? Od półtorej godziny wydzwania tu i dopytuje się o ciebie panna Hartmann. Przed chwilą znowu telefonowała.

- O co jej chodziło?

- Nie wiem. Chciała rozmawiać tylko z tobą.

- Jest teraz w swoim biurze?

- Tak.

- Zaraz do niej zadzwonię, Jack.

Wykręcił numer. Kiedy tylko sekretarka połączyła go z Karin i usłyszał jej głos, od razu poznał, że była bardzo zdenerwowana.

- Próbowałam skontaktować się z tobą, Philipie.

- Właśnie zadzwonili do mnie z naszej misji. Co się stało, Karin?

- Coś się tutaj wydarzyło i... Czy moglibyśmy się spotkać?

- Mogę być w twoim biurze za około dwadzieścia minut.

- Na dole mam samochód. Czy pozwolisz, że spotkamy się tam, gdzie ty jesteś? Chciałabym stąd wyjść. - W wypowiedzianych przez nią szybko słowach brzmiał niepokój.

- Jestem w domu. - Podał jej adres.

- Dziękuję ci, Philipie. Będę za kilka minut.

Odłożył słuchawkę. A więc coś się wydarzyło. Tylko co? Co aż tak bardzo nią wstrząsnęło?

Przeszedł do przedpokoju i czekał na nią. Wkrótce odezwał się brzęczyk domofonu.

- Słucham? - powiedział w stronę głośniczka.

- To ja, Philipie.

- Wejdz. - Nacisnął guzik otwierający drzwi do budynku i stanął w otwartych drzwiach swojego apartamentu czekając na nią.

Wysiadła z windy i rozejrzawszy się w prawo i lewo szybko ruszyła korytarzem w jego stronę.

Ujął ją za łokieć i wprowadził do środka.

- Co się stało?

- Ktoś włamał się do mojego biura.

- Wejdz i usiądź.

Przeszli do pokoju dziennego. Widział, że to nie było zwykłe włamanie. Sprawa musiała być o wiele poważniejsza.

Usiadła w fotelu, a on przyciągnął dla siebie drugi i ustawił go tuż przed nią.

- Opowiedz mi o tym, Karin.

- Ktoś włamał się, kiedy ja byłam w sądzie, a sekretarka wyszła na lunch. Ona nawet nie zauważyła, że cokolwiek się stało. Sama też nic nie wiedziałam, do chwili, gdy wróciłam i weszłam do swojego gabinetu.

- Co zginęło?

- Koperta. Zabrali ją z sejfu. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobili.

- A co było w tej kopercie?

- Nie wiem. Była zapieczętowana. Przechowywałam ją dla Hessa.

O, Boże!

- W jaki sposób weszłaś w jej posiadanie?

- Pozostała po moim ojcu. Hess wręczył mu ją w czterdziestym szóstym w Norymberdze, kiedy spodziewał się, że zostanie stracony. Koperta miała być otworzona dopiero po jego śmierci i mój ojciec trzymał ją w sejfie. Zostawił mi instrukcję; żebym ją dalej przechowywała. - Obiema dłońmi odgarnęła włosy ze skroni. - Leżała w sejfie przez te wszystkie lata.

- Czy Hess wyjawiał twojemu ojcu, co zawiera koperta?

- Nie. Nie sądzę. Jestem nawet pewna, że tego nie zrobił. Tak twierdził ojciec. Gdyby znał jej zawartość, powiedziałby mi.

- Nie domyślasz się, co jest w środku?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A czy twoja sekretarka wiedziała, że masz tę kopertę?

- Greta? Nie.

- Jesteś pewna, że nigdy jej nie widziała? Że nie wiedziała o jej istnieniu?

- Absolutnie. Koperta od trzydziestu lat leżała w sejfie. Ojciec nigdy o niej nie wspominał. Ja zaś dowiedziałam się o tym dopiero po jego śmierci, kiedy przeczytałam instrukcje, które mi zostawił. Odszukałam ją wtedy w sejfie, ale od tamtej pory w ogóle o niej nie myślałam. Do wczoraj.

- Jak to, do wczoraj?

- Wyjęłam ją po tym, jak powiedziałeś mi o próbie otrucia Hessa. Nie otworzyłam jej, tylko uważnie obejrzałam. Na kopercie jest instrukcja napisana ręką Hessa i opatrzona jego podpisem: „Mam życzenie, aby pan po mojej śmierci ujawnił i nadał możliwie jak największy

rozgłos temu, co zawiera ta koperta”. Kusilo mnie, żeby ją otworzyć. Rozmawiałam na ten temat z przyjacielem, ale on poradził mi, żeby poczekać z tym do czasu, gdy nadejdzie potwierdzona wiadomość o śmierci Hessa.

- Więc jednak powiedziałaś o tym komuś - powiedział cicho. Już rano był pewien, że dojrzał w jej zachowaniu coś dziwnego.

- Tak. - Odwróciła wzrok i po chwili znowu spojrzała na niego. - Przepraszam cię, Philipie, ale kiedy wyszedłeś wczoraj z mojego biura, byłam wyprowadzona z równowagi. Obawiałam się, że Hess umrze. Rozmawiałam o tym, co się wydarzyło z przyjacielem. Nie mówiłam ci o tym, gdyż on nie ma żadnego związku z tą sprawą. W żaden sposób nie mógł mieć nic wspólnego z telefonami terrorystów, grożących użyciem bomb.

- A to dlaczego?

Spojrzała na niego. Nie mogła uwierzyć, że podejrzewał jej przyjaciela.

- Ponieważ ja tak mówię. - Zaciśnęła mocno usta.

- To nie jest wystarczający argument, Karin.

- Nie było go już tutaj, kiedy odebrano te pogróżki - powiedziała cierpliwie. - Wczoraj rano opuścił Berlin.

- Dokąd się udał?

- Proszę cię! - Pochyliła się do przodu opierając ręce na kolanach. - Naprawdę nie ma powodu, żeby go z tym łączyć.

- Rozumiem, ale mam akurat taki kaprys. Dokąd wyjechał?

- Do Nowego Jorku.

- Jest Amerykaninem?

- Tak.

Uśmiechnął się.

- Wobec tego na pewno jest czysty. - Wspomniał blondyna, który wczoraj czekał w jej biurze, i którego potem czule objęła.

- No właśnie. - Uśmiechnęła się i oparła wygodnie w fotelu.

- Czy możliwe, że ja go znam?

- Wątpię.

- Mieszka w Nowym Jorku?

- Tak.

- Mam tam kilku bardzo dobrych znajomych.

- Ty nigdy nie dajesz za wygraną. - Roześmiała się. - Nie sądzę, żeby był jednym z twoich znajomych, Philipie. Jest adwokatem i specjalizuje się w dziedzinie praw obywatelskich.

- Mimo to, mógłby być moim przyjacielem. Nie mam uprzedzeń co do adwokatów, ani praw obywatelskich.

- Nazywa się Joseph Ross. - Pokręcił głową.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Czy jest blondynem?

- Skąd wiesz? - Uniosła się lekko w fotelu.

- Wczoraj, kiedy wychodziłem, czekał na ciebie.

- Tak! Zgadza się. To był Joe.

- Czy właśnie wtedy powiedziałas mu o kopercie Hessa?

- Tak. Jechaliśmy na lotnisko i chciałam zasięgnąć jego porady zanim opuścił Berlin.

- Pokazałaś mu kopertę?

- Owszem. Przeczytał instrukcję i powiedział, że powinnam zaczekać.

- Zna niemiecki?

- Tak. W mowie i piśmie. Czy to takie dziwne? Ty też znasz ten język.

- Ale ja tutaj pracuję.

- A on często tu przyjeżdża. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - I bardzo mu się tu podoba.

- To mnie nie interesuje.

Zachichotała. Strang zapytał:

- Dlaczego tak bardzo zależało ci na jego opinii? Czy jest ekspertem w sprawie Hessa?

- Myślałam, że on cię już nie interesuje.

- Nie obchodzą mnie stosunki między tobą a nim. Interesuje mnie jedynie jego osoba.

- Ach tak. No więc Joe bardzo się interesuje sprawą Hessa. Pomagał mi w przygotowaniu apelacji. I właśnie dlatego był tutaj przez dwa tygodnie. Czekaliśmy na odpowiedź Rosjan.

- Musiał być rozczarowany.

- Tak, bardzo. Mocno się zdenerwował.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Kiwnął głową, jakby współczuł Rossowi. - Czy poza tobą zna tutaj kogoś?

- Naturalnie.

- Ludzi pracujących nad apelacją Hessa?

- Owszem. Jedną czy dwie osoby.

- Ale nie sądzisz, że mógł komuś z nich powiedzieć o próbie otrucia Hessa, albo nawet o kopercie?

Otworzyła szeroko usta.

- Jak to? Dlaczego miałyby to zrobić?

- Z tego samego powodu, z jakiego ty powiedziałaś o tym jemu, Karin. Ludzie lubią dzielić się z innymi swoimi sekretami.

- Joe by tego nie zrobił. Jest na to o wiele za dyskretny. Poza tym z nikim się nie widział. Pojechałam z nim na lotnisko i nikogo nie spotkaliśmy.

Nie chciał wypytywać jej o Rossa zbyt natęrczywie, żeby nie zamknęła się w sobie, musiał jednak uzyskać jeszcze kilka odpowiedzi.

- Czy telefonował do kogoś z lotniska?

- Nie. - Pokręciła głową, ale krótko i niezdecydowanie.

- Na pewno?

- Zadzwoił tylko do hotelu. Zapomniał zabrać pantofle i prosił, żeby mu je odesłali.

Wzruszył ramionami, jakby ten telefon nie miał znaczenia.

- No i co? Mieli te pantofle?

- Tak. Powiedział mi, że już je znaleźli.

- Powiedział ci? To nie byliście razem w czasie tej rozmowy?

- O Boże! - Odchyliła głowę do tyłu i przez chwilę patrzyła na sufit, po czym pochyliła się w jego stronę z pełnym politowania uśmiechem. - Nie. Nie byłam obecna przy tej rozmowie. Czekałam obok stanowiska obsługi podróżnych. A jakież to ma znaczenie?

- Żadnego. - Boże, jej nawet nie przyszło do głowy podejrzewać Rossa o cokolwiek. Była od tego tak daleka, że nie pozwalała sobie nawet na szczyptę wątpliwości. Ale ufność do ludzi była w jej naturze, podobnie jak w jego naturze tkwiła instynktowna podejrzliwość. Już bardziej nie mogli się różnić. - Dziwię się trochę, że Ross zamieszkał w hotelu, skoro jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi.

- Mówiłeś, że nasze sprawy osobiste się nie interesują.

- Zgadza się. Mówiłem. Który to był hotel?

- „Ambasador”.

- Nieźle jak na obrońcę praw człowieka.

Rozbawiona pokręciła głową. Zdenerwowanie minęło i czuła się teraz o wiele pewniej niż na początku tej wizyty.

- Karin, czy jesteś pewna, że nie wspominałaś o kopercie Hessa nikomu innemu?

- Absolutnie.

- Oczywiście, w ciągu minionych lat mógł to zrobić twój ojciec. - Był przekonany, że tak się nie stało, ale gdy uzyskał już wszystkie informacje o Rossie, chciał odwrócić jej uwagę od osoby Amerykanina. Nie miał zamiaru wzbudzać jej niepokoju swoimi podejrzeniami.

- Nie wydaje mi się, żeby ojciec to zrobił.

- Zobaczymy. Jaka to była koperta? Listowa?

- Nie. Duża, brązowa, taka na dokumenty.

Zastanowił się. Co też mogło być w środku?

- Nie dzwoniłaś w tej sprawie na policję, prawda?

- Jeszcze nie.

- Nie rób tego. Porozmawiam z przyjacielem. Chciałbym, aby on spróbował nam pomóc.

Nie mogli pozwolić, żeby policja przejęła wszystkie ślady. To nie było przecież zwykłe włamanie. Cała historia miała o wiele poważniejszy wymiar.

Rozdział 15

Jadąc do swojego biura podwiozła Stranga do budynku misji, Od razu wjechał na górę i zatelefonował do Klugera.

- Nie dzwonisz chyba po informacje o Karin Hartmann? - spytał Kluger. - Nie miałem jeszcze czasu, żeby uzyskać materiał na jej temat.

- Dzwonię w innej sprawie. Widziałem się z nią. - Opowiedział Klugerowi o włamaniu.

- Jezu - szepnął Kluger. - Chciałbym wiedzieć, co było w tej kopercie.

- Być może kiedyś się dowiemy. Tymczasem, czy mógłbyś sprawdzić przyjaciela Karin? Amerykanin o nazwisku Ross.

- Ross? R-O-S-S?

- Tak. Na imię ma Joseph. Jest adwokatem z Nowego Jorku. Zajmuje się prawami obywatelskimi i pomagał Karin w przygotowaniu apelacji Hessa. Był w Berlinie przez dwa tygodnie.

- A dlaczego on cię interesuje, Phil?

- Wczoraj powiedziała mu o tej kopercie. Nawet mu ją pokazała.

- Naprawdę?

- Właśnie. Jest jedyną osobą, która oglądała kopertę. Potem pojechali z Karin na lotnisko, skąd on odleciał do Nowego Jorku. Czy mógłbyś to potwierdzić?

- Dobrze. Dam ci znać.

- Jest coś jeszcze. Otóż ona twierdzi, że on z nikim nie rozmawiał, ale z lotniska telefonował do hotelu „Amasador”, w którym mieszkał. Powiedział jej, że zapomniał zabrać pantofle i prosił, żeby mu je odesłano.

- Sprawdzę to.

- Poproszę Langley, żeby przysłali mi wszystko, co mogą o nim zdobyć. Jak tylko będziesz coś miał, zadzwoń.

- W porządku. Myślisz, że on prowadzi jakąś grę?

- Tylko Ross i Karin Hartmann wiedzieli o kopercie. Co o tym sądzisz?

- Zatelefonuję, jak tylko czegoś się dowiem.

Odkładając słuchawkę, Strang uniósł się gwałtownie z miejsca i ruszył biegiem do wyjścia. Zjechał na dół, gdzie mieściło się centrum łączności, żeby wysłać meldunek do centrali CIA w Langley w stanie Virginia.

* * *

Dwadzieścia pięć minut później zadzwieczał telefon na jego biurku. Strang chwycił słuchawkę. Dzwonił Kluger.

- Wysłałem jednego z moich chłopaków do „Ambasadora” - powiedział. - Ross nie zostawił żadnych pantofli, ani też nie telefonował tam z lotniska.

- Wspaniale - odezwał się cicho Strang. Z kim więc rozmawiał, jeśli nie z recepcjonistą „Ambasadora”?

- Nie wydaje ci się, że on jest w coś zamieszany?

- Jestem tego pewien. Czy macie go w swojej kartotece?

- Nie. Ale figuruje w teczce Karin Hartmann. Poznali się trzy lata temu na międzynarodowym kongresie we Frankfurcie. Od tamtej pory każdego roku przyjeżdża do Berlina na trzy, cztery tygodnie i razem spędzają czas.

- A więc nic podejrzanego?

- Na to wygląda. Tak jak mówiła, był tu przez ostatnie dwa tygodnie.

- Masz coś jeszcze?

- To wszystko. Wczoraj bez wątpienia opuścił Berlin. Najpierw poleciał samolotem Pan Am do Frankfurtu, a stamtąd lotem Lufthansy o trzynastej trzydzieści do Nowego Jorku.

- Dzięki, Dieter. Zaczekam teraz na odpowiedź z Langley. To może porwać, ale jeśli będzie coś interesującego na temat Rossa i potrzebowalibyśmy twojej pomocy, to gdzie cię szukać?

- W domu.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodzę.

- Zadzwoń po kolacji. Wtedy będę już chyba wolny.

- Oby.

Odłożył słuchawkę i oparł się wygodnie. Jeśli Ross i Karin Hartmann byli takimi dobrymi przyjaciółmi, dlaczego zatrzymał się w hotelu, a nie u niej? Na pewno przyczyną nie była nieufność Karin. A jeżeli to był pomysł Rossa? Możliwe, że miał przed nią coś do ukrycia. Tylko co?

Rozdział 16

O ósmej czterdzieści dwie wieczorem dwóch policjantów jechało wozem patrolowym wzdłuż Königstrasse w kierunku centrum miasta, od strony południowo-zachodniej, w pobliżu granicy Niemiec Wschodnich.

Mijali właśnie okolice plaży nad Wannsee. Za jednym z zakrętów, w świetle reflektorów ujrzeli zaparkowanego na środku jezdni czarnego volkswagena „garbusa”.

- Boże miłosierny! - Kierowca radiowozu nacisnął gwałtownie hamulec. - Jeżeli mają ochotę robić to w „garbusie”, dlaczego nie zjadą na stronę, gdzie nie będą blokować ruchu?

- Chodźmy usunąć tych idiotów ze środka drogi - odezwał się drugi policjant.

Zatrzymali samochód na skraju jezdni za volkswagenem i wysiedli. Na wszelki wypadek wyciągnęli pistolety i ostrożnie podeszli bliżej, jeden z każdej strony.

Kierowca zajrzał do wnętrza przez tylną szybę, ale na siedzeniu nie było żadnej obejmującej się pary. Poświecił latarką.

- Coś tu jest na podłodze, Horst!

Drugi policjant również oświetlił wnętrze samochodu i zobaczył czubek głowy, wystający spod koca okrywającego ciało.

Chwycił za klamkę i drzwi otworzyły się. Odchylił oparcie przedniego fotela i wsunawszy się do wnętrza odsunął koc z twarzy leżącego mężczyzny. Skierował na nią strumień światła z latarki.

Kierowca zajrzał do wnętrza przez okno.

- To chyba ten ze Spandau, którego szukamy.
- Zdaje się, że tak. - Drugi policjant ściągnął koc odkrywając całą postać. W świetle latarki dojrzeli na całym ciele leżącego zaschniętą krew. Jej rdzawe plamy widniały na marynarce, koszuli, krawacie i większej części spodni. Wyglądało to jakby mężczyzna otrzymał wiele ciosów nożem w klatkę piersiową i w brzuch.
- Zaczekaj, Horst! Przyniosę zdjęcie. - Kierowca podbiegł do radiowozu i wrócił z dostarczoną wcześniej przez Amerykanów fotografią.
- To on, Horst. Lichti. Powiadomię centralę.
- Powiedz im, że nie żyje. - Przytrzymując czapkę drugi policjant ostrożnie wycofał się z volkswagena. - Powiedz, że nie odpowie już na żadne pytanie.

Rozdział 17

O dziewiątej wieczorem Strang czekał w swoim biurze, ale odpowiedź z Langley nie nadchodziła. Był pewien, że Ross miał związek ze sprawą i potrzebował o nim więcej informacji, aby uchwycić jakąś nić.

Zadzwoił telefon. Porwał słuchawkę.

- Halo?

- Pan Strang?

- Tak.

- Mówi pułkownik Goodblood.

- Dobry wieczór, panie pułkowniku.

- Pomyślałem, że to pana zainteresuje. Policja znalazła Lichtiego. Nie żyje.

- Boże! Gdzie?

- W pobliżu Wannsee. Jego samochód stał na środku drogi, a on leżał w nim z tyłu.

Otrzymał jedenaście ciosów nożem. Zginął jego portfel i zegarek.

- Ale pan nie uważa, że to było przyczyną morderstwa, prawda?

- Nie. Ktoś chciał go uciszyć. Nie mam co do tego wątpliwości.

- Cholera!

- Zupełnie się z panem zgadzam. Będziemy jednak dalej badali jego przeszłość i może odkryjemy coś ciekawego. Gdyby tak się stało, dam panu znać.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

* * *

Była prawie dziesiąta, kiedy przyszedł posłaniec z centrum łączności. Langley nadesłało wszystkie informacje na temat Rossa, jakie udało się zebrać. Pochodziły one w całości od FBI oraz nowojorskiej policji. Były to rutynowe szczegóły biograficzne, nie zawierające nic podejrzanego. Tyle tylko, że w 1970 roku legalnie zmienił nazwisko z Rauss na Ross.

Urodził się w Nowym Jorku czwartego września czterdziestego ósmego roku. Rodzice, Otto i Trudi Rauss, przybyli z Niemiec do portu w Nowym Jorku jako imigranci 11 marca tegoż roku. Oboje urodzili się w Monachium: Otto 7 sierpnia 1910; Trudi 29 października 1913.

Joseph Rauss uczęszczał do państwowej szkoły podstawowej i średniej w Nowym Jorku, następnie ukończył wydział prawa New York University. W październiku 1973 rozpoczął własną praktykę prawniczą w biurze przy wschodniej 48 ulicy. Brał sprawy mieszczące się głównie w zakresie prawa cywilnego - często reprezentował lokatorów w ich dysputach z właścicielami domów. Był kawalerem i mieszkał sam w apartamencie przy wschodniej 52 ulicy.

Jego matka zmarła 15 lutego 1968. 31 marca 1970 ojciec sprzedał posiadany od dwudziestu lat sklep z wykwintną żywnością i zamieszkał w małym wiejskim domku niedaleko Kingston w kanadyjskiej prowincji Ontario. Tam też każdego miesiąca przysyłano mu czek z emeryturą.

Strang odłożył na bok wąski arkusz papieru z teleksowym wydrukiem. Informacji nie było wiele. Ale to, co nadeszło, mogło się okazać interesujące.

Przysunął do siebie telefon i wykręcił numer Klugera.

- Mam już materiał dotyczący Rossa, Dieter.

- Coś ciekawego?

- Nie z wyjątkiem tego, że zmienił nazwisko. Poprzednio nazywał się Rauss.

- A to drań. Porządne niemieckie nazwisko nie było dla niego wystarczająco dobre.

- Było jednak dostatecznie dobre dla jego ojca i chciałbym, żebyś wyszukał coś na ten temat. Otto Rauss, urodzony w Monachium 7 sierpnia 1910. Sprawdź również, co macie o matce: Trudi, urodzona także w Monachium 29 października 1913.

- Okay. Na kiedy ci to potrzebne, Phil?

- Natychmiast.

- Oddzwonię.

* * *

Dziewięćdziesiąt minut później ciągle czekał na wiadomość od Klugera. Zadzwoił telefon i w słuchawce rozległ się głos wartownika pełniącego służbę przy wejściu do budynku.

- Jest tu do pana mężczyzna nazwiskiem Kluger, sir. Czy mam go wpuścić?

- Jeśli naprawdę nazywa się Kluger, to tak. Zamienię z nim dwa słowa.

- Tak jest, sir.

Kluger podszedł do aparatu.

- Co ty tutaj robisz, Dieter?

- Mam coś dla ciebie. Nie chciałem mówić tego przez telefon.

- Jakież rewelacje?

- To mało powiedziane - w głosie Klugera brzmiało niezwykle podniecenie.

- Daj z powrotem wartownika.

- Słucham, sir? - Usłyszał Strang po chwili.

- W porządku. To jest pan Kluger.

- Zaraz ktoś go do pana przyprowadzi, sir.

Odłożył słuchawkę i oparłszy się wygodnie czekał. Zaraz też rozległo się pukanie.

- Proszę! - zawołał. Drzwi otworzył wartownik.

- Jest pan Kluger, sir. - Przytrzymując drzwi przepuścił go do środka.

Wstając Strang skinął głową wartownikowi. Zaczekali aż wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Siadaj, Dieter. - Uderzył lekko w oparcie krzesła, które stało obok biurka. - Czego się dowiedziałeś?

Kluger był zbyt podekscytowany, żeby spokojnie usiąść.

- Chodzi o ojca Rossa. Wiesz kim on był? - Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę białego papieru.

- Mów.

- Adiutantem Hessa.

Strang aż przysiadł na krawędzi biurka, nie spuszczać z niego wzroku.

- Niech mnie diabli... - Wstał i podszedł do swojego krzesła. Nie mógł w to uwierzyć.

- Nie ma co do tego wątpliwości?

- Najmniejszej. - Zadowolony z wrażenia, jakie zrobiły na Strangu jego słowa, Kluger usiadł. Właśnie dlatego nie chciał mówić o tym przez telefon. Musiał przyjechać, żeby ujrzeć efekt. Rozłożył kartkę z notatkami. - Wstąpił do wojska w trzydziestym drugim, a w trzydziestym szóstym został adiutantem Hessa. Orzymał wówczas stopień kapitana.

Strang wiedział, że Kluger był bardzo dumny ze swojego odkrycia. Miał prawo. To była prawdziwa bomba.

- Był jego adiutantem aż do 10 maja 1941, kiedy Hess poleciał do Wielkiej Brytanii - podjął Kluger.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptał Strang.

- Po tej eskapadzie Hessa został aresztowany, podobnie jak większość podwładnych zastępcy Hitlera i spędził dwa lata w więzieniu. W sierpniu 1943 zwolniono go i wysłano na front wschodni. W lutym czterdziestego piątego roku dostał się do niewoli Rosjan a dwa lata później podległ repatriacji i powrócił do Monachium. Razem z żoną wyjechali do Stanów w marcu czterdziestego ósmego, ale o tym już przecież wiesz.

Strang skinął głową.

- Nie mam nic o jego żonie. Pobrali się w 1938 i aż do emigracji nie opuszczała Monachium.

- Informacje o żonie nie będą nam potrzebne, Dieter. To co znalazłeś o Raussie daje aż za dużo do myślenia. Co według ciebie, wszystko to może oznaczać?

- Bez wątpienia Ross jest ściśle związany ze sprawą Hessa. Na pewno coś wie o próbie jego otrucia oraz o włamaniu do biura Karin Hartmann. - Strang wstał. - Porozmawiam z nim o tym.

- Jak?

- Polecę do Nowego Jorku.

Piątek 29 kwietnia 1977

Rozdział 18

Wylądował na lotnisku Kennedyego o pierwszej dwadzieścia siedem po południu. Gdy tylko przeszedł przez komorę celną, skierował się do najbliższego automatu. Położywszy torbę między nogami odszukał numer biura Rossa i nakręcił go.

Nikt nie odpowiadał. Czekał, aż sygnał odezwał się dwanaście razy i odwiesił słuchawkę.

Podobnie nikt nie odbierał telefonu w mieszkaniu Rossa.

Cholera! Odszedł od automatu z nadzieją, że Ross nie zamknął biura i nie wyjechał na weekend poza miasto. Może po prostu nie wrócił jeszcze z lunchu.

Wyszedł z terminalu. Na zewnątrz, przez unoszącą się w powietrzu mgielkę, świeciło słońce. Było parno. Wsiadł do taksówki i pojechał do centrum miasta, siedząc na środku tylnej kanapy, między opuszczonymi do połowy szybami okien. Było mu duszno. Ostatniej nocy nie spał zbyt dobrze, gdyż ciągle myślał o Rossie. Próbował odespać nieco w samolocie, ale po piętnastominutowej drzemce poczuł się jeszcze bardziej zmęczony i zaczęła go boleć głowa.

Wysiadł z taksówki na 48 ulicy przy piątej alei, przed starym budynkiem, w którym, na czwartym piętrze, mieściło się biuro Rossa.

Drzwi do biura miały w górnej części szybę z kryształu górskiego. Były zamknięte. Strang zapukał w szybę i nasłuchiwał, ale z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. Było już prawie wpół do trzeciej. Nawet gdyby Ross nie wrócił jeszcze z lunchu, na pewno miał sekretarkę, która powinna tu być. Chyba, że razem skończyli pracę przed południem.

Spoza drzwi po drugiej stronie korytarza dochodziły dźwięki muzyki oraz stukot maszyny do pisania. Otworzył je i zajrzał do środka. Za biurkiem siedziała kobieta o długich, czarnych włosach i pisała na maszynie. Obok niej stało radio. Spojrzawszy na niego uśmiechnęła się i ściszyła odbiornik.

- Witam. Co mogę dla pana zrobić?

- Szukam pana Rossa. - Wskazał głową na przeciwną stronę korytarza.

- Nie ma go w biurze?

- Nie. Drzwi są zamknięte.

- Wiem, że dzisiaj był tutaj. Widziałam go rano.

- Czy ma sekretarkę?

- Tak. - Zerknęła na zegarek. - Powinna już wrócić z lunchu. Ale jest piątek, a w piątki czasami kończą pracę wcześniej. Też chciałabym pracować dla prawnika.

- Powinna pani. - Zaczął się wycofywać.

- Jeśli ich zobaczę, czy mogę coś przekazać?

- Nie, dziękuję.

- Trudno. - Uśmiechnęła się.

Wrócił do wind. Były stare, ale automatyczne; nie było windziarzy, którzy mogli widzieć, jak Ross opuszczał budynek. A w dolnym hallu nie było również portiera.

Kolejną taksówką dostał się na wschodnią 52 ulicę. Na rogu drugiej alei stał blok, w którym mieszkał Ross, znacznie nowszy od siedziby jego biura.

Strang zszedł trzy stopnie z chodnika i znalazł się przed wejściem. Dozorca otworzył przed nim przeszkłone drzwi.

- Słucham pana? Z kim chciałby się pan widzieć?

- Z panem Rossem.

- Nie jestem pewien, czy jest w domu. Sprawdź. - Dozorca podniósł słuchawkę przy bramofonie i nacisnął guzik obok nazwiska Rossa. Było to mieszkanie na szóstym piętrze.

Dozorca stał ze słuchawką w dłoni. Ponownie wcisnął guzik, tym razem przytrzymując go nieco dłużej. Po chwili kręcąc głową odłożył słuchawkę na miejsce.

- Przykro mi, sir, ale nikt nie odpowiada.

Strang spojrzał na ulicę, jakby spodziewał się, że Ross może właśnie teraz wracać do domu.

- Wyjeżdżał na dwa tygodnie, ale miał już być z powrotem.

- Tak, sir. Przebywał, zdaje się, w Europie.

- Wiem. Powinien wrócić przedwczoraj.

- Ależ wrócił, sir. - Dozorca zsunął na tył głowy czapkę, wygładził włosy i naciągnął daszek nisko na czoło. - Widziałem, jak wychodził dziś rano. Był pan z nim tutaj umówiony?

- Właśnie tak.

- A sprawdził pan, czy nie ma go w biurze?

- Owszem, ale bez rezultatu. Jest zamknięte na głucho.

Dozorca zrobił zdumioną minę i wzruszył ramionami.

- Chyba nie będę mógł panu w niczym pomóc.

- Mam nadzieję, że się z nim nie rozminąłem. Może jednak wrócił z pracy wcześniej i wyjechał na weekend z miasta.

- Nie, sir. - Dozorca zdecydowanie pokręcił głową. - Jestem tu od ósmej rano i nie widziałem, żeby wracał. Jeśli ma pan ochotę zaczekać, to proszę bardzo. - Wskazał na stojącą przy ścianie, ciemnozieloną ławę.

- Dziękuję, ale wrócę chyba do jego biura. Może już wrócił z lunchu.

Dozorca pokiwał głową.

Na ulicy nie było taksówki, więc Strang poniosł swoją torbę do rogu drugiej alei. Czuł się fatalnie z powodu nieprzespanej nocy, wygniecionego, lepkiego od potu ubrania, w którym przemierzał Atlantyk oraz upalnego, pełnego wilgoci powietrza.

Na rogu alei wsiadł do taksówki i pojechał z powrotem do budynku, w którym mieściło się biuro Rossa. Jeśli on sam jeszcze nie wrócił, to przynajmniej jego sekretarka powinna już tam być. W przeciwnym wypadku nie bardzo wiedział, co dalej robić.

Ponownie wjechał na czwarte piętro i nacisnął klamkę jego drzwi. Były zamknięte. Z biura naprzeciwko ciągle dochodziły dźwięki muzyki, przez którą przebijał się stukot maszyny do pisania. Położył torbę na podłodze i popatrzył wzdłuż korytarza w obydwu kierunkach. Pusto. Zamek w drzwiach Rossa był bardzo prosty. Do diabła, musiał się przecież upewnić, że w środku naprawdę nikogo nie było.

Wyjął portfel. Nigdy nie nosił kart kredytowych, ale miał cienki pasek plastyku, którego już używał do otwarcia podobnych drzwi. Wetknął plastyk w szczelinę między drzwiami a futryną, zaczepił o rygiel i mocnym pchnięciem otworzył drzwi na oścież. Podniósłszy torbę, wszedł do środka.

Sekretarka leżała na dywanie za biurkiem. Częściowo przykrywała swoim ciałem przewrócone krzesło. Wyglądało to, jakby upadła do tyłu siedząc na swoim miejscu. Otrzymała strzał w czoło, a reszta jej głowy była krwawą plamą pokierszowanych kości czaszki oraz mózgu.

Drzwi wewnętrzne były otwarte. W drugim pomieszczeniu, za biurkiem siedział mężczyzna z odrzuconą do tyłu głową, tak że Strang widział tylko jego szyję i spód zuchwy. Miał obnażony tors.

Strang podszedł bliżej i obejrzał skierowaną na sufit twarz. To był Ross, człowiek, którego widział w biurze Karin Hartmann. Miał związane z tyłu ręce, a nogi w kostkach

przymocowane do podstawy obrotowego fotela, na którym siedział. Na szyi wisiał mu obluzowany knebel. Wyrwany z koszuli strzęp materiału w białe i różowe paski leżał obok biurka.

Ross został dwukrotnie postrzelony w okolicy serca. Przedtem jednak był torturowany. Naokoło obydwu sutków widniały ślady oparzeń, zaczerwienione i opuchnięte. Zwłaszcza na prawym, którego nie dawało się już odróżnić. Wyglądały na oparzenia od papierosa, po cztery, może pięć z każdej strony oraz to, które prawie zupełnie wypaliło prawy sutek.

Strang popatrzył na ciało Rossa, potem na sekretarkę. Biedaczka. Tyle tylko, że nie męczyli jej przed śmiercią. Natomiast Ross, z kneblem w ustach, był torturowany. Dlaczego? Ktoś znęcał się nad tym zakneblowanym draniem, aż zmusił go do mówienia. Odetkano mu usta, żeby powiedział, co miał do powiedzenia i zastrzelono. Tak to musiało wyglądać. Oprawców było chyba kilku: gdy Ross był wiązany, drugi z nich pilnował, żeby nie próbował stawiać oporu.

Ale jaką informację chcieli od niego wydobyć? I dlaczego nikt nie słyszał strzałów? Z pewnością używali tłumika. A więc zawodowcy.

Popatrzył na szuflady biurka. Wszystkie były zamknięte, a na blacie panował idealny porządek. W rogu gabinetu stał zamknięty sejf. Książki na półkach były nienaruszone. Gdyby Rossa zmuszono do oddania czegoś, nie było śladu wskazującego, że znajdowało się to w jego biurze.

Strang przeszedł cicho do sekretariatu, wziął swoją torbę i stanąwszy przy oszklonych drzwiach nasłuchiwał. Z korytarza nie dobiegał żaden dźwięk. Delikatnie otworzył drzwi chwytając klamkę przez połą marynarki, żeby nie zostawić odcisków palców. Słuchał jeszcze przez moment, wycierając zewnętrzną klamkę, ale brzmiała jedynie cicha muzyka z pomieszczenia naprzeciwko.

Wyszedł na korytarz i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Obok wind znajdowało się wyjście awaryjne. Szybko zbiegł schodami na dół, nie ryzykując, że ktoś zobaczy go teraz w windzie. Pragnął uniknąć możliwych komplikacji.

Na ulicy podszedł do automatu i wykręcił zastrzeżony numer pewnej nowojorskiej firmy, pod którą ukrywała się CIA.

W słuchawce natychmiast odezwał się głos:

- Watchman Consultants. Dzień dobry.

- Nazywam się Strang. Z placówki w Berlinie. Przyleciałem tu dzisiaj i wpadłem w kłopoty. - Opowiedział o tym, co zastał w biurze Rossa.

- Czy dotykał pan tam czegoś?

- Nie. Tylko zewnętrzną klamkę, ale wytarłem ją.

- Pojedziemy i sprawdzimy, czy wszystko jest czyste, a potem zawiadomimy policję.

- Wstrzymajcie się, lecę do Kanady, żeby porozmawiać z ojcem Rossa i nie chciałbym, żeby przed moją wizytą policja zawiadomiła go o śmierci syna.

- W porządku. Zaczekamy dwadzieścia cztery godziny. Czy tyle wystarczy?

- Tak. Polecę tam pierwszym dostępnym samolotem. Prosiłbym tylko, żebyście uprzedzili go o mojej wizycie. Zanim wyruszę chcę mieć pewność, że jest w domu i może ze mną rozmawiać. Nazywa się Otto Rauss, mieszka blisko Kingston w kanadyjskiej prowincji Ontario. Powiedzcie mu, że mam do niego sprawę jako urzędnik państwowy.

- Zajmiemy się tym. Z jakiego numeru pan telefonuje?

- To automat publiczny - odpowiedział Strang. - Jeśli będzie zajęty, próbujcie do skutku.

- Dobrze. Sprawdzę rozkład lotów, żeby powiadomić Raussa, kiedy ma pana oczekiwać.

Strang odwiesił słuchawkę i niecierpliwie czekał obok telefonu. Miał nadzieję, że Rauss był bezpieczny. Nie wiedział dlaczego zabito Rossa, ale podobny los mógł spotkać jego ojca. Wszystko to było niezrozumiałe.

Po siedmiu minutach automat zadzwonił i Strang szybko podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Kto mówi?

- Strang.

- Okay. Rauss jest u siebie i czeka na pana. Był trochę zaskoczony, ale nie stawiał żadnych pytań.

- To dobrze.

- Ma pan samolot Air Canada z lotniska Kennedy'ego o piątej trzydzieści pięć. O siódmej będzie pan w Toronto, skąd pojedzie pan samochodem. Wynajęte auto będzie już czekało. Do domu Raussa są dwie godziny jazdy. Przy stanowisku Air Canada będzie dla pana informacja, jak tam dojechać.

- Wspaniale.

Miał nadzieję, że Rauss wiedział, czym zajmował się jego syn, i że zechce o tym porozmawiać.

Rozdział 19

Autostrada biegła na wschód od Toronto wzdłuż brzegu jeziora Ontario. Kingston znajdowało się w odległości około dwustu dwudziestu kilometrów. Strang prowadził wynajętego chevroleta po szerokiej, niczym pas startowy drodze, mijając niewielkie miejscowości położone nad jeziorem.

Rauss mieszkał około piętnaście kilometrów od Kingston. Przy autostradzie stała biała skrzynka pocztowa z jego nazwiskiem wymalowanym czarną farbą, i gdy Strang ujrzał ją w świetle reflektorów, skręcił w boczną, żwirową drogę prowadzącą wśród drzew do jeziora.

Wziął dwa łagodne zakręty, za którymi znajdowała się wielka polana. Na środku stał biały bungalow, w stylu rancho. W oknach i nad wejściem paliły się lampy.

Obok domu na trawie stał furgon. Strang podjechał tam i zatrzymał samochód. Wysiadłszy odetchnął pełną piersią. Chyba jeszcze nigdy nie czuł w powietrzu podobnej świeżości. W blasku domowych świateł widział pochyłość ziemi w kierunku jeziora. Z drugiej strony wody błyszcząły światła domów na wyspie.

Drzwi bungalowu otworzyły się przy brzęku umocowanej do nich sprężyny. Na ganku stanął łysy mężczyzna, z resztką białych włosów na głowie. Miał na sobie biały sweter z golfem.

- Pan Strang?

- Tak, to ja. - W jego głosie brzmiała odrobina niemieckiego akcentu.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem? - Strang wyciągnął rękę.

- Ależ skąd. - Rauss sprawiał wrażenie niepewnego i pełnego rezerwy. Kiedy uścisnęli sobie ręce, zrobił to bardzo ostrożnie, obejmując palcami dłoń Stranga, jakby nie chciał, żeby tamten ją ścisnął. Następnie wycofał rękę i zwinął palce w piąstkę, chowając ich czubki wewnątrz dłoni.

Otworzył drzwi i wpuścił Stranga prosto do pokoju. Meble w pomieszczeniu wyglądały masywnie: dwie długie kanapy oraz dwa duże fotele, wszystkie obite brązowym, wełnianym materiałem. Podłogę pokrywał ciemnozielony dywan. Strang wyczuł zapach dymu palonej niedawno fajki. Wszystko przypominało palarnię jakiegoś klubu dla panów, o niewielkiej liczbie członków.

Rauss podszedł do bardziej wytartego z dwóch foteli, widocznie jego ulubionego miejsca. Stojak na fajki i puszka z tytoniem leżały obok na stole.

- Zechce pan usiąść. - Wskazał ręką na kanapy. Dłoń ciągle trzymał w taki sposób, że nie było widać paznokci.

Strang zajął miejsce na jednej z kanap. Miał już dzisiaj dość siedzenia.

- Czy mogę panu zaproponować kawę albo cokolwiek innego?

- Nie, dziękuję.

- Przyleciał pan z Waszyngtonu?

- Z Nowego Jorku.

- Ale pracuje pan dla rządu federalnego?

- Tak.

- Człowiek, który telefonował nie powiedział, o co chodzi. Zastanawiałem się, czy to aby nie jakieś problemy z moim ubezpieczeniem społecznym. Chociaż wszystko powinno być w porządku. - Rauss bał się o swój czek z emeryturą.

- Tu nie chodzi o ubezpieczenie.

- Nie? - Rauss poczuł ulgę, ale również zdziwił się.

- Nie. Muszę panu powiedzieć, że pański syn nie żyje.

Patrząc na niego Rauss cofnął się w swoim fotelu. Otworzył zaciśnięte dłonie i przebiegł palcami po ramionach.

Strang zauważył, że starzec nie miał paznokci. W ich miejscu były jedynie stare, pomarszczone blizny.

- To był wypadek? - przerwał ciszę Rauss. Jego głos nie uległ zmianie. Tylko palce zacisnęły się mocno na poręczach fotela. Poza tym żadnego śladu emocji.

- Nie. Został zastrzelony w swoim biurze.

- Zastrzelony? Czy to był napad rabunkowy?

- Nie wiem. Zginął dziś rano i śledztwo jeszcze się nie rozpoczęło.

Rauss spojrział w bok i wybrał jedną z fajek, po czym przyglądał się jej. Palcami gładził brązowy cybuch.

- Przedwczoraj wrócił z Berlina - podjął Strang.

Rauss nie przerwał pieszczona fajki.

- Spędził tam dwa tygodnie. Czy wiadomo panu, co tam robił?

Rauss powoli zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. - Odstawił fajkę na stojak. - Często tam jeździł. Od pięciu lat nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktów. Kilka... wiele razy chciałem do niego zadzwonić, ale nigdy tego nie zrobiłem. On też do mnie nie telefonował. Obaj jesteśmy bardzo dumni.

Byliśmy dumni. Zawsze mówiłem sobie, że to przecież nie może trwać wiecznie i kiedyś znowu będziemy ze sobą rozmawiali. Ale teraz to już niemożliwe.

- Dlaczego zerwaliście kontakty?

- To przeze mnie. Sprzeciwiłem się temu, co robił.

- Chodzi panu o zmianę nazwiska?

- Ależ nie! Tamta drobnostka nie miała znaczenia. Myślał, że nazwisko Ross będzie lepsze w jego prawniczej karierze. W niektórych kwestiach jest bardzo tradycyjny. - Rauss mówiąc o synu nie przestawił jeszcze czasu na przeszły. - Nie podobało mi się to, ale jeśli miał ochotę... - Wzruszył ramionami.

- Więc jakiej rzeczy pan nie zaaprobował?

- A! - Rauss odchrząknął, cofnął się w fotelu i rozprostowawszy ramiona nabrał głęboko powietrza. Klatka piersiowa uniosła się pod białym swetrem.

- Nie akceptowałem jego przyjaciół w Niemczech. Klóciliśmy się o nich kilka razy.

- Dlaczego?

- To byli naziści spod znaku partii narodowej. Joseph był ich gorącym zwolennikiem od wielu lat. Zauważyłem to dziesięć lat temu, kiedy wrócił ze swojej pierwszej podróży do Niemiec. Był wtedy jeszcze studentem. Wówczas pokłóciliśmy się po raz pierwszy.

To było ciekawe. Ross i nacjonaści. A więc, czy telefonował z lotniska, aby powiadomić ich o kopercie Hessa, skoro nie dzwonił do „Ambasadora”? Strang nie miał już wątpliwości, że tak właśnie było.

- Jest pan pewien, że utrzymywał kontakty z nacjonalistami?

- Tak. Z biegiem czasu coraz bardziej się z nimi identyfikował. Gdyby jego poglądy uległy zmianie, znowu rozmawialibyśmy ze sobą. Powiedziałyby mi, jeśli by z nimi zerwał. - Rauss potrząsnął głową. - Ale Joseph nigdy nie zmieniłby zdania.

- Dlaczego nie podobali się panu jego przyjaciele?

- Czy trzeba pytać, panie Strang? Byli nazistami. Czy to nie wystarczy?

- Pan był kiedyś członkiem partii narodowosocjalistycznej, prawda?

- Ja? - Rauss zrobił się ostrożny. - Dlaczego pan tak myśli?

- Był pan adiutantem Rudolfa Hessa, a on nie dobrałby sobie współpracownika spoza kręgu członków partii.

- No tak. Więc pan o tym wie. Byłem w partii. Wstąpiłem do niej, gdy byłem bardzo młody, znacznie młodszy od Josepha. Chyba tylko młodzi mogą wierzyć w coś takiego jak nazizm. Młodzi i bujający w obłokach.

- A pan kiedy zszedł na ziemię?

- Byłem jeszcze dość młody. Gestapo pokazało mi prawdziwe oblicze rzeczywistości.

- Gestapo?

- To była tajna policja, jaką mieliśmy w Niemczech za Hitlera.

- Wiem. Co oni panu zrobili?

- Zrobili? - Rauss uśmiechnął się łagodnie. - Odbyli ze mną długie rozmowy po tym jak Der Stellvertreter odleciał do Szkocji.

Der Stellvertreter, czyli zastępca wodza. Strang nie mógł uwierzyć, że padło to niemieckie, szybko wypowiedziane słowo. Siedział w tym zacisznym kanadyjskim domu nad brzegiem jeziora i słuchał starca, który mówił o Hessie jako o zastępcy Hitlera, który od dawna nie żył.

- Owszem, odbyłem długie rozmowy w gestapo. W ciągu kilku tygodni opowiedziałem im całą historię moich pięciu lat, w czasie których byłem adiutantem Hessa. Oni mieli niezwykły dar przekonywania.

* * *

Latem 1936 roku Rauss był porucznikiem w pierwszym bawarskim pułku piechoty, w którym Rudolf Hess służył przez pierwsze dwa lata I wojny światowej. Dowódca Raussa, pułkownik Boch, był wówczas towarzyszem broni Hessa i przyjaźń między nimi przetrwała przez dwadzieścia lat od wspólnej walki w okopach. Kiedy Hess poprosił Bocha o polecenie mu jakiegoś oficera na adiutanta, Boch bez wahania wskazał Raussa.

Rauss przeszedł do wielkiej kwatery Rudolfa Hessa, którą zbudowano specjalnie dla niego i jego licznych pracowników w Pullach, dziesięć kilometrów na południe od Monachium. Było tam osiedle jedno - i dwupiętrowych budynków oraz bunkry, a wszystko otoczone murem o długości dwóch kilometrów. Rauss od razu przypadł Hessowi do gustu i został promowany na kapitana. Był najbliższym współpracownikiem Hessa, bliższym nawet niż szef personelu - Martin Bormann. Jeździł z Hessem wszędzie: na konferencje z Hitlerem, na masówki, w czasie których jego przełożony przemawiał do tłumów, a w weekendy nawet do wiejskiej posiadłości Hessa.

12 marca 1938 niemieckie oddziały zajęły Austrię. Tego samego dnia Hess zabrał Raussa ze sobą do Wiednia, żeby podpisać deklarację jednoczącą Austrię z Niemcami.

Na wielkiej masówce młodzieży w Norymberdze, 12 września 1938, Rauss stał na trybunie w najbliższym otoczeniu Hitlera, Hessa i Baldura von Schiracha.

Siedemnaście dni później Rauss stał u boku Hessa, który asystował przy podpisaniu układu monachijskiego z premierami Wielkiej Brytanii i Francji: Chamberlainem i Daladierem.

Chamberlain powiedział potem Anglikom, że porozumienie to „przyniesie pokój naszym czasom”.

W następnym roku wybuchła II wojna światowa, a latem 1940 armia niemiecka pokonała Francję, zmuszając Anglików do ucieczki przez plażę Dunkierki. 21 czerwca tego roku, kiedy Hitler pojechał do lasku Compiègne, aby w wagonie-salonce podpisać pakt o zawieszeniu broni, był tam również Hess razem z adiutantem.

Kilka dni później, siedząc z Rausssem w swoim gabinecie w Pullach, Hess stwierdził:

- To dopiero początek. Mając rozejm z Francuzami możemy zacząć z nimi współpracę.

- Ale jest jeszcze Anglia, panie ministrze - powiedział Rauss.

Hess miał na sobie szary, partyjny uniform z czarną swastyką na czerwonej opasce założonej na lewy rękaw. Spod gęstych ciemnych brwi patrzyły osadzone głęboko pod nimi, niebieskie oczy.

- Zawrzemy pokój z Anglikami, Rauss, tak jak dokonaliśmy tego z Francją. Musimy to zrobić. Musimy wszyscy stanąć razem przeciwko bolszewizmowi. Prawdziwymi wrogami Europy są komuniści. Trzeba to uzmysłwić Anglikom. Jestem pewien, że przyznają nam rację.

- Są jednak narodem twardym i upartym.

- Ale nie głupim. Nie myślą przecież, że to my jesteśmy ich prawdziwymi wrogami. Fuhrer pozwolił im uciec z Dunkierki, ponieważ nie chciał niszczyć możliwości przyszłego porozumienia z nimi i przymierza przeciwko komunizmowi. Kiedy im się to wyjaśni, na pewno zrozumieją, zobaczy pan. - Hess kiwnął głową. - Zrozumieją żywotną potrzebę takiego przymierza, ujrzą całą jego mądrość.

Zabrzmiało to jak coś więcej niż czysta spekulacja i Rauss siedział zaintrygowany. Nic nie słyszał o planach zaproponowania Anglikom współpracy, ale Hess mówił o tym z takim przekonaniem, jakby miało się to stać rzeczywistością. Rauss ciekaw był, ozy Hitler i Hess opracowali tajny plan negocjacji z Anglią, ale nie było sensu o to pytać. Jeśli Hess sam nic nie mówił, widocznie nie nadszedł jeszcze czas, aby Rauss poznał prawdę. Kiedy taka chwila nadejdzie, Hess z pewnością powie mu o wszystkim.

Patrząc na swojego przełożonego, który zacisnąwszy usta uśmiechał się, Rauss wyczuł, że coś wisi w powietrzu. Hess powiedział mu dosyć, aby wzbudzić jego ciekawość, a teraz patrzył na niego z rozbawieniem.

Po chwili Rauss zdał sobie sprawę, że w zasadzie pomysł zaproponowania Anglikom antykomunistycznego przymierza nie powinien go dziwić. Prawdopodobnie już od dawna

było to częścią długofalowego planu Hitlera. W ostatnich latach, publicznie i prywatnie Hess zawsze mówił o komunizmie jako głównym wrogu, a Hitler całkowicie podzielał jego opinię.

Kilka tygodni później, pod koniec sierpnia Rauss pojechał z nim do fabryki Messerschmitta w Augsburgu, aby porozmawiać z profesorem Willim Messerschmittem o jego ostatnim modelu myśliwca, dwusilnikowym Me-110.

Siedząc w biurze projektowym Rauss obserwował twarz Hessa, gdy Messerschmitt opowiadał mu o możliwościach samolotu i umocnił się w swoich podejrzeniach. Hess z pewnością coś planował. Na jego twarzy malowała się więcej niż zwykle u niego przyjemność, którą odczuwał rozmawiając o samolotach. Często wspominał Raussowi, jak bardzo żałował, że w 1918, gdy został świeżo upieczonym pilotem, I wojna światowa miała się ku końcowi i zdołał zaliczyć jedynie kilka lotów bojowych. W latach dwudziestych i trzydziestych uprawiał latanie jako hobby, a w 1934 nawet zwyciężył w zawodach. Potem Hitler sprowadził go na ziemię; powiedział, że jego życie jest zbyt cenne, aby miał je ryzykować pilotując własny samolot. Kiedy we wrześniu 1939 wybuchła wojna, Hess poprosił Hitlera o przydział do Luftwaffe, ale ponownie usłyszał, że jest na to zbyt cenny. Hess zobowiązał się do zrobienia rocznej przerwy w lataniu. Za kilka dni ten roczny okres minie i Rauss łamał sobie głowę co też jego przełożony zamierza uczynić. Po co tu przyjechał i wypytywał o nowego myśliwca?

Kiedy siedzieli z tyłu mercedesa wracając do Pullach, Rauss poczuł na sobie wzrok Hessa. Od kierowcy odgradzała ich podniesiona szyba. Odwrócił się i zobaczył, jak Hess się uśmiecha.

- Zastanawiał się pan, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? - spytał.

- Przyznam, że tak.

- Cierpliwości, Rauss. Już niedługo sam pan zobaczy.

Po dziesięciu dniach, w pierwszy, tygodniu września Hess wezwał Raussa z samego rana do swojego gabinetu.

- Po południu jedziemy do Messerschmitta - oznajmił.

- Tak jest, panie ministrze.

- Ciągle zastanawia pana ta historia?

- Tak.

- Znowu zasiądem za sterami samolotu, Rauss. - Hess uśmiechnął się pokazując szparę między przednimi zębami. Rzadko kiedy jego uśmiech był aż tak szeroki.

- Ale przecież Fihrer panu zabronił.

- Obiecałem mu nie latać przez rok, a rok minął właśnie wczoraj. Zaplanowałem lot na dzisiaj.

- Czy Fiihrer wie o pana zamiarze?

- Nie, Rauss. To będzie nasza tajemnica, pańska i moja. Mówię panu o tym teraz, aby uniknąć podobnej dyskusji po południu, w obecności Messerschmitta. On nie wie, że Fuhrer ma zastrzeżenia do mojego latania i chciałbym, żeby tak pozostało. Mógłby poczuć się bardzo zakłopotany.

- Rozumiem, panie ministrze.

Po południu pojechali do Augsburga. Hess zasiadł w kabinie Me-109, szybkiego, jednosilnikowego myśliwca, który stanowił główną siłę uderzeniową Luftwaffe i ścierał się ze Spitfire'ami oraz Hurricane'ami RAF-u w powietrznej bitwie o Anglię.

Podczas następnych trzech miesięcy odbyli około tuzina wycieczek do Augsburga i za każdym razem Hess latał sto dziewiątką. Gdy nabrał już wprawy po rocznej pauzie, przesiadł się na Me-110.

Po wylądowaniu wyskoczył z kabiny i podszedł do samochodu, przy którym czekali obserwujący go Rauss z Messerschmittem. Wrócili do biura profesora i usiedli.

- Mam kilka pytań dotyczących tego samolotu, panie ministrze - zaczął Hess.

- Słucham. Odpowiem najlepiej, jak potrafię.

- Jaki jest jego zasięg?

- Operacyjny, około dziewięćset kilometrów.

- Myślałem, czy nie dałoby się go zwiększyć przez zamontowanie dodatkowych zbiorników na paliwo, nie zmieniając zdolności manewrowych maszyny.

- Tak, oczywiście. Można to zrobić bez szkody dla wartości bojowej samolotu.

- Gdzie umieściłby pan takie zbiorniki? - Hess obserwował Messerschmitta. Siedział ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

Rauss widział, że to nie była zwykła ciekawość dotycząca techniki lotniczej. Messerschmitt z ołówkiem w ręku przeprowadzał obliczenia, mając w głowie tylko pytanie i odpowiedź, której miał na nie udzielić; naukowiec szukający rozwiązania problemu. Rauss zdawał sobie jednak sprawę, że w pytaniu Hessa kryło się coś więcej. Zresztą nie po raz pierwszy.

- Mógłbym doczepić mu dwa siedmiusetlitrowe zbiorniki. - Messerschmitt stuknął końcem ołówka w notes. - Jeden pod każdym skrzydłem. To zwiększyłoby zasięg do około tysiąca sześćset kilometrów, zależnie od prędkości i wysokości.

- A czy dałoby się zainstalować w nim silniejsze radio, żeby odbierać sygnały nawigacyjne z większej odległości?

- Oczywiście.

Hess wydawał się całkowicie pochłonięty problemami technicznymi.

- Czy to wszystko byłoby wykonalne w ciągu kilku najbliższych dni? Chciałbym wypróbować samolot, gdy dodatkowe wyposażenie będzie już zamontowane. Może za dwa dni?

- Tak - powiedział powoli Messerschmitt. W końcu zdobył się na zadanie pytania. - Czy można wiedzieć, panie ministrze, w jakim celu?

- Niewykluczone, że będę potrzebował samolotu o takim zasięgu. W pewnym bardzo ściśle określonym celu.

Messerschmitt o nic więcej już nie pytał. Kiedy wrócili do Pullach, Hess zabrał Raussa do swojego gabinetu i zapytał z uśmiechem:

- Czy już pan odgadł?

- Nie.

- Zamierzam polecieć do Wielkiej Brytanii z propozycją zawarcia sojuszniczego porozumienia przeciwko Rosji.

Raussa zupełnie zatkało. Hess usiadł zaciskając usta w uśmiechu.

- Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Polecę do Szkocji. To półtora tysiąca kilometrów, ale tym zmodernizowanym Messerschmittem dam radę, Rauss. Wyląduję w Dungavel, niedaleko Glasgow, gdzie znajduje się wiejska rezydencja księcia Hamiltona. On zaprowadzi mnie do najbardziej wpływowych ludzi w Anglii. Ma dostęp do wszystkich osobistości w Londynie, nawet do Churchilla i króla Jerzego.

- Czy on wie o pańskim przybyciu?

- Nie. Ale otrzymał list sugerujący potrzebę spotkania między nim a przedstawicielem Niemiec. - Trzy miesiące wcześniej Albrecht Haushofer, syn profesora Karla Haushofera, który był wykładowcą Hessa na Uniwersytecie Monachijskim, wysłał list do księcia Hamiltona, z propozycją takiego spotkania w Lizbonie. Pismo przekazano przez mieszkającego tam wspólnego znajomego, którego Albrecht znał jeszcze sprzed wojny. Wysłanie tego listu zaaprobował sam Hitler. Niech się pan nie obawia, Fuhrer wyraża zgodę na podjęcie takiej linii postępowania.

- Więc pański lot, panie ministrze, odbędzie się na rozkaz Wodza? - To było niewiarygodne. Rauss nie mógł pojąć, jakim cudem Hitler mógłby wysłać Hessa z podobną misją.

- Nie na jego rozkaz, ale gwarantuję, że zaaprobuje to posunięcie, kiedy dowie się o fakcie dokonanym. Może pan być tego pewien.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Na razie niech pan nic nie mówi. Kiedy nadejdzie czas, przekażę panu, co komu trzeba będzie powiedzieć. Niech się pan niczego nie obawia - dodał łagodnie.

Po kilku dniach Hess odbył pierwszy lot dwusilnikowym myśliwcem z dodatkowymi zbiornikami, a w czasie następnych tygodni powtórzył próbę jeszcze parokrotnie. W styczniu 1941 chciał sprawdzić maksymalny zasięg, ale zepsuła się lotka i nie mógł osiągnąć pułapu potrzebnego do przekroczenia niemieckiego wybrzeża. Dwa miesiące później spróbował jeszcze raz, lecz wleciał w obszar złej pogody i musiał wrócić do Augsburga.

Wczesnym rankiem 10 maja zadzwonił do Raussa i polecił mu potwierdzić, że pogoda będzie dobra, tak jak poprzedniego dnia zapowiadali meteorologowie. Po południu miał być gotowy na wyjazd do Augsburga.

- Mam przeczucie, że to się stanie dzisiaj - powiedział na zakończenie.

Wyruszyli z położonego niedaleko Monachium domu Hessa. Jazda mercedesem do fabryki Messerschmitta zajęła niecałą godzinę. Po drodze zatrzymali się w lesie na zachód od Monachium i poszli na krótki spacer. Hess miał na sobie cywilną marynarkę, ale pod spodem nosił mundur oficera Luftwaffe: jasnoniebieską koszulę, granatowy krawat, szaro-niebieskie bryczesy oraz buty pilota. Z bocznej kieszeni marynarki wyjął dwie koperty. Podał Raussowi jedną z nich. Była zaadresowana do Hitlera.

Rauss poczuł pot spływający mu pod mundurem.

- A tu są instrukcje dla pana. - Hess wręczył mu drugą kopertę. - Niech pan czeka przez trzy godziny, i jeśli nie wrócę, otworzy pan tę kopertę i postąpi dokładnie według zawartych w niej wskazówek.

- Tak jest, panie ministrze.

Pojechali do zakładów Messerschmitta. Gdy napełniono zbiorniki samolotu, Hess włożył szaroniebieską marynarkę munduru Luftwaffe z kapitańskimi dystynkcjami na naramiennikach i naszywkach. Naciągnął podszyty futrem kombinezon lotniczy z brązowej skóry i trzymając w dłoni pilotkę ruszył w towarzystwie Raussa do maszyny. Była czwarta czterdzieści po południu. Myśliwiec stał gotowy do lotu.

- Do widzenia, Rauss. Dziękuję za wierną służbę przez te pięć lat. - Hess wyciągnął rękę.

- To był dla mnie zaszczyt, panie ministrze. Życzę panu powodzenia.

- Dziękuję. - Hess nałożył pilotkę, wdrapał się na skrzydło i wskoczył do kokpitu. Stojący na skrzydle mechanik zamknąłabinę.

Rauss cofnął się. Najpierw jedno, a zaraz potem drugie śmigło zaczęło się kręcić i myśliwiec podkołował na pas startowy.

Po chwili wystartował i Rauss obserwował go, aż rozmył się zupełnie na niebie.

Odczekawszy dokładnie trzy godziny otworzył kopertę z instrukcjami. Hess napisał, żeby o dziewiątej zatelefonował do centrali Luftwaffe w Berlinie, nakazując im nadanie wiązki sygnału kierunkowego, wycelowanego w Dungavel Hill, trzydzieści kilometrów na południe od Glasgow. Następnie miał oddać drugą kopertę Hitlerowi w jego kwaterze w Berchtesgaden, na południe od Salzburga.

Rauss zadzwonił do Berlina i przedstawił się dyżurnemu oficerowi w centrali Luftwaffe.

- Mam dla was polecenie od zastępcy Hitlera. - Rauss wyjaśnił dokładnie, o co chodzi.

- Czy mogę wiedzieć, do czego to jest potrzebne? - spytał dyżurny oficer.

- To tajemnica państwowa.

- Wysyłamy tam wieczorem dużą grupę bombowców. Nie wolno nadać sygnału, który może ostrzec Anglików przed nalotem. Transmisję zaczniemy najwcześniej o dziesiątej.

- No cóż, jeśli tak pan mówi, będziemy się musieli tym zadowolić.

- Zaczniemy nadawać natychmiast.

- Dziękuję.

Rauss podszedł do mercedesa, kazał kierowcy zawieźć się na stację kolejową w Monachium i usiadł z tyłu. Całą drogę siedział przy samym oknie rozmyślając, co się stanie, kiedy wręczy Hitlerowi list.

W Monachium trzymano prywatny wagon kolejowy Hessa. Rauss zarządził, aby doczepiono go na końcu składu nocnego pociągu jadącego do Berchtesgaden, który odchodził o północy. Przez dwadzieścia minut chodził tam i z powrotem po ulicy przed dworcem. W prawej kieszeni cały czas trzymał list do Hitlera. W końcu przeszedł na peron i wsiadł do wagonu.

Większą część siedmiogodzinnej podróży spędził leżąc na jednym z łóżek. Zgasił światło, odsunął zasłonki i wpatrywał się w ciemność za oknem.

O siódmej rano był na miejscu i zatelefonował do kwatery Hitlera prosząc adiutanta o natychmiastowe widzenie z Wodzem Rzeszy oraz o przysłanie po niego samochodu na stację.

- W jakiej to nagłej sprawie chce się pan z nim zobaczyć?

- Niestety, nie mogę powiedzieć. To sprawa ściśle tajna.

- W takim razie spotkania nie da się zorganizować.

- Może pan tego pożałować.

- Mogę. - Adiutant nieustannie słyszał podobne teksty, jeśli odmawiał komuś natychmiastowej audiencji u Hitlera. - Ale wyślę po pana samochód, kapitanie. Kiedy pan przyjedzie, zrobię, co będę mógł, żeby dostał się pan do Fuhrera jak najszybciej.

Auto przyjechało po pewnym czasie. Rauss usiadł z tyłu i patrzył na mijane drzewa, podczas gdy pojazd wspinał się krętą drogą do górskiej rezydencji Hitlera.

Kiedy przybył do wili, odszukał adiutanta, z którym przedtem rozmawiał przez telefon. Powtórzył mu, że ma pilną wiadomość dla Hitlera i to od samego Hessa.

Czekał prawie trzy godziny, zanim Hitler zszedł na dół. Nosił ciemne spodnie i szarą marynarkę od partyjnego uniformu z opaską ze swastyką na ramieniu. Czarne włosy miał gładko zaczesane na bok. Adiutant szepnął coś do niego, a on, spojrzawszy na Raussa, który stał wyprężony służbiście w drugim końcu hallu, skinął głową i wszedł do gabinetu. Adiutant pospieszył do Raussa. - Fuhrer przyjmie pana teraz.

Dłonie Raussa były wilgotne, a koszula przylepiła mu się do pleców. Wszedł do gabinetu, a za nim adiutant. Całą jedną ścianę pomieszczenia tworzyły rozsuwane, widokowe okna, przez które wpadały promienie słońca. Na oddalonych szczytach gór widać było sosny. Przed oknami znajdowało się wielkie biurko. Obok niego stał Hitler. Z założonymi do tyłu rękami patrzył na duży globus. Po chwili spojrzął w stronę drzwi.

- Niech pan podejdzie bliżej, Rauss. - Hitler kiwnął na niego ręką.

Rauss przeszedł po puszystym dywanie i stanął na baczność o krok od Hitlera, wyrzucając prawe ramię w geście partyjnego pozdrowienia.

- Orzymałem rozkaz od ministra Hessa, aby wręczyć to osobiście panu, Mein Fuhrer. - Podał Hitlerowi list.

Hitler wziął z biurka okulary, nałożył je ostrożnie, po czym otworzył kopertę.

Rauss obserwował jego twarz, kiedy czytał. Zauważył, że zacisnął mocno szczęki, a kąćki ust wykrzywił do dołu w grymasie niezadowolenia. W nasłonecznionym pokoju było bardzo ciepło. Rauss poczuł silny aromat kwiatów stojących w wazonie na biurku. Jednocześnie był świadomy obecności adiutanta, który czekał za jego plecami.

- Gdzie Hess jest w tej chwili? - spytał Hitler chłodnym, cichym głosem, nie odwracając oczu od trzymanej w ręku kartki.

- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, Mein Fuhrer. Wczoraj wieczorem, dokładnie za kwadrans szósta odleciał z Augsburga. Zamierzał udać się do Szkocji, do księcia Hamiltona.

- W obecnym stadium wojny, może się to okazać wielce niebezpieczną eskapadą. - Hitler patrzył na Raussa spoza okularów.

- Tak jest, Mein Führer.

Hitler przebiegł oczami po tekście jeszcze raz. Hess wymienił w nim techniczne szczegóły lotu i związane z nim trudności, a następnie wyjaśniał, że jego misja ma na celu realizację starego planu Hitlera, jakim było panowanie nad Europą i całym światem.

Zaczął czytać po cichu na głos, i spocony, wyprężony na baczność Rauss usłyszał:

- ... a jeśli mój projekt, który, przyznaję, ma niewielkie szanse powodzenia, skończy się fiaskiem, nie przyniesie to szkody ani panu ani Niemcom: zawsze będzie pan mógł zaprzeczyć, że miał z tym coś wspólnego. Po prostu ogłosi pan, że postradałem zmysły... - Nie patrząc na Raussa, Hitler odłożył list na biurko. Zdjąwszy okulary odwrócił się do okien i znieruchomiał z rękami splecionymi z tyłu. Patrzył na góry.

Otworzyły się drzwi, przez które weszła przyjaciółka Hitlera, Ewa Braun. Wyczuła napięcie i zatrzymała się niepewnie z dłonią na klamce.

- Obiad gotowy - powiedziała.

Ciągle w tej samej pozycji, Hitler kiwnął głową. Ewa Braun wycofała się zamykając za sobą drzwi.

Jeszcze przez chwilę stał spoglądając przez okno. Potem odwrócił się, wyminął Raussa i wyszedł z gabinetu.

- Proszę. - Adiutant wskazał drzwi. - Zapraszamy na obiad.

Wyszli. Ze wszystkich części wili schodziły się kobiety i mężczyźni, zdążając do jadalni. Byli tam członkowie osobistego personelu Hitlera oraz goście przybyli na konferencje, a wśród nich minister uzbrojenia - dr Fritz Todt generał Luftwaffe - Ernst Udet, Martin Bormann, oraz naczelny dowódca Luftwaffe - marszałek Rzeszy Karl Bodenschatz, adiutant Hermanna Goringa.

Kiedy Rauss szedł w kierunku jadalni, złapał go Bormann.

- Co się stało? - szepnął.

- Hess poleciał do Anglii, żeby negocjować przymierze między nami i Brytyjczykami. Właśnie przywiozłem list od niego do Fuhrera.

- Na Boga? - Bormann cofnął się o krok. - Ja nie mam z tym nic wspólnego - dodał szeptem. - Niech pan mnie w to nie miesza. W ogóle nie znam sprawy. - Ruszył szybko wyprzedzając Raussa.

Obiad odbywał się w ciszy. Wszyscy siedzieli po obu stronach długiego stołu, przy którym honorowe miejsce zajmował Hitler. Jako wegetarianin jadł sałatkę z surowych warzyw z dodatkiem jogurtu. Popijał wodą mineralną.

Rauss przeżuł trochę mięsa, ale gardło miał ściśnięte i przełknął z dużym trudem. Czuł w sobie suchość, więc wychylił kilka szklanek wody.

Skończywszy posiłek Hitlera wstał, patrząc wzdłuż stołu na Raussa.

- Niech wszyscy wyjdą, z wyjątkiem pana, Rauss. Bormann, pan także zostaje.

Obydwaj stali przy swoich krzesłach, podczas gdy pozostałe osoby opuszczały jadalnię. Bormann spojrział karcąco na Raussa. Będąc szefem personelu Hessa obawiał się, że Hitler oskarży go o trzymanie w tajemnicy zamysłów swojego przełożonego.

Z wyniosłą miną Hitler obszedł stół i stanął przed Raussem - Bormann, niech pan sprowadzi Deckera i Raaba - warknął. Dwaj wymieniem było oficerami SS z osobistej ochrony Hitlera.

- Rozkaz, Mein Fuhrer. - Bormann wymaszerował z jadalni.

- Jest pan aresztowany, Rauss - wyszeptał Hitler. Widać było, że ledwo nad sobą panuje. Rauss zauważył jego dłonie, mocno zaciśnięte w pięści i wilgotne wargi. - Opowie pan nam, jaką rolę odegrał w tym szaleństwie Hessa.

- Tak jest, Mein Fuhrer.

Wrócił Bormann z dwoma oficerami SS w czarnych mundurach.

- Zabrać go! - Hitler odwrócił się od Raussa. Stanąwszy po obu jego stronach wyprowadzili go na zewnątrz.

W ciągu następnych dwóch dni aresztowano większość personelu Hessa. Ale nie Bormanna. Jeszcze przed końcem miesiąca Hitler powierzył mu wszystkie stanowiska, jakie do tej pory zajmował Hess.

Rauss został przewieziony do więzienia gestapo w Berlinie przy Prinz Albrechtstrasse. Przez trzy tygodnie trzymano go w izbach tortur pod celami. W końcu upewniono się, że powiedział wszystko, co wiedział o planach Hessa. Potem zamknięto go w więzieniu.

Rozdział 20

- Czy to robota gestapo? - Strang wskazał głową na czubki palców Raussa, spoczywających na poręczach.

Rauss zwinął dłonie i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Nie. Oni byli stosunkowo łagodni. Paznokcie wyrwali mi Sowieci.

- Rosjanie?

- Właśnie oni. Gdy gestapo zostawiło mnie w spokoju, pozostawałem w więzieniu przez kolejne dwa lata, a dokładnie, dwa lata, dwa miesiące i sześć dni. Wówczas mój kraj odczuwał chyba tak duże zapotrzebowanie na wyszkolonych oficerów, że trzymanie mnie w więzieniu byłoby marnotrawstwem. W sierpniu czterdziestego trzeciego zostałem zwolniony i wysłany na front wschodni.

* * *

Latem 1943 armia niemiecka na froncie rosyjskim była w rozsypce. Od wielu miesięcy ilość poległych liczebnie znacznie przewyższała docierające posiłki. Morale żołnierzy było bardzo niskie, mimo wciąż niezłomnej dyscypliny i odwagi. Już nie wierzyli w możliwość ostatecznego pokonania nawałnicy rosyjskich czołgów i piechoty, które nieustannie łamiąc ich opór parły naprzód. Niemcy byli w odwrocie, cofali się na zachód, paląc za sobą mosty, burząc umocnienia, w końcu grzebiąc swoich poległych w płytkich, piaszczystych grobach.

Rauss otrzymał przydział do pułku piechoty w drugiej armii, walczącej na froncie centralnym. Został mianowany dowódcą kompanii. Jego oddział zawsze stanowił tylną straż w czasie licznych akcji wycofywania się.

W połowie lutego 1945 pułk Raussa, jak i cała druga armia, został zepchnięty na tereny Niemiec i walczył na linii rzeki Nysy. Nocą 15 lutego, wykonując zadanie, jako tylna straż, kompania Raussa znalazła się w okrążeniu. On sam został ranny w lewą nogę i dostał się do niewoli.

Po opatrzeniu rany, wzięto go na przesłuchanie. Oficer radziecki spisał jego nazwisko, stopień, numer ewidencyjny oraz to, co Rauss wiedział o ruchach swojej jednostki. Następnie, razem z innymi rannymi więźniami, załadowano go do bydłowego wagonu i przewieziono przez Polskę do obozu jenieckiego na obrzeżach bagien w Białorusi.

Przebywał tam sześć tygodni. Rana zagoiła się, tak że mógł trochę ćwiczyć na słońcu, spacerować jak inni po błotnistej ziemi dookoła baraków, próbując zapomnieć o kolczastych drutach, wieżyczkach, wartownikach, karabinach maszynowych.

Więźniowie często rozmawiali między sobą o tym, co Rosjanie mogą z nimi zrobić. Wszyscy jeńcy widzieli, jak ich przyjaciele dostawszy się do niewoli zostali rozstrzelani. Ciężko rannych wykończono na ziemi, tam gdzie ich znaleźiono, a wielu zdrowych jeńców

zabito w czasie marszu przez Polskę do obozu. Zastanawiali się, jak będą teraz traktowani, Rauss przysłuchiwał się, ale sam nie zabierał głosu. Od dnia, kiedy wzięto go do niewoli rozmyślał, jaki byłby jego los, gdyby Sowieci odkryli, że był adiutantem Hessa. Przesłuchanie na polu walki było niczym - po prostu oficer wywiadu jednostki zbierał rutynowe informacje, aby przekazać je do Moskwy. Ale jeśli tam, w Moskwie, natkną się na jego nazwisko na listach setek tysięcy jeńców niemieckich, jeśli sprawdzą w swoich kartotekach i dojdą kim jest? Kim był?

Przyszli po niego w pierwszych tygodniach kwietnia - sierżant Armii Czerwonej i dwóch szeregowych żołnierzy z pepeszami. Siedział właśnie oparty o ścianę baraku, razem z innymi więźniami wystawiając twarz do słońca. Wyciągnięto go poza teren obozu i popędzono pięć kilometrów drogą do najbliższej miejscowości. Po obu stronach traktu było kilka małych domów o połatanych dachach i ścianach noszących widoczne ślady po kulach i pociskach.

Stary dom nie był uszkodzony, jeśli nie liczyć powybijanych szyb we wszystkich oknach. Wprowadzono go do wnętrza, gdzie było tylko jedno pomieszczenie. Za prostym, drewnianym stołem siedział major armii radzieckiej. Miał na sobie czysty, świetnie dopasowany mundur. Pod stołem skrzyżował w kostkach nogi, obute w wypolerowane na połysk oficerki. Żołnierze podprowadzili Raussa do stołu i stanęli na baczność.

Czapka majora leżała z boku na stole. Czarne, zaczesane do tyłu włosy nadawały jego głowie kwadratowy kształt. Po niemiecku mówił bardzo płynnie.

- Nazywam się Gałkin, kapitanie Rauss. Jestem z GRU. Wie pan, co to takiego?

- Nie - skłamał.

GRU było Naczelną Administracją Wywiadowczą Sztabu Generalnego. Jeszcze przed wojną, dwa czy trzy razy jej agenci zostali aresztowani w Niemczech i straceni. Przez te wszystkie tygodnie żywił nadzieję, że GRU go nie znajdzie.

- Wydaje mi się, że pan jednak wie. - Gałkin siedział patrząc na mego. - Znamy pana.

- Otworzył akta. - Niech mi pan opowie o swoim byłym zwierzchniku. Rudolfie Hessie.

- Nic o nim nie wiem. Opuścił moją ojczyznę prawie cztery lata temu. Jak wiecie, poleciał do Wielkiej Brytanii.

- Wiemy. Niech pan powie, dlaczego to zrobił.

- Nie mam pojęcia.

- Był pan jego adiutantem.

- Owszem, ale o wielu rzeczach mi nie mówił.

- Przeciwnie. Jestem przekonany, że zwierzał się panu ze wszystkiego. Był pan bardzo blisko niego przez pięć lat, Rauss. Z pewnością wie pan, dlaczego tam poleciał. I powie mi pan o tym.

- Zapewne zrobił to, ponieważ zrozumiał, iż Niemcy nie mogą wygrać tej wojny. - Rauss widział, że Gałkin mu nie wierzy. W swoim podartym, brudnym mundurze czuł się czymś gorszym od niego. - Chciał przyłączyć się do zwycięzców.

- W maju czterdziestego pierwszego? Wtedy to właśnie wygrywaliście na wszystkich frontach. Dopiero sześć tygodni później stało się jasne, że musicie ponieść klęskę, kiedy zdradziecko zaatakowaliście nasz kraj.

Rauss w milczeniu stał na baczność.

- Czy zna pan samolot Messerschmitt 110, Rauss?

- Tak.

- Widział pan ten myśliwiec wiele razy, prawda?

- Tak.

- Widział pan, jak latał nim Rudolf Hess?

- Widziałem.

- Wiele razy. - Gałkin powiedział to bez intonacji pytającej. Rauss był pewien, że wiedzieli o nim wszystko, nawet to, co skrywał przed nimi, prawdę o locie Hessa.

- Tak. Wiele razy.

- Kiedy był pan z nim w Augsburgu, w zakładach Messerschmitta, Hess powiedział panu, dlaczego poświęcał tyle swojego cennego czasu na oblatywanie tego samolotu, prawda?

- Mówił, że chce odbyć długi lot, nic więcej. - To już nie mogło potrwać długo. Mieli go u siebie i mogli zrobić z nim co tylko chcieli, aż powiedziałby im wszystko.

Gałkin odchylił się do tyłu. Rozprostował ramiona za oparciem krzesła.

- Niech pan posłucha, Rauss - powiedział cierpliwie. - Wiemy, że poleciał tam, aby namówić Anglików do zawarcia przymierza z wami, hitlerowcami, przeciwko nam.

- To brzmi niewiarygodnie.

- Czyżby? A jednak to prawda. Wie pan, skąd mamy tę informację?

- Nie.

- Od naszych sojuszników, Anglików. Ponad trzy lata temu powiedzieli nam, co ten antykomunista Hess im zaproponował. - Gałkin skrzyżował ramiona. - Niech pan powie, czy poleciał tam na rozkaz Hitlera.

- Nie wiem.

- Kiedy pojechał pan do Hitlera, nazajutrz po odlocie Hessa, co on panu powiedział?

- Bardzo niewiele.
- A więc wiedzieli o jego wizycie w Berchtesgaden, o wszystkim.
- Nie pamiętam już dokładnie. - Nie był zadowolony.
- A co zeznał pan na przesłuchaniu w gestapo?
- Prawie nic nie miałem im do powiedzenia.
- Czy pytali pana tak, jak ja to robię teraz, czy też byli bardziej brutalni, bardziej niemieccy?
- To ostatnie świnie.
- Być może byłby pan bardziej komunikatywny, gdybyśmy potraktowali pana, tak jak zrobiło to gestapo. Może byli świniami, gdyż mieli do czynienia ze świnią.

„A więc teraz się zacznie”, pomyślał Rauss. Spodziewał się tego każdego dnia, przez wszystkie tygodnie spędzone w niewoli. Trudno mu będzie cokolwiek przed nimi ukryć, ponieważ wiedzieli już znacznie więcej, niż przypuszczał, i zbyt dużo, aby mógł ich okłamywać.

Trzymali go w tym pomieszczeniu dwa dni bez jedzenia. Wartownicy przychodzili na zmianę i tłukli go niemiłosiernie pięściami i kijami. Bicie nie ustawało, gdy major wychodził na posilek, ani nocą, gdy szedł spać. Kiedy Rauss tracił przytomność, chlustali na niego wodą i zaczęli bić od nowa.

Po dwóch dniach powiedział Gałkinowi, jakie były oczekiwania Hessa, związane z jego lotem do Anglii. Rosjanie i tak wszystko wiedzieli, nie było więc sensu dłużej milczeć. Odczuwał trochę dumy, że zmusił ich do pewnego wysiłku, zanim powiedział im prawdę.

Jednak Rosjanie nie byli usatysfakcjonowani. Wyciągnęli go z domku, wrzucili na tył ciężarówki i zawieźli na lotnisko wojskowe w asyście sześciu strażników. Stamtąd odbył lot do Moskwy. Kolejną ciężarówką przetransportowano go do centrum miasta, czego zresztą zrazu nie wiedział, gdyż leżał na podłodze w skrzyni pojazdu. Ręce i nogi miał mocno skute kajdankami. W końcu dojechali do siedziby GRU przy placu Arabatu, po przeciwnej stronie Pałacu Kremłowskiego niż Łubianka, gdzie mieściła się rywalizująca z GRU instytucja wywiadowcza - KGB.

Sprowadzili go długimi schodami na dół i powiedli korytarzem. Chrzęst łańcuchów uderzających w kamienne podłogę odbijał się złowieszczym echem między gołymi ścianami. Żołnierze otworzyli ciężkie, stalowe drzwi, po czym wciągnęli go do jasno oświetlonego pomieszczenia. Kiedy został podniesiony i posadzony na drewnianym krześle, zobaczył, że był w izbie tortur. To, co przeszedł do tej pory było niczym. Tutaj nie spoczną, dopóki nie wycisną z niego wszystkiego.

Rauss nigdy nie poznał nazwiska oficera prowadzącego przesłuchanie. Był to jakiś pułkownik. Chodził podpierając się laską, a kiedy siadał, jego sztuczna noga sterczała podparta daleko do przodu. Na lewym oku nosił opaskę. Rauss od samego początku widział, że Rosjanin nienawidził go za sam fakt, że był Niemcem.

Całymi dniami i nocami pułkownik pytał go o powody, dla których Hess poleciał do Anglii. Pytał też, czy był to własny pomysł Hessa, czy też wykonywał on polecenie Hitlera. Rauss powtórzył wszystko, co przedtem zeznał Gałkinowi, ale torturowano go przez wiele dni, gdyż pułkownik chciał się upewnić, że niczego nie przemilczał. Zadawali mu wstrząsy elektryczne, przykładając elektrody do genitaliów. Przywiązali go, leżącego na plecach do ławki, owinęli głowę grubym, wełnianym materiałem i polewali wodą tak długo, aż zaczął ją wdychać i niemal się utopił.

Po wielu dniach doszli do wniosku, że ma dosyć i przeciągnęli go do celi, gdzie przez parę dób leżał w spokoju. Dawano mu jeść tylko tyle, żeby przeżył. Potem wrócił do sali tortur i wszystko zaczęło się od nowa.

W końcu pułkownik przekonał się, że Rauss powiedział już wszystko i że Hess rzeczywiście poleciał do Brytyjczyków z własnej inicjatywy. Wtedy zaczął pytać, co jeszcze Hess robił z nienawiści do komunizmu i Związku Radzieckiego. Rauss odparł, że o niczym więcej nie wie.

Znowu znęcali się nad nim, ale bez rezultatu. Przez kilka dni przyprowadzali go do izby wcześniej rano, przywiązywali do fotela dentystycznego i powoli wiercili mu dziury w zębach - po trzy, cztery dziennie. Ciągle milczał, aż nie został mu ani jeden cały ząb.

Nazajutrz wyrwali mu wszystkie paznokcie, wciąż bez skutku.

Następnego ranka ujrzał w sali tortur rozpięty na ścianie ekran oraz projektor z założonym filmem. Pułkownik siedział w drewnianym fotelu na wprost ekranu. Jego lewa noga sterczała sztywno do przodu. Rauss zastanawiał się, po co to wszystko.

- Nie wiesz tego, ale wczoraj był historyczny dzień dla mojego kraju - odezwał się pułkownik. - Ósmy maja. Powinieneś zapamiętać tę datę do końca życia. Wasi przywódcy podpisali w Berlinie akt bezwarunkowej kapitulacji wobec Armii Czerwonej.

Rauss nie uwierzył. Ta świnią kłamała, żeby go złamać psychicznie.

Pułkownik powiedział coś po rosyjsku. Chwilę potem zgasło światło i rozpoczęto projekcję. Na ekranie pojawiły się radzieckie czołgi, jadące szerokimi alejami Berlina, strzelające seriami do ukrytych snajperów; grupki piechurów, ostrzeliwujących się z karabinów maszynowych, rzucających granaty w czasie pokonywania rumowiska z cegieł i połamanych belek, które kiedyś były domami. Na szczycie czarnej od ognia i uszkodzonej

pociskami Bramy Brandenburskiej powiewała flaga radziecka. Dwóch Rosjan w długich butach i torbiastych spodniach ciągnęło kobietę z chodnika na ubitą trawę jakiegoś parku lub ogrodu.

Film trwał jeszcze, ale Rauss myślał tylko o tej kobiecie szarpanej przez Sowietów. Może nie dotarli aż do Monachium, gdzie była jego żona.

Projekcja skończyła się i ponownie zabłysło światło. - Sam widzisz jak tam teraz jest - przemówił pułkownik. - Robimy z waszymi kobietami dokładnie to, co wyście robili z naszymi przez cztery lata. Jak się czujesz z tą świadomością?

Rauss milczał.

- Nic nie mówisz? - Pułkownik stanął, opierając się na swojej lasce. - Ciągłe nie masz mi nic więcej do powiedzenia? Wojna skończona. - Teraz nie musisz się niczego bać. Nie zaszokujesz już swojej zaszranego ojczyźnie. - Usiadł za biurkiem. - No więc, słucham; co jeszcze zrobił Hess z nienawiści do mojego kraju? Za co jeszcze ponosi odpowiedzialność?

Rauss pomyślał, że to nie był błąd. Jeśli Rosjanie byli w Berlinie - a film nie pozostawiał co do tego wątpliwości, - wojna dobiegła końca i mógł już powiedzieć wszystko. Człowiek, którego chronił był niemal na pewno Rosjaninem, a jego wartość polegała na tym, że pracował dla Niemiec. Ale teraz niech ten cholerny Rusek sam chroni swoją skórę. Rauss powiedział pułkownikowi o Michaile.

Jak zeznał, Michaił był agentem, którego Hess zwerbował samodzielnie, aby mieć swoje własne źródło informacji o Związku Radzieckim, które mógł wykorzystywać w czasie narad gabinetu Hitlera. Częściowo chciał olśnić Hitlera swoimi informacjami, ale przede wszystkim nie ufał wielu raportom, jakie nadchodziły z Abwehry, czyli wywiadu wojskowego oraz od wywiadu SS. Podejrzewał, że większość tych meldunków była dziełem wyobraźni, że były tak kształtowane, aby zadowolić zarówno sztab generalny, jak i Reichsführera SS, Heinricha Himmlera. Generałowie oraz przywódca SS chcieli mieć swój wpływ na gabinet i nadać jego pracom obrany przez siebie kierunek.

- Kim jest ten Michaił? - spytał pułkownik. - To jego prawdziwe imię, czy tylko pseudonim?

- Tego nie wiem, ale uważałem je zawsze za pseudonim.

- Jest Rosjaninem?

- Nie mam pojęcia. - „Ale mam nadzieję, że tak, pomyślał. Chciał, żeby go znaleźli, żeby zrobili z nim, ich rodakiem, to wszystko, czego sam doświadczył w izbie tortur.

- Ale jesteś pewien, że to mężczyzna, a nie kobieta?

- Mężczyzna. Pamiętam dobrze, jak Hess kiedyś powiedział o Michaile, „on”.

- Czy pod pseudonimem ukrywa się tylko jeden człowiek, czy może większa grupa ludzi?

- Nie wiem. Zawsze słyszałem tylko o Michaile, nic ponadto.

Siedząc obok biurka stenograf zapisywał cały przebieg rozmowy.

- Kiedy usłyszałeś o nim po raz pierwszy? - Pułkownik przełożył laskę, którą trzymał do tej pory na kolanach na biurko.

- W marcu lub kwietniu trzydziestego dziewiątego. Dokładnie nie pamiętam.

- Dowiedziałeś się o nim od Hessa?

- Tak. Był bardzo zadowolony z raportu, jaki właśnie otrzymał.

- Od jak dawna napływały informacje od Michała?

- Nigdy przedtem o nim nie słyszałem. Może to był pierwszy kontakt i dlatego Hess był w takim dobrym humorze.

- W jaki sposób przesłano meldunek?

- Drogą radiową, do kwatery Hessa w Pullach.

Pułkownik wziął laskę i zrobił taki ruch, jakby chciał smagnąć nią Raussa.

- Drogą radiową do kwatery Hessa. - Trzymał laskę oburącz nad biurkiem. - A ty, adiutant Hessa, mówisz mi, że poza pseudonimem nic o nim nie wiesz. Nigdy nie rozmawiałeś z radiooperatorami, nigdy nie pytałeś ich o Michała? Nie byłeś ciekawy?

- Kontakt odbywał się zawsze przez tego samego radiowca. To był porucznik, wybrany przez Hessa i zaprzysiężony przez niego do dochowania tajemnicy. Zajmował się wyłącznie kontaktami radiowymi z Michałem. Nawet gdyby go o coś spytać i tak nic by nie powiedział.

- Jak się nazywał?

Rauss żałował, że nie był już w stanie odmówić odpowiedzi na to pytanie. Teraz mówić było łatwiej. Wszystko straciło znaczenie, skoro wojna została przegrana.

- Porucznik Gunther Langkau, oficer sygnałowy. - Miał nadzieję, że Langkau poległ, albo dostał się do niewoli aliantów zachodnich, tak aby te świny nie mogły go dostać.

- W jaki sposób Hess zwerbował tego Michała?

- Nie wiem.

- Odpowiadaj!

- Nie wiem.

Pułkownik kiwnął głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi. Rauss zdawał sobie sprawę, że jeszcze wróca do tej kwestii, a ten drań będzie pytał i pytał, aż upewni się, że słyszał prawdę.

- Czy ten porucznik Langkau także kodował i dekodował informacje do i od Michaiła?
- Nie. Hess sam to robił.
- Ach, tak. Więc mówisz mi, że Hess nie ufał żadnemu ze swoich ludzi?
- Nie ufał, jeśli chodzi o wszystko, co dotyczyło Michaiła.
- Jakiego rodzaju informacje dostarczał ten agent?
- Nie wiem.

Pułkownik zatoczył powoli łuk laską, aż jej koniec spoczął na piersi Raussa. Dźgnął go mocno i popchnął do tyłu.

- Gadaj, jakie to były informacje: błahe czy ważne?
- Nigdy nie widziałem żadnego meldunku, nawet zaszyfrowanego. Sam Hess też nigdy mi o tym nie mówił. - Rauss wiedział, że jego oprawca nie będzie usatysfakcjonowany taką odpowiedzią.

Kolejne przesłuchania w izbie tortur GRU ciągnęły się całymi dniami i nocami. Wreszcie pułkownik orzekł, że wycisnęli z Raussa wszystko, co było można.

Wtedy odesłano go do obozu jenieckiego, gdzie przebywał przez dwa miesiące. Gdy nabrał trochę sił po koszmarze przesłuchań w GRU, załadowano go do wagonu bydłowego razem z setkami innych więźniów i wysłano do pracy przy odbudowie zniszczonych w czasie wojny dróg w północnej Rosji. Pracował tam i na południu Rosji do lipca 1947, kiedy został repatriowany.

* * *

- Naprawdę nie wiedział pan w jaki sposób Hess zwerbował Michaiła? - spytał Strang.
 - Proszę pana, gdybym wiedział, z pewnością powiedziałbym to Rosjanom.
- Odpowiedź brzmi: „nie”.

- A czy wspominał pan o Michaiile gestapowcom, gdy przesłuchiwali pana w czterdziestym pierwszym?

- Tak. Nie miałem powodu, aby tego nie robić. W końcu płynęliśmy na tym samym okręcie. Walczyliśmy po jednej stronie, chociaż nie apróbowałem sposobu walki, jaki stosowało gestapo.

- Czy myśli pan, że ktoś inny mógł przejąć kontrolę nad Michaiłem po wyjeździe Hessa i aresztowaniu pana oraz innych jego podwładnych?

- Tak chyba się stało. Pewnie Abwehra wzięła go pod swoją kontrolę, a gestapo znalazło książkę szyfrów w Pullach. Langkau musiał im podać częstotliwość oraz godziny łączności.

Może nie powiedział wszystkiego od razu, ale prędzej czy później zdobyliby te informacje.

- Uważa pan, że GRU podejrzewało istnienie takiego, jak Michaił, kiedy był pan przesłuchiwany?

Rauss siedział nabijając jedną ze swoich fajek.

- Gdy odesłali mnie do obozu, myślałem o tym wiele razy. Nie jestem pewien, panie Strang. Miałem wówczas podejrzenie, że chcieli dojść jakiejś konkretnej prawdy. Pytali czy Der Stelhertreter, jako zaciekły antykomunista zrobił coś jeszcze przeciwko nim. - Zastanowił się przez moment, po czym kiwnął głową. - Tak, czułem, że wiedzą, czego chcą. Może podejrzewali, że wielkie zwycięstwa armii niemieckiej w pierwszym okresie realizacji planu „Barbarossa” były następstwem naszej znajomości ich najbardziej tajnych decyzji. A nasze sukcesy były wtedy ogromne, panie Strang. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Rosjanie woleli raczej wierzyć w to, w cokolwiek, niż uważać zwycięstwa za wynik faktycznej wyższości Wehrmachtu nad Armią Czerwoną.

- Ale podejrzewali coś?

- Tak. - Rauss zapalił długą zapałkę i przytrzymał płomień przy fajce, wydmuchując kłęby dymu. - Niewątpliwie. - Zdmuchnął zapałkę i wrzucił ją do popielniczki leżącej na skraju stołu.

- A kiedy wrócił pan do domu w czterdziestym siódmym czy opowiedział pan o tym komuś?

- Byłem przesłuchiwany w zachodnioniemieckim ośrodku dla powracających jeńców wojennych. Powiedziałem im o rozrywkach, jakich zaznałem w GRU. Potem, gdy byłem już w domu w Monachium, przyszedł do mnie jakiś człowiek i wypytywał o te sprawy. Był Niemcem, ale, jak twierdził, pracował dla armii amerykańskiej. Mówił prawdę, bo zanim zacząłem z nim rozmawiać, sprawdziłem to w waszej komendanturze. Pytał mnie, dokładnie tak samo jak pan, czy Rosjanie podejrzewali istnienie Michaiła, jeszcze przed moimi przesłuchaniami. Odpowiedziałem mu to, co panu.

- Ciekawe, kim był naprawdę.

- Często, bardzo często o tym myślałem. - Rauss pyknął fajkę.

- Wczoraj w Berlinie dowiedziałem się o kopercie, którą Hess wręczył swojemu adwokatowi w Norymberdze w czterdziestym szóstym. Co ona może zawierać?

- Skąd, przebóg, miałbym wiedzieć? W czterdziestym szóstym? - Pokręcił głową. - Nie mam najmniejszego pojęcia, co jest w środku. Nie można otworzyć?

- Właśnie wczoraj skradziono ją adwokat Hessa.

- I nikt nigdy jej nie otwierał?

- Hess zostawił instrukcje, żeby zrobić to dopiero po jego śmierci.

Rauss zaciągnął się mocno dymem z fajki.

- Czy właśnie dlatego przyjechał pan do mnie, panie Strang? Czy przypuszczał pan, że mogę coś wiedzieć o tej skradzionej kopercie?

- Nie byłem pewien, czy będzie mi pan w stanie pomoc. Ale pański syn niewątpliwie coś o niej wiedział.

Sobota 30 kwietnia 1977

Rozdział 21

Strang spędził noc w motelu, niedaleko lotniska w Toronto, a rano kupił bilet i samolotem American Airlines poleciał do Waszyngtonu. Przed podróżą zadzwonił do Langley z prośbą o przesłanie po niego samochodu na waszyngtońskie lotnisko „National”.

Kierowca czekał na mego w hali przylotów. Poszli do samochodu. Strang nie był w Waszyngtonie od trzech lat. Patrzył przez szybę na drugą stronę rzeki Potomac, gdy jechali łukiem Washington Memorial Parkway.

Skręciwszy z głównej alei w boczną drogę minęli wysokie ogrodzenie z łańcuchów, które otaczało zalesiony teren siedziby CIA. Wartownik przy bramie sprawdził ich tożsamość, po czym ruszyli krętą jezdnią między drzewami do wielkiego, betonowego budynku centrali.

Strang wysiadł przed wejściem, przeszedł przez duży hall i zjechał na dół do głównej kartoteki. Tam poprosił o materiały dotyczące antyradzieckich operacji wywiadu niemieckiego od 1940, kiedy Hitler przygotowywał się do ataku na Rosję, aż do lipca 1955.

Po wojnie wywiad niemiecki specjalizował się w działaniach przeciwko Związkowi Radzieckiemu. I właśnie wówczas został w całości - łącznie z prawie nienaruszoną dokumentacją z okresu wojny - przejęty przez USA. Początkowo pieczę nad nim objął wywiad wojskowy, a następnie, w czerwcu 1949 - CIA która finansowała i kontrolowała całość przedsięwzięcia aż do lipca 1955. Wtedy to, w dwa miesiące po uzyskaniu niepodległości przez RFN, wywiad niemiecki ponownie stał się instytucją niezależną od Amerykanów, gdyż pod nazwą Bundesnachrichtendienst, czyli BND, został oficjalną służbą wywiadowczą rządu federalnego w Bonn.

Cała historia okresu II wojny światowej i pierwszego dziesięciolecia po jej zakończeniu była w kartotekach CIA; dzienne raporty z działalności wywiadowczej, pseudonimy i nazwiska agentów oraz nadzorujących ich pracę oficerów. Wszystkie te dane Strang otrzymał w postaci wydruku z komputera. Przebiegł wzrokiem po długiej liście szukając tylko jednego nazwiska.

* * *

Planując operację „Barbarossa” - inwazję na ZSRR - Hitler i jego generałowie opierali swoją strategię na ocenie siły militarnej przeciwnika. Dane na ten temat nadchodziły głównie z wywiadu Sztabu Generalnego Sił Lądowych, jednostki zwanej Armie Obce „Wschód”, utworzonej u schyłku 1938 roku.

Pod koniec 1941 kiedy wojska niemieckie już od sześciu miesięcy przebywały na terenach radzieckich, generałowie przekonali się, że całość kampanii nie przebiega tak, jak tego oczekiwali. Postęp był wolniejszy niż zakładano. Przyczyna tkwiła w niedokładnych meldunkach wywiadowczych.

Generał Franz Haider, szef sztabu armii niemieckiej, podjął działania skierowane przeciwko oddziałowi Armie Obce „Wschód”. Z końcem marca 1942 zdymisjonował dotychczasowego dowódcę tej jednostki i mianował w jego miejsce podpułkownika Reiharda Gehlena.

Gehlen od razu zreorganizował i rozszerzył podległą mu sekcję. Z całej armii ściągnął oficerów znających problematykę radziecką, budując młody i energiczny zespół. Centrala mieściła się w lasach na południowy-zachód od Angerburga w Prusach Wschodnich.

Gehlen współpracował z Abwehrą, a szczególnie z komórką kierowaną przez majora Lansdorffa, który kontrolował agentów zrzuconych na spadochronach za linią frontu radzieckiego. Wielu z nich było rosyjskimi jeńcami, którzy zgodzili się pracować dla Niemców.

Wiosną 1943 Lansdorff, działający z bazy w Winnicy na Ukrainie, został przeniesiony z Abwehry do Oddziału Armie Obce „Wschód” razem z podlegającym mu personelem. Kontrolował już wówczas agentów i ich grupy, którzy pracowali w radzieckich fabrykach i biurach, byli wśród partyzantów ukrywających się w lasach, a nawet w radzieckim sztabie i moskiewskim aparacie administracyjnym partii komunistycznej.

Wkrótce po przeniesieniu Lansdorffa jego raporty zaczęły pojawiać się w kartotekach Oddziału Armie Obce „Wschód”; 4 czerwca 1943 po raz pierwszy wymieniono tam imię Michaił. W nadesłanym z Moskwy komunikacie donosił o zmianach w sztabie armii radzieckiej.

Przez cały 1943 i 1944 rok Michaił był wymieniany jako źródło informacji nadchodzących z Moskwy. Prawie w każdym tygodniu, a czasem dwa lub trzy razy na tydzień Michaił nadsyłał meldunek. Kilkakrotnie Gehlen wyrażał Lansdorffowi pisemne gratulacje, bo informacje od Michaiła były rzeczywiście najwyższej jakości. Nigdzie jednak nie było wzmianki o jego prawdziwym nazwisku. W kartotekach okresowo dokonywano poprawek: skreślano imiona agentów, którzy zerwali kontakt, gdyż zginęli lub zostali aresztowani, dodawano zaś imiona oraz prawdziwe nazwiska nowo zwerbowanych. Na listach znajdowały się pseudonimy oraz prawdziwe nazwiska. Na każdej aktualizowanej liście Michaił pojawiał się jedynie pod pseudonimem.

Od 31 stycznia 1943 - wielkiej klęski Niemców pod Stalingradem - oficerowie Oddziału Armie Obce „Wschód” zrozumieli, że Wehrmacht nie zdoła powstrzymać naporu Armii Radzieckiej. Wysyłane przez nich do sztabu meldunki, niemal zawsze oddające prawdziwy obraz sytuacji, były coraz bardziej pesymistyczne. A Hitler coraz bardziej się niecierpliwił czytając te raporty i wyładowywał swoją złość na Gehlenie.

W końcu marca 1945, gdy armia radziecka już od dwóch miesięcy przebywała na terytorium Niemiec, awansowany na generała majora Gehlen przygotował raport, w którym stwierdzał, że wielkie siły pod dowództwem marszałków Żukowa i Koniewa przygotowują się do szturm na Berlin. Generał zabrał raport na naradę u Hitlera, który wrzeszcząc i uderzając pięścią w stół powiedział, że nie będzie tolerował takich meldunków.

Od wielu miesięcy Gehlen snuł własne plany. Wiosną 1942 zaczął badać siłę militarną armii amerykańskiej i doszedł do wniosku, że Niemcy nie dadzą jej rady. Był również przekonany, iż po wojnie Zachód będzie potrzebował Niemiec jako sojusznika przeciwko ZSRR.

Powiedział to wszystko Lansdorffowi, wówczas będącego w stopniu pułkownika, proponując przeniesienie centrali Oddziału oraz kopii wszystkich posiadanych dokumentów z Zossen - dwadzieścia kilometrów na południe od Berlina - bardziej na południowy zachód, w kierunku zbliżającej się armii amerykańskiej.

Gehlen, szczupły mężczyzna o rzadkich, zaczesanych do tyłu włosach, powiedział:

- Musimy skopiować na mikrofilmach wszystko, co mamy i oddać się w ręce Amerykanów.

- Jesteśmy pod obserwacją SS - odparł Lansdorff. - Ci dranie mają swoich ludzi wszędzie. Gdyby domyślili się, jakie mamy plany, wpadliby tutaj i zastrzelili nas siedzących za biurkiem.

- SS mamy z głowy. Powiedziałem im, że musimy przygotować się na ewentualność okupacji Niemiec przez nieprzyjaciela, a w takim razie służba wywiadowcza będzie zmuszona kontynuować działalność w podziemiu. - Gehlen uśmiechnął się. - Wyjaśniłem im, jak istotne jest dla nas posiadanie kopii wszystkich materiałów na mikrofilmach, aby mieć możliwość funkcjonowania w przypadku zniszczenia oryginałów.

- To potężne zadanie. Zabierze mnóstwo czasu.

- Tak, ale postaramy się go skrócić do minimum. Ci przekłęci Sowieci nie będą czekać.

Na początku kwietnia praca była skończona i duplikaty dokumentów przygotowano do transportu. W pięćdziesięciu stalowych skrzyniach schowano wszystko: mikrofilmy raportów, fotografii z powietrza, bibliograficzny spis wszystkich dowódców w Rosji. Był wśród nich Michaił, ciągle przekazujący informacje Lansdorffowi.

9 kwietnia Hitler pozbawił Gehlena dowództwa nad Oddziałem Armie Obce „Wschód”, nie mogąc się pogodzić z jego alarmująco pesymistycznymi meldunkami. Nowym szefem został jeden z oficerów Gehlena i przygotowania jednostki do przeprowadzki na

zachód były kontynuowane. Godzina wybiła 19 kwietnia. Berlin był już prawie zupełnie okrążony przez Armię Czerwoną. Oddział Armie Obce „Wschód” wraz z załadowanymi na ciężarówki stalowymi skrzyniami opuścił kwaterę w Maybach koło Zossen i ruszył do Bawarii, dokąd zbliżała się armia amerykańska.

Lansdorff jechał samochodem terenowym na czele konwoju ciężarówek. Plan był taki, że Gehlen dołączy do nich w Bawarii i ponownie przejmie dowództwo, jednak Lansdorff był pełen wątpliwości czy do tego dojdzie, gdyż generał opuścił Zossen już dwanaście dni temu, a drogi na południu Niemiec były obiektem ataków powietrznych przeciwnika. Cokolwiek poruszało się po nich, stawało się celem dla bomb. Taka przygoda mogła spotkać i Gehlena. Jeśli tak by się stało Lansdorff dysponowałby materiałami wywiadowczymi o bezcennej wartości dla Amerykanów. Zawsze uważał, że jest lepszym oficerem wywiadu niż Gehlen, który posiadał głównie talent do wprawiania w podziw swoich zwierzchników. Lansdorff był przekonany, że był lepszy, i że Amerykanie na pewno właściwie go ocenią, o ile nie będzie tam Gehlena, który ściągnie na siebie całą ich uwagę.

Jechali właśnie przez zalesione obszary Dolnej Bawarii, gdy Lansdorff dojrzał przed sobą stojący na poboczu drogi samochód Gehlena. Obok stał sam generał z dwoma oficerami. Lansdorff dał kierowcom ciężarówek sygnał do zatrzymania się, wysiadł i zasalutował z uśmiechem.

- Jak dobrze pana znowu widzieć, panie generale.

- I wzajemnie, Lansdorff. Były jakieś problemy?

- Nie. - Lansdorff wskazał głową ciężarówki. - Mamy wszystko.

- Doskonała robota, pułkowniku. - Gehlen wsiadł do swojego auta. - Jedźcie za mną.

Ukryjemy siebie i mikrofilmy, aż nadejdzie właściwy moment na ujawnienie się i porozumienie z Amerykanami.

Wjechali w Alpy Bawarskie, na południe od Monachium, w pobliżu Valepp zakopali wszystkie pięćdziesiąt skrzyń, po czym Gehlen, Lansdorff i sześciu innych oficerów wspięli się po zalesionym zboczu do górskiej polany, na której stał samotny szałas. Postanowili zostać tam do czasu, aż upewnią się, że teren jest pod kontrolą amerykańską, a nie radziecką, i że tak pozostanie również po kapitulacji Niemiec. Nie mieli wątpliwości, iż koniec wojny jest już bliski.

Następnego ranka po przybyciu Lansdorff wyszedł na zewnątrz i rozpoczął swoją codzienną gimnastykę. Robił to od wielu lat, nawet w okresach największego obciążenia obowiązkami, które narzuciła wojna. Ćwiczył każdego dnia przez dziewięćdziesiąt minut, w tym pół godziny samego biegu.

Na zalanej słońcem trawie przed szałasem rozpoczął serię pompek, gdy usłyszał:

- Pułkownika Lansdorff!

Doliczył już do pięćdziesięciu dwóch i podtrzymując ciało na wyprostowanych ramionach spojrzał przez ramię. W drzwiach szałasów stał Gehlen. Lansdorff skoczył na baczność. Jego szeroka, potężna klatka piersiowa nie poruszała się: pompki nawet nie przyspieszyły mu oddechu.

- Na rozkaz, panie generale.

- Co też pan, na miłość boską, wyprawia?

- Ćwiczę, panie generale.

- Człowieku, niech pan natychmiast wraca do środka! - Gehlen cofnął się. Jego twarz i sztywna sylwetka wyrażały zdenerwowanie i złość.

Lansdorff przeszedł obok niego i znalazł się w ciemnym wnętrzu. Było tam tylko jedno pomieszczenie, w którym przyrządzali posiłki, jedli, spali. Pozostali oficerowie stali w drugim końcu szałasów, próbując odizolować się od nadchodzącej awantury.

- Czy pan w ogóle nie myśli, pułkowniku? - Gehlen zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. - Czy przyszło panu do głowy, że pokazując się na zewnątrz naraża pan nas wszystkich? Przecież tu mogą już być amerykańskie patrole. - Wskazał ręką na okno, za którym widniały sosny, rosnące na otaczających ich zboczach. - Wyjdziemy z ukrycia dopiero wtedy, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, gdy będziemy pewni, że taka chwila nadeszła. Nie chcemy dostać się do niewoli i być oddani w ręce Rosjan. Całą akcję planowaliśmy od wielu miesięcy, a pan ryzykuje wszystkim, żeby - wskazał obnażoną pierś Lansdorffa - wyrobić sobie piękne mięśnie.

- Muszę zaprotestować, panie generale. To zupełnie niepotrzebny, personalny przytyk.

- Przyjmuję pański protest do wiadomości, Lansdorff, i zakazuję panu pokazywania się na zewnątrz. Do czasu ujawnienia się pozostajemy w ukryciu. Zrozumiał pan?

- Tak jest, panie generale! - Lansdorff strzelił obcasami. Od tamtej chwili byli świadomi powstałego między nimi napięcia. Przez wszystkie spędzone razem lata Lansdorff nigdy nie okazał Gehlenowi, jak bardzo irytowało go zwierzchnictwo człowieka, którego zawodowo uważał za gorszego od siebie. Teraz, gdy przebywali w górach, nie mógł już dłużej ukrywać wrogości.

Zaczęły do nich docierać wiadomości, że Amerykanie zajęli całą okolicę i posuwają się dalej na wschód. Jednak Gehlen kazał czekać, aż okupant umocni się na zdobytych terenach. Nie chciał poddawać się pierwszemu napotkanemu oddziałowi, który mógł ich

odstawić do obozu jenieckiego. Chciał oddać się w ręce jakiegoś generała, który pojąłby, ile są warci.

Pod koniec pierwszego tygodnia czerwca, miesiąc po kapitulacji Niemiec, Gehlen orzekł, że armia amerykańska miała cały teren pod swoją wyłączną kontrolą. Wieczorem wszyscy zdjęli z mundurów oznaki stopni wojskowych i sztabowe lampasy. Rano zeszli z gór i oddali się w ręce Amerykanów.

W towarzystwie żandarmów odwieziono ich jeepami do Miesbach i zaprowadzono przed oblicze kapitana dowodzącego jednostką kontrwywiadu. Stał szeregami naprzeciwko drewnianego stołu, którego kapitan używał jako biurka.

- Jestem dowódcą Oddziału Armie Obce „Wschód” w Niemieckim Sztabie Generalnym - odezwał się Gehlen. - Pan nim był, generale - odparł kapitan. Amerykański Ośrodek Kontrwywiadu intensywnie poszukiwał zbrodniarzy wojennych i byłych liderów hitlerowskich. Kapitan podejrzewał w związku z tym każdego pojmanego Niemca.

- Posiadam do przekazania waszemu rządowi niezwykle ważne informacje.

- Wszyscy tak mówią.

Lansdorff widział, że Gehlenowi nie uda się przekonać Amerykanina, gdyż generał nie był przyzwyczajony do kwestionowania jego własnych słów. Nie miał doświadczeń z nikim pokroju tego kapitana, który nigdy o nim nie słyszał i na którym jego słowa nie robiły żadnego wrażenia.

- Panie kapitanie, to jest generał Reinhard Gehlen - wtrącił się Lansdorff - a my jesteśmy podległymi mu oficerami. Naprawdę zależy nam, żeby zabrał pan nas do wyższego dowódcy, któremu moglibyśmy wyjaśnić, jaką przedstawiamy wartość dla waszego kraju.

Kapitan przyjrzał się mu przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na sierżanta, siedzącego przy drugim stole.

- Sierżancie, spiszcie personalia tych ludzi i dopilnujcie, aby odstawiono ich do Salzburga.

- Tak jest, sir. - Sierżant kiwnął ręką na Gehlena i towarzyszących mu oficerów. - Podejdźcie tutaj.

Ustawili się rzędem za Gehlenem i po kolei odpowiadali na pytania sierżanta. Następnie pod eskortą żandarmów zajęli miejsca w jeepach, którymi wyruszono do obozu jenieckiego w Salzburgu. Lansdorff nie patrzył na siedzącego obok Gehlena. Był oburzony nieporadnością swojego dowódcy i chciał mu to okazać.

Jednakże oficerowie kontrwywiadu amerykańskiego poszukiwali już Gehlena i jego podwładnych z Oddziału Armie Obce „Wschód”.

Szukali ich od trzeciego tygodnia maja, po tym, jak otrzymali sygnały, że dopytują się o nich Rosjanie. Sprawdzano wówczas obozy jenieckie pełne żołnierzy niemieckich, sprawdzano miliony cywilnych uciekinierów w miastach i na wsi. Jednym z celów obławy było wykrycie zbrodniarzy wojennych, którzy pozbywszy się mundurów próbowali uniknąć rozpoznania.

Wywiad odnalazł Gehlena dopiero w połowie lipca. Przebywał wtedy w obozie jenieckim w Oberursel, pośród gór Taunus na północ od Frankfurtu, dokąd przeniesiono go z Salzburga. Wreszcie udało mu się dostać do wysokiego rangą dowódcy - generała brygady Edwina Siberta, szefa wywiadu wojskowego w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Po kilkudniowych rozmowach Gehlen wziął udział w odkopaniu ukrytych w Alpach Bawarskich skrzyń z mikrofilmami. Lansdorff i pozostali oficerowie Oddziału Armie Obce „Wschód” także zostali odnalezieni w różnych obozach. Zebrano ich razem i polecono odtworzenie posiadanych przez nich kartotek dotyczących Armii Czerwonej.

W sierpniu przewieziono ich do Waszyngtonu, gdzie przez dziesięć miesięcy konferowali z oficerami wywiadu w Departamencie Wojny na temat utworzenia niemieckiej służby wywiadowczej, która byłaby finansowana przez amerykański wywiad wojskowy.

Na początku lipca 1946 wrócili do Niemiec i założyli swoją komórkę przy amerykańskim sztabie w Oberursel. Z pomocą oficerów łącznikowych armii USA rozpoczęli odbudowę swojej antyradzieckiej grupy wywiadowczej. Stała się ona znana pod nazwą „Organizacji Gehlena”.

W kilka dni po przybyciu do Oberursel Gehlen wezwał Lansdorffa do swojego biura. Od czasu tamtej kłótni w górskim szałasie stosunki między nimi znacznie się ochłodziły. Mimo to Gehlen uśmiechał się. Nieufny Lansdorff wzmógł czujność.

- Stoimy u progu nowej, wspólnej kariery, pułkowniku - zaczął Gehlen. - Zapewniam pana, że bardzo wysoko oceniani pańskie umiejętności zawodowe, profesjonalizm, z jakim potrafi pan zdobywać informacje. Ja jestem ekspertem w ocenie wartości meldunków, brakuje mi jednak pańskich talentów. Organizacja potrzebuje więc i pana i mnie. Wierzę, że możemy pracować razem. Co pan o tym myśli?

- Zgadza się z panem. - „Na razie”, dodał w myślach. Gehlen z pewnością potrzebował go, inaczej nie zaczynałby tej rozmowy od deklaracji przyjaźni. Ale czy z kolei Gehlen był niezbędny jemu? Sam potrafiłby pokierować organizacją dla Amerykanów i nie zrobiłby tego gorzej niż Gehlen.

- Konieczne jest odbudowanie naszych źródeł informacji. Gdzie proponuje pan zacząć, pułkowniku?

- Chciałbym odnowić kontakt ze wszystkimi agentami z okresu wojny, których mieliśmy w Związku Radzieckim.

- Uważa pan to za możliwe?

- Na pewno nie uda nam się dotrzeć do wszystkich, ale chociaż w kilku, a może więcej przypadkach powinno się udać.

- Niech się pan zabiera do dzieła - przytaknął Gehlen. - Proszę odszukać wszystkich swoich dawnych współpracowników i powiedzieć im, że będą nam potrzebni.

Organizacja Gehlena spędziła wiele miesięcy na poszukiwaniach byłych członków Oddziału Armie Obce „Wschód” w obozach jenieckich na terenie zachodnich stref okupacyjnych. Załatwiano im zwolnienia i przydzielano nowe zadania. W styczniu 1947 Lansdorff był gotów. Jego radiowcy rozpoczęli nadawanie sygnału przywołującego dawnych agentów w ZSRR. Użyto starych częstotliwości i czasów nadawania z nadzieją, że szpiedzy ciągle prowadzą nasłuch.

Niewielu z nich odpowiedziało, ale był wśród nich Michał, który odezwał się natychmiast.

Przez dwa tygodnie Lansdorff wysyłał pytania sprawdzające autentyczność kontaktu i studiował odpowiedzi, aż nabrał pewności, że to był rzeczywiście Michał, a nie radziecki operator radiowy, próbujący ich oszukać. Powiadomił wówczas Gehlena o nawiązaniu łączności.

- Doskonale, pułkowniku! Ten jeden agent wart jest stu innych.

- Chciałbym wiedzieć, kto to taki - odrzekł Lansdorff.

- Najważniejsze, że informacje od niego są godne zaufania i zawsze niezwykle istotne.

W lecie 1947 Rosjanie zaczęli odsyłać do ojczyzny niemieckich jeńców i Gehlen wysłał swoich ludzi do ośrodków repatriacyjnych w Niemczech, aby przesłuchiwali powracających i wydobywali z nich wszelkie informacje. Trzy miliony Niemców pracowało niewolniczo na terenie Związku Radzieckiego: w rolnictwie, przemyśle, w każdej gałęzi gospodarki. Ich opowieści znacznie wzbogaciły zasoby danych Gehlena. Jednym z repatriantów był kapitan Otto Rauss, który opowiedział o przesłuchaniach w GRU i o wyjawieniu Rosjanom faktu istnienia Michała - agenta Rudolfa Hessa.

Raport z odbytej z Raussem rozmowy trafił do Lansdorffa i wprawił go w osłupienie. Natychmiast udał się do Gehlena.

- Czy wiedział pan o tym, że to właśnie Hess zwerbował Michała? - spytał generał.

- Ależ skąd. Nie miałem o tym pojęcia.

- A w jaki sposób znalazł się on pod pańską kontrolą?

- Przejąłem go od gestapo.

- Co takiego? - Gehlen wyprostował się na swoim krześle.

- To było we wczesnym okresie kampanii rosyjskiej, gdy pracowałem jeszcze dla Abwehry. Jakoś w lipcu czy sierpniu czterdziestego pierwszego zjawił się u mnie oficer gestapo z poleceniem nawiązania kontaktu z Michailem. Podał mi czasy i terminy nawiązywania łączności, częstotliwości oraz książkę szyfrową.

- I to wszystko? Gestapo nie poinformowało pana, że Michał był agentem Hessa?

- Nie, a ja, oczywiście, o nic nie pytałem.

Gehlen wziął do ręki protokół z przesłuchania byłego adiutanta Hessa.

- Pan w to wierzy, Lansdorff? Czy to możliwe, żeby sam Hess zwerbował Michała?

- Chyba tak. Gestapo zgłosiło się do mnie z tą sprawą jakieś dwa, trzy miesiące po eskapadzie Hessa do Anglii. Mieli więc dość czasu, aby przesłuchać jego personel i zdobyć tę wiadomość.

- Ten Rauss pojechał już do Monachium, gdzie mieszkał przed wojną. - Gehlen odłożył na biurko raport. - Wyślę kogoś, żeby przeprowadził z nim bardziej szczegółową rozmowę.

- Jeśli może wzbogacić naszą wiedzę o Michaiile, bardzo byłbym ciekaw poznać prawdę o tym agencie.

Gehlen polecił jednemu z oficerów, aby udał się do Monachium, a ten spędził cały dzień w domu Raussa, zadając mu setki szczegółowych pytań, poszukując najdrobniejszej wskazówki mogącej wyjaśnić, kim naprawdę jest Michał. Ale Rauss nie wiedział nic ponad to, co zeznał już wcześniej.

Kilka dni później Gehlen i Lansdorff czytali razem zapis tej rozmowy w gabinecie generała.

- Wynika z tego, że jedyną osobą, która zna Michała jest Hess - powiedział Lansdorff.

- A on od dwóch tygodni siedzi w Spandau i prawdopodobnie spędzi tam resztę życia pod strażą Rosjan.

- Nie jestem pewien, czy powinien pan kontynuować współpracę z Michailem. - W głosie Gehlena zabrzmiał niepokój.

- Nie rozumiem.

- To chyba zrozumiałe, pułkowniku - odparł Gehlen zniecierpliwiony koniecznością wyjaśniania tak oczywistych rzeczy. - Zarówno Waszyngton, jak i tutejsi dowódcy amerykańscy krytykują mnie za wciąganie do naszej organizacji byłych nazistów. Co będzie, gdy dowiedzą się, że jeden z naszych najważniejszych agentów został pierwotnie

zwerbowany przez skazanego za zbrodnie wojenne Rudolfa Hessa? Amerykanie są wciąż bardzo podejrzliwi, pan zresztą o tym wie. Potrzebują nas do wykonywania dla nich roboty wywiadowczej przeciwko Sowietaom, ale są dalecy od ufania nam.

- Michaił to fantastyczne źródło informacji. Tylko to powinno nas obchodzić. - Lansdorff pomyślał, że właśnie tego można się było spodziewać po Gehlenie: myślał o komplikacjach politycznych, podczas gdy powinni się koncentrować na działalności wywiadowczej. - To chyba nie ma znaczenia, w jaki sposób zaczął z nami współpracować.

Gehlen nie odezwał się, ale jego oblicze wyrażało niezadowolenie.

- Czy mam zerwać z nim kontakt? - spytał Lansdorff. Wiedział, że Gehlen by na to nie poszedł. Nie mogli sobie pozwolić na utratę Michaiła.

- Nie, nie. - Gehlen niecierpliwie pokręcił głową. - Niech pan go dalej wykorzystuje.

Lansdorff podtrzymywał łączność z Michaiłem i meldunki z Moskwy nadchodziły po jednym, dwa każdego tygodnia. W czerwcu 1949 „Organizacja Gehlena” została wyjęta spod kontroli wywiadu wojskowego i stała się instytucją podlegającą CIA i przez nią też była finansowana. A jednak nic się nie zmieniło - informacje od Michaiła napływały tak, jak dawniej, i wciąż były najwyższej jakości. Był on najcenniejszym agentem pracującym dla CIA na terenie ZSRR.

Tak było do 10 marca 1952, kiedy radiooperator Lansdorffa o oznaczonej porze czekał na kolejny meldunek od Michaiła, ale w eterze trwała martwa cisza. Lansdorff polecił nadać sygnał wywoławczy, ale i tym razem nie było odpowiedzi. Lansdorff zameldował o tym Gehlenowi.

- Musiał zostać zdekonspirowany - zawyrokował generał. - Niech pan zaprzestanie nasłuchu na jego częstotliwości.

- Chciałbym jeszcze spróbować. - Lansdorff pomyślał, że milczenie Michaiła musiało przynieść Gehlenowi pewną ulgę. Nawet teraz, po pięciu latach, samo wspomnienie o Hessie napawało Gehlena niepokojem. - Może jego nadajnik uległ uszkodzeniu. Albo miał jakiś wypadek. Dajmy mu szansę.

- No dobrze. - Gehlen zgodził się niechętnie. - Proszę mnie na bieżąco informować.

Radiooperator Lansdorfa przez dwa miesiące próbował nawiązać kontakt z Michaiłem, po czym Gehlen nakazał zamknięcie sprawy i uważanie agenta za straconego.

Rozdział 22

Strang wrócił do Europy samolotem Lufthansy, który wylądował we Frankfurcie kilka minut po ósmej rano. Czekając na lot do Berlina, zatelefonował do mieszkania Karin Hartmann i poprosił ją o spotkanie.

- No dobrze, ale kiedy? Gdzie teraz jesteś?

- We Frankfurcie.

- A skąd się tam, na Boga, wziąłeś?

- Mam przesiadkę. Właśnie wracam z Nowego Jorku.

- Skąd?? Ależ ty masz tempo. Nawet nie wiedziałam, że wyjechałeś z Berlina. Kiedy tu będziesz?

- O dziesiątej piętnaście.

- Niedobrze. Muszę wyjść o wpół do jedenastej i nie wiem, kiedy wrócę, ale chyba dość późno.

- Cholera. - Mieszkała w dzielnicy Tiergarten, kilka kilometrów od lotniska. Niemożliwe, żeby zdążył.

- Czy jedziesz z lotniska prosto do domu?

- Tak.

- W takim razie przyjadę i podwiozę cię. Udaję się niedaleko miejsca, gdzie mieszkasz. Porozmawiamy w samochodzie. Czy to cię urządza, Philipie?

- Zupełnie. Przylatuję Pan Am'em.

- A więc kwadrans po dziesiątej.

- Tak jest. - Ciekaw był jej reakcji na to, co miał jej do powiedzenia.

Gdy wylądował na lotnisku Tagel, nie było jej jeszcze w hali terminalu, ale kiedy wyszedł na zewnątrz pędziła już od strony parkingu. Jej blond włosy unosiły się i opadały w rytmie jej kroków, jaśniejąc w słońcu. Miała na sobie jasnoniebieską garsonkę z jeansu i poły rozpiętego zakietu trzepotały, gdy biegła. Pomyślał, że chętnie towarzyszyłby jej, dokądkolwiek dzisiaj szła.

- Przepraszam. - Stała i dysząc uśmiechnęła się do niego. - Myślałam, że jest wcześniej. Długo czekasz?

- Właśnie przyleciałem.

- To dobrze. Chodźmy do samochodu.

Gdy podeszli bliżej, zobaczył jej błękitnego porsche.

- Jadę spotkać się z kimś znajomym. - Usiadła za kierownicą na nisko umieszczonym fotelu. - Jedziemy na piknik do Grunewaldu.

- Szczęściar z tego znajomego. - Wyprowadziła pojazd tyłem z miejsca postojowego.

- Raczej z tej znajomej. - Uśmiechnął się.

- Dlaczego wyjechałeś do Nowego Jorku w takim pośpiechu? Przepraszam. To przecież niedyskretne pytanie.

- Dostaniesz na nie dyskretną odpowiedź. Byłem tam, aby z kimś porozmawiać. - Nie czuł się najlepiej z tego powodu, ale musiał jej powiedzieć o Rossie.

- Rozumiem. - Skręciła na główną drogę z lotniska w kierunku południowym i włączyła się do ruchu.

Widział, że odgadła, kogo odwiedził w Nowym Jorku.

- Posłuchaj, Karin. Ross nie żyje.

Spojrzała na niego z wysoko uniesionymi brwiami. Usta miała mocno zaciśnięte. Po chwili z powrotem przeniosła wzrok na drogę.

Strang obserwował ją bez słowa. Czekał, aż wieść dotrze od jej świadomości.

- Jak to się stało, Phil?

- Ktoś zastrzelił go w jego własnym biurze.

- Boże! Ale dlaczego?

- Nie wiem. Chyba ktoś chciał czegoś od niego.

- Rabunek?

- Raczej nie. Był torturowany i...

- Torturowany?

- Ktoś próbował zmusić go do mówienia, i zdaje się, że uzyskał pożądany skutek.

- Co to mogło być, Philipie?

- Nie wiem. - Wolał nie mówić jej o tym, czego był pewien. W ogóle nie chciał, aby dowiedziała się o Rossie, ale przecież nie mógł utrzymywać jej w niewiedzy.

- To musiał być rabunek.

- Nie, Karin. Z jego biura nic nie zginęło. Myślę, że ktoś chciał się od niego czegoś dowiedzieć o tej kopercie Hessa.

Gwałtownie odwróciła do niego głowę, odgarniając dłonią włosy z oczu.

- A co Joe mógł wiedzieć na ten temat?

- Był zwolennikiem i współpracownikiem nacjonalistów.

- Joe? Bzdura. - Potrząsnęła głową. - To niemożliwe.

- Rozmawiałem z jego ojcem, który mi o tym powiedział. Ojciec nazywa się Rauss. Czy wiedziałaś, że Joe zmienił nazwisko?

Patrząc przed siebie powoli pokręciła głową. Nie dawała wiary jego słowom.

- To prawda, Karin. Jego ojciec wyemigrował do Stanów w czterdziestym ósmym. Czy Ross mówił ci, że ojciec był kiedyś adiutantem Hessa?

- Nie! - Aż podskoczyła. - Na Boga, nie!

- Oboje bardzo interesowaliście się Hessem. Nie sądzisz, że mógł ci o tym wspomnieć? O ile, oczywiście, nie chciał ukryć swojego niemieckiego rodowodu.

- Chyba masz rację.

- W czasie wojny jego ojciec dużo wycierpiał od gestapo. Wie, co oznacza nazizm. Dlatego zwalczał u Rossa jego przyjaźń do nacjonalistów.

Jechali szybko przelotową trasą w kierunku centrum miasta. W milczeniu patrzyła na jadącego przed nimi volkswagena i co raz zerknęła we wsteczne lusterko czekając na odpowiedni moment do wyprzedzania. Przycisnęła mocniej pedał gazu. Samochód skoczył do przodu i wyprzedziwszy volkswagena powrócił na poprzedni pas ruchu. Zwolniła.

- Nie mogę uwierzyć w to o Joe - odezwała się. - Po prostu nie mogę.

- Czy dużo ci pomógł przy apelacji Hessa?

- Bardzo. Krążył po Ameryce z petycją, którą podpisało wielu wpływowych ludzi.

- Czy to był jego pomysł?

- Chodzi ci o apelację?

- Tak. - Nie było innej możliwości. To Ross, poplecznik nacjonalistów, musiał ją namówić.

- Rzeczywiście, idea wyszła od niego. Jesienią zeszłego roku napisał do mnie list z propozycją wniesienia apelacji. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie.

Zerknęła na niego szybko i znowu przeniosła wzrok na drogę. Jechali przez Zehlendorf. Do mieszkania Stranga było już niedaleko.

- Myślisz, że to wszystko było wcześniej zaplanowane, prawda? - spytała. - Myślisz, że nacjonaści wykorzystali Joe, aby mnie namówił do wszczęcia postępowania odwoławczego. I mieli w tym ukryte własne cele polityczne.

- Jestem tego pewien. A gdy nie było rezultatu, wynajęli kogoś, żeby zabił Hessa.

- Może masz rację - powiedziała cicho.

- Nawet na pewno. Prawdopodobnie Ross pomógł im wykraść tę kopertę.

- Ale w jaki sposób?

- Powiedział im, że ją masz. Wtedy na lotnisku wcale nie dzwonił do „Ambasadora”. Sprawdziliśmy. Nie było od niego telefonu i nie zostawił w hotelu pantofli.

Zatrzymali się przed blokiem, w którym mieszkał. Wyłączywszy silnik odwróciła się w jego stronę.

- Dużo ostatnio pracowałeś.

- Było wiele do zrobienia.

- Naprawdę uważasz, że Joe zginął z powodu koperty?

- Tak. Te wydarzenia nieprzypadkowo zbiegły się w czasie. Najpierw koperta zostaje skradziona, a zaraz potem on jest ofiarą morderstwa.

- No, ale jeżeli nacjonaści dokonali kradzieży z jego pomocą, dlaczego miałby zginąć?

- Tego nie wiem. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Czy na pewno nie widział zawartości koperty?

- Oczywiście, że nie! Przecież już ci mówiłam! Nie otwierałam jej.

- Wiem. - Otworzył drzwi. - Miłego pikniku.

- Już mi się go odechciało. - Włączyła silnik. - Ale jechać muszę.

- Zadzwoń, jeśli dowiem się o czymś, co może cię zainteresować.

- Dziękuję, Philipie. Oby to były dobre wieści.

- Postaram się. - Wysiadł.

Ruszając pomachała mu jeszcze ręką, a on stał i patrzył jak porsche szybko oddala się w głąb ulicy. Zadała bardzo dobre pytanie; gdyby tylko mógł na nie odpowiedzieć. Nie ulegało wątpliwości, że Ross pomógł nacjonalistom zdobyć kopertę, Dlaczego więc go zabili i torturowali? Czy ukrywał coś przed nimi? A może przed kimś innym? Może ktoś inny torturami wymusił na nim wyjawienie czegoś o kopercie Hessa? A więc kto jeszcze wiedział o jej istnieniu?

Rozdział 23

Dom był z czerwonej cegły, położony w dużym ogrodzie i stał przy jednej z ulic zamożnej dzielnicy na skraju Grunewaldu. Wysiadłszy z taksówki Strang ruszył wybetonowaną ścieżką, która wiodła od chodnika do drzwi wejściowych domu. Zadzwoił.

Drzwi otworzyła kobieta.

- Ja? - Była wysoka, miała około trzydziestu pięciu lat i nosiła beżową, obcisłą sukienkę z dzianego jedwabiu.

- Chciałbym się zobaczyć z pułkownikiem Goodbloodem. - Nic nie wiedział o jego prywatnym życiu: czy to była gosposia, żona, a może przyjaciółka. Miała jednak klasę.

- Czy on pana oczekuje?

- Dzwoniłem dwadzieścia minut temu.

- Pan nazywa się...?

- Strang. - Kimkolwiek była, Goodblood nauczył ją, jak postępować z obcymi, którzy pukają do drzwi. To było w jego stylu.

- Ach, tak! - Uśmiechnęła się przyjaźnie. - Proszę wejść, panie Strang. Mąż czeka na pana. - Wszedł do hallu, a ona zamknęła drzwi. - Jest w ogrodzie. Proszę za mną.

Idąc za nią przez hall patrzył na jej fantastyczną figurę. Obecność takiej osoby w domu Goodblooda zupełnie go zaskoczyła. Kto by pomyślał - stary Goodblood.

Za domem znajdował się obszerny trawnik otoczony ze wszystkich stron krzakami róży. Dalej widniały już wierzchołki drzew Grunewaldu. Goodblood szedł w kierunku domu od drugiej strony ogrodu. Był w jasnych spodniach i rozpiętej pod szyją czerwonej koszuli z krótkimi rękawami. Trzymał się bardzo prosto, jakby wciąż miał na sobie mundur. Jak zwykle nosił swoje okulary w drucianej oprawie.

Jego żona poprowadziła Stranga przez trawnik.

- Walterze, jest do ciebie pan Strang.

- Jak się pan miewa? - Goodblood patrzył na niego zaintrygowany.

- Dziękuję, dobrze. Przepraszam, że zawracam panu głowę w niedzielne popołudnie.

- Nie ma sprawy. - Goodblood machnął bagatelizująco ręką. - Dzień jak każdy inny.

Ta dama jest moją żoną. Gurdun, to jest pan Strang z naszej misji.

Mocno ścisnęła jego dłoń. Była wyższa od Goodblooda o ponad pół głowy, w ogóle większa od niego.

- Może porozmawiamy tutaj? - spytał Goodblood. - Złapiemy przy okazji trochę słońca.

- Bardzo chętnie.

- Pozwolisz, że omówimy z panem Strangiem sprawy służbowe, kochanie?

- Oczywiście. Miło było pana poznać, panie Strang. - Odwróciła się i wróciła do domu.

Spacerując tam i z powrotem po trawniku Strang opowiedział, co przydarzyło się Rossowi, o jego pronazistowskich sympatiach i roli, jaką odegrał przy apelacji Hessa.

- Niech mnie diabli - mruknął Goodblood. - Więc to wszystko było ukartowane przez nacjonalistów?

- Tak.

- A więc mają związek z próbą zamordowania Hessa. Chcieli, żeby opuścił więzienie, żywy lub umarły, czy tak?

- Nie mam co do tego wątpliwości, panie pułkowniku.

Goodblood potarł oko, wsadzając palec pod okulary.

- Muszą być zdesperowanymi skurczybykami, żeby zrobić to wszystko. Zamknęli nawet usta Lichtiemu. Ciekawe, czy uważają, że ich sprawa jest tego warta.

- Jeśli doprowadziliby do konfrontacji między nami i Moskwą o Spandau, uznaliby to za warcie wszystkich popełnionych czynów.

- Pewnie tak. Przecież to szaleńcy.

- Czy jest coś nowego w sprawie zabójstwa Lichtiego?

- Zupełnie nic - odparł Goodblood. - Teraz jednak postaram się, żeby policja cywilna przyjrzała się bliżej niektórym liderom Partii Narodowej. Chcę wiedzieć, który z nich miał kontakty z Rossem. Wtedy może uda się ustalić, kto jest w spisku. A potem dojdziemy jakoś po nitce do kłębka.

- Policja cywilna niechętnie wykona to zadanie, panie pułkowniku. Partia Narodowa jest przecież legalną organizacją polityczną.

Goodblood stanął i przyjrzał się jednemu z krzaków róży. - Robota będzie delikatna, ale, do licha, morderstwo i jego usiłowania są dalekie od legalności. Musimy wiedzieć, czy oni za tym stoją. Policja będzie zmuszona zająć się nimi. - Spojrzał na zegarek. - Pojadę chyba do misji i załatwię tę sprawę.

- Jest coś jeszcze. - Strang wolał nie mówić zbyt dużo na ten temat. Przynajmniej na razie. Goodblood stał i czekał.

- Ojciec Rossa opowiedział mi o operacji wywiadowczej, w którą Hess był zaangażowany w czasie wojny.

- Wywiadowczej? - Goodblood uniósł na niego wzrok - Czy to ma jakieś większe znaczenie?

- Jeszcze nie wiem, ale przyjrzę się tej historii i w razie czego dam panu znać.

Rozdział 24

Kurfurstendamm jest wielką handlową ulicą, którą berlińczycy nazywają Ku-damm. O zmroku stawała się ona szerokim pasem światła, padającego ze sklepowych wystaw, neonów,

przejeżdżających pojazdów oraz latarń, które wyginały się łukiem wysoko w górę i zalewały ulicę swoim blaskiem.

Kiedy Strang wysiadł z taksówki na rogu Ku-damm i Fasanenstrasse, na chodnikach panował popołudniowy ruch. Wielu przechodniów wyglądało na turystów - przechadzali się i często stawali przed wystawami. Strang wmieszał się w tłum idąc w kierunku okrągłych stolików ulicznej kawiarenki. Rozglądał się w poszukiwaniu Klugera i po chwili dojrzał go jak nadchodził z przeciwnej strony, o głową wyższy od otaczających go ludzi.

Przy oknie restauracji, jako ostatni w rzędzie, był wolny stolik. Strang usiadł przy nim, kładąc dłonie na obrusie w biało-czerwona kratę.

Kluger przeszedł między rzędami stolików, przyciągnął krzesło, które stało obok i zajął miejsce plecami do okna restauracji, tak, by móc obserwować sąsiednie stoliki.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego, jak na niedzielne popołudnie, Phil. Irena mówi, że zaczynasz być powodem naszych kłótni.

- Powtórz jej, że moje poczucie humoru tego nic trawi.

Podszedł kelner w czarnych, obcisłych spodniach. Ściereczką wytarł małą popielniczkę. Zamówili piwo.

Kluger patrzył jak odchodzi lawirując między stolikami.

- Czego dowiedziałeś się od Rossa?

- Niczego. - Opowiedział mu o stanie, w jakim znalazł Rossa i jego sekretarkę.

- Boże mój! - Kluger chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zobaczył podchodzącego do nich kelnera z tacą, na której stały wysokie, smukłe szklanki z piwem. Patrzył niecierpliwie, jak stawia je na kraciatym obrusie i odchodzi.

- Dlaczego był torturowany, Phil? Kto chciał go zmusić do mówienia i o czym? - Kluger uniósł szklankę i wychylił połowę jej zawartości.

- Dużo o tym myślałem, ale nie mam pojęcia. Wiem od jego ojca, z którym odbyłem długą rozmowę, że pracował dla nacjonalistów.

- Więc to do nich dzwonił z lotniska. - Oblizując wargi czubkiem języka Kluger odstawił szklankę.

- Tak. Nie ma wątpliwości, że właśnie oni posiadają kopertę.

- Co, do cholery, może w niej być?

- O tym również dużo myślałem. - Strang pociągnął piwa.

- Ojciec Rossa opowiedział mi coś jeszcze o Hessie. - Przedstawił Klugerowi fakty dotyczące Michaiła.

Kluger siedział w zamyśleniu kręcąc powoli szklanką na obrusie.

- Niech mnie diabli! Więc ludzie Gehlena korzystali z usług Michaiła przez tyle lat i nie wiedzieli, kim naprawdę był?

- Był, była albo byli.

- Fakt. Ciekaw jestem, kto to taki.

- Nie ty jeden.

Szklanka Klugera była pusta, ale podniósł ją do warg i odchylił głowę do tyłu, aby spłynęła ostatnia strużka piany.

- Chciałbym, żebyś coś zrobił, Dieter.

- O co chodzi?

- Od czasu wyjazdu Hessa do Anglików, Michaił, zawsze, był pod kontrolą tego samego człowieka, oficera o nazwisku Lansdorf. Prowadził go dla Abwehry, Oddziału Armie Obce „Wschód”, a po wojnie dla Organizacji Gehlena. Tak było do czasu, aż Michaił zerwał kontakt. Sprawdziłem już, że Lansdorff pracował w BND do sześćdziesiątego piątego, kiedy przeszedł na wczesną emeryturę. Był wówczas wicedyrektorem w stopniu generała brygady.

Kluger włożył w usta gumę. Zgnieciony papierek wrzucił do popielniczki.

- Masz na myśli Ericha Lansdorffa?

- Tak. Znasz go?

- Niezupełnie. Spotkałem go parę razy, ale wiem o nim dość dużo. Toczył z Gehlenem prawdziwą wojnę, gdyż obaj byli żądni władzy. Dlatego wcześniej odszedł. Cała afera była trzymana w tajemnicy, Gehlen okazał się sprytniejszy, był lepszym politykiem. Lansdorff to stary, egoistyczny drań. Chciał zostać szefem BND, nie mógł znieść faktu, że by podwładnym Gehlena. Wiem to od jego syna.

- Znasz młodszego Lansdorffa?

- Pewnie. Pracuje u nas, w bezpieczeństwie. Teraz jest w Hamburgu. Właśnie dzięki niemu poznałem jego ojca.

- Chciałbym spotkać się ze starym Lansdorffem i porozmawiać o Michaile.

- A ja miałbym zorganizować takie spotkanie?

- Właśnie.

- Nie powinno być z tym problemu. Mieszka pod Stuttgartem. Zadzwonię do niego do domu. Pewnie chciałbyś, żeby do spotkania doszło jak najszybciej?

- Tak.

Po tylu latach o Rudolfie Hessie wiadano już prawie wszystko. Z wyjątkiem sprawy Michaiła oraz zawartości koperty, którą zapieczętował w czterdziestym szóstym. Tak, musiał dowiedzieć się o Michaile, co tylko było można. I to szybko.

Poniedziałek 2 maja 1977

Rozdział 25

Rano Strang i Kluger polecili do Stuttgartu. Wynajętym na miejscu samochodem pojechali z lotniska na południe, pod jasno świecące słońce. Lansdorff mieszkał około trzydzieści kilometrów od miasta, w domu na wzgórzu nad rzeką Neckar.

- Nieźle się tam urządził - rzekł Kluger. - Mam tylko nadzieję, że nie zapomniałem drogi.

- Dobre sobie. Dlaczego nie sprawdziłeś jak tam dojechać, zanim wyruszyliśmy z lotniska?

- Spokojnie. Wiem, gdzie to jest, muszę sobie jedynie przypomnieć dojazd. Byłem tu tylko raz, a w dodatku prowadził jego syn. Powinienem być bardziej uważać. Dom nie rzuca się w oczy, bo Lansdorff lubi odosobnienie. Nikt w okolicy nie wie, kim jest. Zmienił nazwisko na Schmidt.

- Do licha!

Kluger wzruszył ramionami.

- On zawsze traktował swoją pracę poważnie. Może obawia się, że ktoś go poszukuje w związku z czymś, co zrobił jako podwładny Gehlena. Nie wiem, czy nie ma trochę racji. Sam się przekonasz. On ma niezły charakterek.

- Mieszka sam?

- Z córką imieniem Ingrid. To również ciekawa historia.

- Dlaczego?

Kluger, żując gumę, tajemniczo pokręcił głową.

- Od dawna mieszkają razem. On rozwiódł się z żoną dwadzieścia lat temu i od tamtej pory mieszka z Ingrid. Jego syn, Klaus, nie aprobuje tego.

- Pewnie nieźle się razem zabawiają.

- I właśnie z tym Klaus nie może się pogodzić.

- Dieter, w co my się pakujemy?

Kluger zachichotał.

- Nie powinienem był ci mówić. Wyglądają jak każda normalna para.

- Spróbuję właśnie tak o nich myśleć.

- Tylko nie daj tego po sobie poznać. Nie zwracaj się do Ingrid inaczej niż Fraulein Lansdorff.

- O Boże.

Kluger skręcił w wąską drogę, wzdłuż której rosły kasztanowce. Promienie słońca i cienie liści padały na jej powierzchnię nieregularnymi cętkami. Po prawie trzech kilometrach jazdy ujrzeni przed sobą pozbawioną drzew, nasłonecznioną przestrzeń i parę drewnianych domów o nisko schodzących, spadzistych dachach.

- Tu będzie problem - odezwał się Kluger. - Pamiętam, że na drugim końcu wioski droga rozwidła się, nie mogę sobie tylko przypomnieć, która odnoga prowadzi do Lansdorffa.

- Spytaj w wiosce.

Kluger zwolnił, rozglądając się dookoła. Z jednego z domów wyszedł mężczyzna. Był przed nimi i kierował się w tę samą, co oni, stronę. Kluger zwolnił, gdy przejeżdżali koło niego i wystawił głowę przez okno.

- Przepraszam.

Mężczyzna spojrział na niego przelotnie, nie zwalniając kroku.

- Przepraszam pana - powtórzył Kluger.

- Ja? - Idący mężczyzna na chwilę odwrócił do niego głowę. Kluger wskazał na rozwidlenie dróg między drzewami.

- Którą drogą do domu Schmidta?

- Na lewo - odpowiedział mężczyzna. Nawet nie zaszczycił go spojrzeniem

Kluger cofnął się do samochodu.

- Cholerny Szwab - mruknął. - W tej części kraju mieszkają zatwardziali szowiniści. Jeśli cię nie znają, nie możesz liczyć na ich pomoc.

- Lansdorff na pewno nie wybrał takiej lokalizacji przypadkowo.

- Jasne, że nie. Miejscowi trzymają się od niego równie daleko, jak on od nich.

Za wioską pojechali na lewo, wspinając się lekko pod górę. Kluger powoli wziął jeden stromy zakręt, potem następny, za którym ujrzeli prosty i długi na jakieś dwa kilometry odcinek. Na szczycie wzgórza, w promieniach słońca jaśniał czerwienią widoczny stamtąd fragment dachu.

- To tam - rzekł Kluger.

Zbliżając się, dostrzegł coraz więcej szczegółów domu: jasnożółte ściany, rząd okien pod czerwonymi okapami, całość spadzistego dachu.

Gdy pozostało im już tylko około pięciuset metrów, zobaczyli człowieka, stojącego przed domem. Wyłonił się nagle w chwili, kiedy dotarli na wierzchołek pagórka, przez który biegła droga. Ręce trzymał przy twarzy, łokcie odstawały mu na boki.

- To Lansdorff - odezwał się Kluger. - Drań obserwuje nas przez lornetkę i to pewnie od dobrej chwili.

Strang patrzył na Lansdorffa, który nosił jasnoróżową koszulę z krótkimi rękawami i białe szorty.

Na szczycie wzniesienia Kluger zjechał ostrożnie na trawę. Wysiedli. Lansdorff szedł im na spotkanie, a lornetka, którą miał zawieszoną na szyi, podskakiwała mu na piersi.

- Dzień dobry, panie generale. - Kluger wyciągnął rękę. - Dziękujemy, że zgodził się pan na spotkanie.

- Witam, panie Kluger. Miło pana znowu widzieć.

Kluger przedstawił Stranga, z którym Lansdorff również wymienił uścisk. Miał kanciastą dłoń i grube, silne ramię. Był mocno opalony: twarz, ramiona, widoczna pod rozpiętą do pępka koszulą pierś, gołe nogi.

- Przejdźmy na drugą stronę. - Wskazał ręką ponad dachem. - Możemy tam wygodnie posiedzieć i porozmawiać.

Obeszli pokryty sztukaterią, piętrowy dom. Wszystkie okna miały czerwone, otwarte okiennice. Z tyłu znajdowało się duże, kamienne patio, a za nim trawnik i klomby z kwiatami. Dalej zbocze przechodziło w łąkę. Podnóże wzniesienia porośnięte było gęstwiną drzew, spoza których lśnił zielenią i błękitem Neckar.

- Piękny widok, prawda? - powiedział Lansdorff.

- Tak. - Strang przebiegł wzrokiem po całym zboczach i nie zauważył innych domów. Dopiero po drugiej stronie rzeki stała między drzewami pojedyncza chata. - Cicho tu i spokojnie.

- To właśnie mi się podoba. - Lansdorff wskazał ręką krzesła stojące na patio. - Chodźmy usiąść.

Gdy podeszli bliżej, z domu wyszła kobieta o upiętych z tyłu głowy blond włosach. Miała na sobie bardzo krótkie i obcisłe, błękitne szorty, odkrywające długie, opalone nogi. Wyżej był kawałek gołego, brązowego brzucha, a nad nim związane końce żółtej, męskiej koszuli, która luźno zwisała z jej ramion. Rękawy miała wysoko podwinięte.

- Pozwoli pan, panie Strang, że przedstawię mu moją córkę. - Lansdorff wyciągnął do niej rękę. Podeszła i stanęła obok ojca. Ich dłonie pozostały splecione. - Pana Klugera zdążyłaś już kiedyś poznać, Ingrid.

- Owszem. Miło pana znowu widzieć.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Fraulein.

- A to jest Herr Strang.

- Bardzo mi przyjemnie, Fraulein Lansdorff.

Wcale nie przesadzał. Była bardzo ładna i zgrabna, miała na oko dwadzieścia osiem lat. Z kolei sam Lansdorff nie wyglądał na więcej niż czterdzieści. Miał ciemne, zaczesane do tyłu włosy bez śladu siwizny, chociaż musiał już mieć sześćdziesiąt pięć lat.

- Zostawię panów samych - powiedziała. - Czy coś podać?

- Bardzo proszę. - Lansdorff zwrócił się do gości. - Czego się panowie napijecie? A może przekąsilibyście coś?

- Poproszę o piwo - rzekł Kluger.

- To samo dla mnie - dodał Strang.

- Doskonale! Ja też się napiję. Trzy razy Lowenbrau.

Poszła do domu, a oni usiedli na wygodnych krzesłach: Strang i Kluger obok siebie, Lansdorff naprzeciwko, twarzą do nich. Zdjąwszy z szyi lornetkę postawił ją obok na ziemi.

- Zapewne chce pan ze mną porozmawiać o mojej wojennej przeszłości, panie Strang.
- Lansdorff położył dłoń na swojej szerokiej piersi. Była pokryta ciemnymi włosami, z czego wydawał się bardzo dumny.

- Tak. Wojennej i powojennej. Interesuje mnie jeden z pańskich agentów. Michaił.

- A! - Lansdorff kiwnął powoli głową. - Michaił. Pamiętam doskonale. Ale dlaczego mówi pan o nim „agent”? Ja nigdy nie byłem tego pewien.

- Uważa pan, że pod tym pseudonimem ukrywała się grupa?

- To więcej niż możliwe. Sądząc po ilości i jakości informacji, nabrałem pewności, że to grupa. - Lansdorff spojrział w kierunku domu, z którego właśnie wyszła Ingrid niosąc na tacy trzy wysokie szklanki piwa. Kroczyła bosą, pięknie wyprostowaną.

Mężczyźni przerwali rozmowę i czekali, aż do nich podejdzie. Podała Klugerowi i Strangowi wilgotne od chłodnej zawartości szklanki, po czym stanęła bardzo blisko Lansdorffa, który biorąc piwo, drugą ręką szybko i dyskretnie pogładził ją po udzie. Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech i odeszła, a on patrzył, jak idzie przez patio do domu.

Kluger spojrział na Stranga i znacząco unióśł brwi.

- Prosit - Lansdorff unióśł szklankę.

- Prosit - odpowiedzieli. Powoli sączyli piwo. Strang pochylił się i postawił swoją szklankę na kamiennej posadzce.

- Przeglądałem zapisy z operacji wywiadowczych. Michaił pojawiał się na listach agentów zawsze pod pseudonimem. Czy wie pan, kim naprawdę był, czy też byli?

- Nie. Nigdy tego nie wiedziałem.

- A pseudonim? Dlaczego wybrano właśnie taki? Czy miał jakieś ukryte znaczenie?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Lansdorff postawił szklankę na ziemi i odchylił się do tyłu. Delikatnie drapał się palcami po owłosionej piersi. - Pewnie Hess miał jakiś powód, gdy go wymyślał, ale nie mieliśmy żadnego systemu przydzielania pseudonimów agentom czy grupom pracującym w czasie wojny na terenie Rosji. Były ich tysiące. Niewielką ilość stanowili Niemcy znający rosyjski, ale głównie byli to sami Rosjanie. Antykomunistyczni uchodźcy, którzy uciekli jeszcze przed wojną oraz przeciwnicy stalinizmu. Ci ostatni oddali się w nasze ręce w pierwszych tygodniach, po czym zgłosili chęć współpracy i powrotu do ojczyzny w roli szpiegów.

- Znał pan jednak ich prawdziwe nazwiska.

- Zgadza się. - Lansdorff sięgnął po piwo i napił się. - Michaił był wyjątkiem.

- Czy rozmawiał pan na ten temat z porucznikiem Langkau?

- Langkau? - Lansdorff odrzucił głowę do tyłu próbując skojarzyć nazwisko.

- Gunther Langkau. Był oficerem sygnałowym, którego Hess wyznaczył do utrzymywania łączności z Michaiłem.

- Tak jest! - Lansdorff strzelił palcami. Przypomniał sobie. - Oczywiście. Gunther Langkau. Po raz pierwszy usłyszałem to nazwisko już po wojnie, w czterdziestym siódmym. Mówiąc ściślej, przeczytałem je w jednym z raportów, które nadchodziły z naszych centrów repatriacyjnych. Przesłuchiwano wówczas wszystkich, którzy wracali z Rosji. Był wśród nich dawny adiutant Hessa, nazwiskiem Rauss. To właśnie on wspomniał o Langkau. Pamiętam, że potem poszukiwaliśmy go. Tak. Przez wiele lat dręczyło mnie pytanie, kim był Michaił.

- Znaleźliście Langkau'a?

- Nie. Przejrzeliśmy wszystkie kartoteki gestapo, jakie udało nam się zdobyć. Okazało się, że został aresztowany dnia... - Lansdorff próbował przypomnieć sobie datę, ale pokręcił tylko głową. - Nie pamiętam, ale to było kilka dni po locie Hessa do Szkocji. W maju czterdziestego pierwszego. Nie było zapisu o zwolnieniu Langkau'a przez gestapo, ani jakiegokolwiek uwagi o jego dalszym losie. Niestety, gestapo często tak postępowało.

- Ale to gestapo przekazało panu pieczę nad Michaiłem, prawda?

- Zgadza się. Prawdopodobnie wycisnęli informację o nim z tego biedaka, Langkau'a.

- Lansdorff pociągnął łyk piwa.

- Czy on mógł coś wiedzieć o tożsamości Michaiła?

- Może, ale podejrzewam, że jedyną osobą, która znała prawdziwe nazwisko Michaiła był Hess. To niesamowite. Ciekawe, ile tajemnic kryje się jeszcze pod jego starą czaszką. Warto by poznać przynajmniej tę jedną. Wie pan, panie Strang, przypomniał mi pan coś, o czym niegdyś często myślałem. Otóż Michaił, który dla mnie zawsze był raczej grupą agentów, stanowił jedno z naszych najlepszych źródeł informacji. Może nawet najlepsze.

- Naprawdę?

- O, tak. Pamiętam, jak kiedyś w czterdziestym trzecim, chyba w lecie, nasz szef, wielki Gehlen, wprowadził system wartościowania jakości meldunków. Było pięć stopni oceniających meldunki: pewne, wiarygodne, możliwe, wątpliwe oraz nieprawdopodobne. Raporty od Michaiła zawsze otrzymywały pieczęć „pewne”. Zawsze. Tyle, że nie poświęcono im należytej uwagi. - Lansdorff zacisnął usta z wyrazem goryczy na twarzy.

- Dlaczego tak się działo?

- Dlaczego? - prychnął Lansdorff. - Ponieważ nasz wódz, Adolf Hitler, był paranoikiem, który nie wierzył w żadne niepomysłne meldunki. Nie pozwalał, aby cień prawdy zakłócał jego chorą wyobraźnię, zwłaszcza w dwóch ostatnich latach wojny, kiedy

ponosiliśmy same klęski. Szczęśliwie dla nas, Stalin był również szaleńcem. Wiemy, że Rosjanie otrzymywali informacje z bardzo wysoko postawionego źródła po naszą stronę, kogoś z Naczelnego Dowództwa, którego nie zidentyfikowaliśmy do dziś. Tak jak Hitler, Stalin bagatelizował większość tych meldunków. - Myślał o tym przez chwilę kręcąc głową. Dwa przypadki kliniczne, a ilu zabili ludzi?

- Sądzi pan, że Michaił pracował w radzieckim Sztabie Generalnym?

- Drogi panie Strang, wierzę w to już od dawna. Jakość informacji w nieunikniony sposób sugerowała, że pochodziły one ze sztabu. Albo od wysoko postawionego polityka z Komitetu Obrony, gdyż meldunki często dotyczyły lotnictwa, a nie tylko armii lądowej. Wynikało z tego, że Michaił był grupą oficerów sztabowych wojsk lądowych i powietrznych lub politykiem mającym dostęp do informacji z tych dziedzin.

Strang zauważył, że Kluger wpatruje się w Lansdorffa mocno skoncentrowany. Ta hipoteza była bardzo interesująca.

- Która z tych możliwości wydaje się panu bardziej prawdopodobna, generale?

Lansdorff dopił resztkę piwa i odstawił szklanekę.

- Jak już mówiłem, zawsze uważałem Michaiła za grupę i nie zmieniłem zdania w trakcie naszej rozmowy. Raporty były zawsze bardzo aktualne. Wiedzieliśmy o planach Rosjan zaraz po ich powstaniu. Gdyby informacje pochodziły od polityka, zdążyłyby się trochę zestarzyć, gdyż w drodze od sztabu musiałyby przejść przez cały system biurokracji, zanim dotarłaby do dyplomatów. - Podrapał się w pierś. - Według mnie, była to grupa wyższych oficerów.

- Czy możliwe było zwerbowanie takiej grupy?

Lansdorff zaśmiał się krótko.

- Możliwe? Jak najbardziej, drogi panie. W Armii Czerwonej była głęboka opozycja przeciwko Stalinowi, w całym korpusie oficerskim, z powodu przeprowadzonej tam czystki w trzydziestym siódmym i ósmym. Ten paranoik uważał, że oficerowie stawali się zbyt silni, więc zamordował ich około trzydziestu pięciu tysięcy, co stanowiło połowę całego stanu osobowego. Było to jedną z przyczyn naszych sukcesów w pierwszym okresie operacji „Barbarossa”. Po prostu nie mieli wykwalifikowanych oficerów. Wracając do tematu, zwerbowanie ich było zupełnie możliwe.

- I po wojnie wciąż pracowali przeciwko niemu?

- Oczywiście. W czterdziestym siódmym, gdy odnawialiśmy kontakt z naszymi wojennymi agentami, Michaił zgłosił się natychmiast. Był jednym z nielicznych, bo wielu z pewnością zostało schwytanych, a inni sami zrezygnowali, straciwszy widocznie nadzieję, że

zachód przyniesie im wyzwolenie - Lansdorff skrzywił usta w krótkim uśmiechu - czy nawet okaże takie intencje. Uznali więc, że nie było sensu dłużej ryzykować własnym życiem. Trudno ich o to winić. Lecz Michaił od razu podjął współpracę z równym zaangażowaniem, jak w czasie wojny.

- I działał do dziesiątego marca 1952.

- Zgadza się.

- A dlaczego zerwali kontakt właśnie wtedy? Z powodu śmierci Stalina?

Lansdorff zamyślił się.

- Tyle, że Stalin zmarł dopiero w następnym roku. - Wybuchnął nagle śmiechem, lecz natychmiast wyciągnął do Stranga rękę w przepaszającym geście. - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem.

Strang uśmiechnął się blado.

- No więc, dlaczego zaprzestali działalności?

- Nie zrobili tego zaraz po zakończeniu wojny, jak wielu innych. Pracowali dla nas jeszcze przez ponad pięć lat. Nie uważam też, aby zerwali kontakt z własnej woli.

- Czyli zostali ujęci? - Lansdorff pogładził się po piersi.

- Ujęci i rozstrzelani.

* * *

Kiedy odjeżdżali, Lansdorff stał na szczycie wzgórza odprowadzając ich wzrokiem. Spojrzawszy na niego we wstecznym lusterku, Kluger powiedział:

- No i jak ci się podobała lekcja historii?

- Nigdy nie zapomnę, w którym roku zmarł Stalin.

- Szkoda, że nie widziałeś swojej twarzy, gdy wybuchnął śmiechem. Myślałem, że rzucisz się na niego.

- Miałem taką ochotę.

- Nie moja wina. Nigdy nie twierdziłem, że wyraża się dyplomatycznie. Mówiłem, że jest egoistą. Sam chciałeś z nim porozmawiać.

- Warto było, Dieter.

- Sądzisz, że on ma rację uważając Michaiła za grupę oficerów sztabowych armii lądowej i lotnictwa?

- Jak mogę nie zgodzić się z opinią generała Lansdorffa? Miał wiele lat na przemyślenie tych rzeczy. Pewnie, że może mieć rację.

- Zwerbowani przez Hessa. To niesamowite.

- Owszem. - Strang pomyślał o kopercie Hessa. - A jeśli włożył do niej listę z ich nazwiskami?

Trzymając dłonie na górnej części kierownicy, Kluger wyciągał z opakowania kolejną gumę.

- Do koperty?

- To zupełnie możliwe. W czterdziestym szóstym w Norymberdze, kiedy przekonał się, że Rosjanie chcą, aby zawisł na szubienicy, nie miał już nic do stracenia. Taka lista z nazwiskami wysokich dowódców wywołałyby w Moskwie prawdziwe trzęsienie ziemi. Dzisiaj nie byłoby inaczej, nawet gdyby ci agenci zostali rozstrzelani w pięćdziesiątym drugim. Wyobraź sobie: taka grupa pracowała przeciwko ich krajowi przez wiele lat. Prawdziwa bomba.

Kluger skoncentrował się na pokonaniu ostrego zakrętu wąskiej drogi. Dopiero po chwili odpowiedział:

- Jeśli lista jest u nacjonalistów, mogą przy jej pomocy wywołać większą aferę. Opublikowanie jej nie tylko wyrzuci Moskwę do góry nogami. Doprowadzi również do wzrostu napięcia między nimi a nami, Niemcami. Nie ma różnicy, że chodzi o wypadki sprzed trzydziestu lat: wiedzą, że czujemy do nich wciąż to samo, tak jak i oni do nas. Mielibyśmy poważny kryzys.

- Wiem, Dieter. Wiem, co może nastąpić.

Rozdział 26

Generał Igonin poprosił o kolejne zebranie się Sojuszniczej Komendantury Wojskowej Berlina w celu omówienia sprawy Hessa. Przedstawiciele państw zachodnich wyrazili zgodę, ale na godzinę przed spotkaniem dowódcy garnizonów brytyjskiego i francuskiego udali się do misji amerykańskiej, żeby porozmawiać z generałem Bensonem.

- Wszyscy wiemy, dlaczego Rosjanie chcą tego spotkania - powiedział Benson. - Zażądamy natychmiastowego powrotu Hessa do Spandau. Wiedzą już, że stan jego zdrowia uległ znacznej poprawie. Oczywiście, nie zgodzimy się na to tak łatwo.

- Absolutnie - odezwał się Henshaw. Bourdais zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie ma mowy, Harry.

- Najlepsze, co możemy osiągnąć, to zgodzić się na kompromis - podjął Benson. - Nie uda się nam trzymać go poza Spandau w nieskończoność, chociaż, Bóg mi świadkiem, że

bardzo tego żałuję. Chciałbym jednak, żebyśmy jeszcze teraz ustalili, na jaki termin powrotu Hessa do więzienia możemy się zgodzić. Bądźmy realistami. Jest to kwestia najwyżej kilku dni, o ile nie zamierzamy popadać w ostry konflikt z Moskwą.

- Groźba takiego konfliktu wcale mnie nie przeraża - powiedział Bourdais. - I nie powinna mieć wpływu na decyzję, którą podejmiemy.

Henshaw uśmiechnął się. Biegająca przez policzek do kącika ust blizna wykręciła jego twarz w krzywy grymas.

- Jestem pewien, że wszyscy zgadzamy się co do tego, Claude.

- Tak jest - rzekł Benson. - Powstaje pytanie: na ile możemy sobie pozwolić wobec Rosjan, bez zbytniego uszczerbku dla nas samych. Powinniśmy wyrazić nasze stanowisko bardzo zdecydowanie, ale nic ponad to. Musimy się ograniczać do słów. Nie możemy jednak dopuścić, żeby odcięli drogi dojazdowe do miasta, albo wykonali inne podobne posunięcie. To byłoby za wysoka cena. W sumie chodzi przecież tylko o to, czy Hess wróci do Spandau za tydzień, czy też natychmiast.

- Nie wolno nam kapitulować - wtrącił się Bourdais. - Po prostu nie wolno!

- Oczywiście, że nie - dodał Henshaw. - Harry na pewno nie to miał na myśli.

- Słusznie. - Benson nakreślił w notesie kolejną czarną kreskę i zamalował narysowaną na jej końcu strzałkę. - Chodzi mi o uzyskanie z nimi jakiegoś kompromisu, który pokazałby, że nie pozwolimy, aby oni dyktowali nam swoje warunki. Chciałbym jednak uniknąć konfrontacji, która stanie się nieunikniona, jeśli zabrnjemy tak daleko, że żadna ze stron nie będzie się mogła wycofać bez straty twarzy. Rozumiesz, o co mi chodzi, Claude?

Bourdais pocierał dłońmi swoje białe wąsy, czubkami palców przyglądając je na boki. Niechętnie skinął głową.

Benson patrzył na niego wyczekująco. Chciał upewnić się, że Francuz nie ma żadnych zastrzeżeń.

- Ale musimy im pokazać, że nie kapitulujemy wobec ich żądań.

- Nie obawiaj się. Jeśli uznasz, że nie wyrażę tego dostatecznie jasno, będziesz mógł dodać od siebie, co tylko zechcesz. Proszę jedynie, żebyśmy nie wdali się z Igoninem w potyczkę słowną, z której trudno nam się będzie wycofać. Jeśli miałoby to nastąpić, chcę być przygotowany.

- Znasz moje uczucia do komunistów, Harry, możesz być jednak pewien, że będę rozsądny.

Benson kiwnął głową.

- Wiem o tym. Ustalmy teraz nasze stanowisko wobec pozostania Hessa w szpitalu. Na ile dni będziemy nalegać? Peter?

- W zasadzie jest już zupełnie zdrowy, prawda? - odpowiedział Henshaw. - To znaczy, gdyby musiał, mógłby wrócić bez żadnego ryzyka nawet dzisiaj?

Benson potwierdził.

- W takim razie proponujemy zatrzymanie go w szpitalu jeszcze przez dwa dni. Czy to jest do przyjęcia? - Henshaw spojrzał na Bourdaisa.

- Zgadzam się, ale uważam, że powinniśmy zacząć od propozycji zatrzymania Hessa w szpitalu przez tydzień. - Bourdais wzruszył ramionami. - Jeśli potem ustąpimy i zejdziemy do dwóch dni, Rosjanie uznają to za sukces.

- Dobry pomysł - powiedział Henshaw. - Potargujemy się z nimi trochę. Co ty na to, Harry?

- Sam bym to zaproponował, gdyby żaden z was tego nie zrobił. Nie zasiadłbym do batalii z Igoninem bez pola do manewru. Zaczniemy więc żądaniem zatrzymania Hessa w szpitalu jeszcze przez tydzień.

- Świetnie! - Henshaw uderzył dłońmi o kolana. - A więc idziemy?

* * *

Generał Igonin siedział z pięściami opartymi o krawędź stołu, po obu stronach mikrofonu. Sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego na wszystko.

- Minęło już sześć dni od czasu, gdy więzień Hess został przeniesiony do amerykańskiego szpitala - zaczął. - Nasi strażnicy, którzy tam są, donoszą, że siada na łóżku i spaceruje po swoim pokoju. Nie zaprzeczy pan temu, generale Benson?

- Nie.

Igonin kiwnął głową, zadowolony.

- Jak pan zapewne wie, wczoraj odwiedził szpital radziecki dyrektor więzienia. W jego opinii Hess jest już zupełnie zdrowy i może być natychmiast odwieziony do Spandau. Takie jest żądanie moich władz i mam za zadanie przedstawić je panom.

Benson dorysował właśnie grot strzałki do następnej grubej kreski.

- To nie wchodzi w rachubę, generale Igonin - powiedział do mikrofonu.

- Ale nasz dyrektor twierdzi, że Hess jest w pełni sił i może opuścić szpital.

- Już pan to mówił. Czytałem dziś rano raport od mojego naczelnego lekarza wojskowego. On wcale się nie zgadza z opinią medyczną waszego dyrektora. - Takiego raportu wcale nie było. - Uważamy, że Hess powinien zostać w naszym szpitalu jeszcze przez co najmniej siedem dni.

Igonin pochylił się wolno do przodu, czując zbliżające się starcie. Obniżył głowę niemal do poziomu ramion. Przez chwilę próbował ocenić determinację Bensaona, Henshawa i Bourdaisa.

- Ale nie ma pan zamiaru zatrzymać Hessa w swoim szpitalu na czas nieokreślony, generale Benson? - spytał nie patrząc na Amerykanina. - Chyba nie dąży pan do tego?

- Oczywiście, że nie. Naszą intencją nie jest jednak także odsyłanie go do więzienia, jeśli istnieje choćby najmniejsze zagrożenie dla jego zdrowia lub życia.

Igonin oparł się ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

- Mówi pan, że Hess powinien zostać w szpitalu jeszcze przez cały tydzień?

- Tak jest - odparł Benson.

- A pozostali panowie zgadzają się? - Igonin spojrzał na nich.

- To brzmi bardzo rozsądnie - rzekł Henshaw.

- Popieram - powiedział krótko Bourdais. Igonin patrzył na nich zimno.

- Hess ma w Spandau zapewnioną zapewnioną pełną opiekę medyczną. W tej sytuacji mogę się zgodzić na jeden dodatkowy dzień w szpitalu. Nie więcej.

- To nie do przyjęcia - uciął Benson.

- Pan chyba nie mówi poważnie - dodał Henshaw. Bourdais nie odezwał się, tylko patrzył na Igonina wilkiem.

- Nie mogę wyrazić zgodny na cały tydzień. Moi zwierzchnicy nie zaakceptowali tego. - Próbował przemówić im do rozsądku.

- Zdrowie Hessa powinno was obchodzić w takim samym stopniu, co nas - rzekł Benson. - Jestem pewien, że wasz rząd nie chciałby narażać go na niepotrzebne ryzyko.

- Oczywiście, że nie. - Igonin zastanowił się przez moment, pochylony nad mikrofonem. - Mógłbym się ostatecznie zgodzić na pozostanie Hessa w szpitalu przez dwa dni. To moje ostatnie słowo.

Benson siedział, jakby rozważając tę propozycję.

- Jakie jest stanowisko pozostałych panów? Generale Bourdais?

- Zgadzam się, acz niechętnie.

- Generale Henshaw?

- Podobnie.

- Poproszę o pięć minut przerwy - powiedział Benson. - Zadzwońię do naczelnego lekarza i uzyskam opinię w tej sprawie.

- Bardzo proszę - odparł Igonin.

Benson wyszedł do sekretariatu, skąd połączył się z lekarzem garnizonowym.

- Jaki wpływ na stan Hessa miałyby odesłanie go do Spandau pojutrze? - spytał.

- Żadnego, sir. Jest już zdrowy. Nie ma niebezpieczeństwa.

- Na pewno? Rosjanie naciskają, żeby wracał do więzienia, ale nie wyrażę na to zgody, jeśli istnieje choćby najmniejsze ryzyko. Już im powiedziałem, że pan zaleca, by pozostał w szpitalu jeszcze przez tydzień.

Lekarz zaśmiał się do telefonu.

- Jeśli pan chce, mogę im to powtórzyć. Hessowi wyjdzie to tylko na dobre.

- Nie ma potrzeby, o ile pan ma pewność, że jest w stanie opuścić szpital za dwa dni.

- Bez żadnych obaw, sir.

- Dobrze, pułkowniku. Umówmy się, że zostanie zabrany pojutrze o godzinie ósmej zero zero.

- Będzie gotowy, sir.

Benson wrócił do sali konferencyjnej i zajął miejsce.

- A więc, jeśli pan nalega, aby Hess wrócił do Spandau za dwa dni, pański kraj musi przyjąć na siebie odpowiedzialność za jego zdrowie i życie. Czy jest pan gotów przyjąć takie ryzyko?

- Tak. Mam na to upoważnienie mojego rządu - odparł Igonin.

Benson kiwnął głową.

- Rozkazałem, żeby Hess był gotowy do opuszczenia szpitala pojutrze o ósmej rano.

- W porządku, generale. To jest dla nas do przyjęcia.

- Mamy jeszcze problem jego bezpieczeństwa w więzieniu - odezwał się Bourdais. - Nie mówię tu o jego zdrowiu, lecz życiu. Wszyscy już wiemy, że usiłowano go zamordować, lecz nie ustalono jeszcze sprawcy.

- Winny był niewątpliwie pracujący w kuchni Lichti, który następnie sam został zamordowany - powiedział Igonin.

- To jest jedynie hipoteza - odparł Bourdais. - Poza tym nikt z nas nie wierzy, aby działał z osobistej nienawiści do Hessa. Na pewno ktoś mu zapłacił. To przecież oczywiste dla każdego.

- Jeśli pan jest tego pewny, generale Bourdais, zgadzam się z panem - rzekł gładko Igonin. - I zgadzam się również, że to musi być oczywiste dla każdego.

Benson zauważył, jak twarz Bourdaisa nabiega krwią. Powiedział ciężko:

- Generał Bourdais mówi o realnym ryzyku. Wciąż nie wiemy, kto chciał zgładzić Hessa. Lichti został tylko wynajęty, żeby dokonać dzieła. Nie mam co do tego wątpliwości.

- Owszem, ktoś chciał zabić Hessa - rzucił Igonin. - Możemy się jednak nigdy nie dowiedzieć, kim jest. Z całą pewnością mojemu krajowi nie zależy na śmierci Hessa.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał ostro Henshaw. Jego blizna zarysowała się ostrą kreską przy kąciku ust.

Igonin pochylił się nad mikrofonem. Szerokie pagony na uniesionych ramionach nadawały jego sylwetce kanciasty kształt.

- Powiem wprost. Wasze trzy kraje od wielu lat były gotowe zwolnić Hessa. I to wasze kraje zyskałyby na jego śmierci oraz zachodnioniemiecki reżim, który finansuje funkcjonowanie Spandau. Przez całe lata naciskaliście na mój rząd, aby zgodził się na jego uwolnienie. - Powoli tracił panowanie nad sobą.

- Zachód byłby niezmiernie zadowolony, gdyby Hess opuścił więzienie, żywy bądź martwy. - Łypnął okiem na Bensaona.

- Może śledztwo prowadzone przez Amerykanów powinno się skierować tam, gdzie istnieje najsilniejszy motyw.

Twarz Bensaona była blada. Emanowało z niej najwyższe napięcie.

- Na pańskie insynuacje nie może być żadnej odpowiedzi, generale Igonin - powiedział cicho. - Jeśli nasze spotkanie ma być kontynuowane, powinien pan odwołać swoje oświadczenie.

Bourdais i Henshaw w milczeniu czekali na odpowiedź Igonina. Rosjanin oparł się wygodnie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

- Oczywiście, nie mam dowodów na poparcie moich słów. I może nie powinien ich wypowiadać na obecnym etapie śledztwa.

Nikt się nie odezwał.

- I tak nie mamy już dzisiaj o czym mówić - dorzucił Igonin. - Pragnę panów jedynie poinformować, że mój rząd zinterpretuje zwłokę w przeniesieniu Hessa do Spandau jako akt wrogości.

- Powiedziałem już panu, kiedy opuści szpital - rzekł Benson. - To chyba koniec naszej dyskusji.

Rozdział 27

Polecieli do Berlina wcześniej rano. Strang wziął taksówkę i kiedy dojechał do domu, zastał w hallu czekającą na niego Karin Hartmann. Widząc go zerwała się i zaczęła biec po marmurowej posadzce w jego stronę. Z miejsca poznał, że coś było nie tak.

- Och, Philipie! - Stała przed nim, próbując opanować drzenie ust.

- Co się stało? - Położył dłoń na jej ramieniu.

- Och! - Zbliżyła się i oparła twarz na jego piersi, obejmując go w pasie.

Przytulił ją, gładził delikatnie jej włosy.

- Co się stało?

- Odsyłają go z powrotem.

- Kogo? Hessa?

- Tak.

- Kiedy?

- Pojutrze.

Cofnął się o krok. Rękami ujął ją za ramiona.

- Jesteś tego pewna?

- Tak, tak. - Nie płakała, lecz oczy jej błyszczały. Zaciśnęła mocno usta.

- Wejdźmy na górę.

Jadąc windą stali obok siebie bez słowa. Kiedy szli już korytarzem, przerwał milczenie:

- Długo czekałaś na dole?

- Nie. Pół godziny.

Otworzywszy drzwi puścił ją przodem. Weszli do pokoju dziennego.

- Czym chata bogata. Jesteś głodna?

- Nie. Zjadłam lunch jeszcze zanim dotarła do mnie ta wiadomość. - Usiadła w fotelu i pochyliła się, patrząc na czubki swoich pantofli.

- Sprawdzę tę informację. - Podniósł słuchawkę. - Kiedy nastąpi przeprowadzka?

- Pojutrze. Zabierają go ze szpitala o ósmej rano. To prawda, Philipie.

- Jednak sprawdzę.

Zadzwoił do biura Goodblooda w misji.

- Słyszałem, panie pułkowniku, że Hess wraca do Spandau. Czy to prawda?

- Owszem - w głosie Goodblooda brzmiało lekkie zdumienie. - Wywożą go ze szpitala w środę, o ósmej zero-zero.

- Skąd ten pośpiech?

- Domagali się tego ci przekłęci Rosjanie. Dziś rano w Komendanturze odbyło się specjalne spotkanie z ich przedstawicielem.

- A co z jego bezpieczeństwem, panie pułkowniku? Przecież nawet jeszcze nie udowodniliśmy, że to nacjonaści wynajęli Lichtiego. Ciągłe są na wolności i mogą wynająć kogoś innego.

- Nie musi mi pan mówić - westchnął Goodblood. - Zdaję sobie z tego sprawę, ale co, do cholery, mamy zrobić? Rosjanie są poinformowani o ryzyku.

- O Boże - rzekł cicho Strang.

- To samo powiedziałem, gdy dotarła do mnie ta wiadomość. A pan skąd się dowiedział? Wiem o tym dopiero od dwóch godzin i trzymamy wszystko w najściślejszej tajemnicy.

- Rozmawiałem z kimś w szpitalu. Proszę się nie obawiać, panie pułkowniku. Nie było żadnego przecieku.

- Mam nadzieję.

Strang odłożył słuchawkę i spojrzał na nią.

- Skąd o tym wiesz, Karin?

Podniosła wzrok.

- Od przyjaciela - odparła odchylając się do tyłu.

- Kto to jest? - Przysiadł na krześle obok niej. - Decyzja w tej sprawie zapadła dopiero dziś rano. Żandarmeria wie o tym zaledwie od dwóch godzin.

- Zadzwoił do mnie ktoś ze szpitala. Nie masz się czego obawiać. Ta osoba uważa, że nie powinien wracać do więzienia. Nikt więcej nie wie. Naprawdę.

Cofnął się na krześle. Mówiła szczerze. Po prostu obawiała się o Hessa.

- Podejrzewasz mnie o coś?

- Nie.

- Philipie, na miłość boską, przyjechałam tu prosić cię o pomoc, a nie tłumaczyć się. - Chwyciła za poręczę fotela; aby wstać.

- Zaczekaj - wyciągnął rękę. Zastygła w bezruchu. - O jaką pomoc ci chodzi?

- Nie chcę, żeby wracał do więzienia. Umrze tam. To nieludzkie, zgodzisz się ze mną? Nie odpowiedział. O co też chciała go prosić?

- Możecie mu pomóc. To będzie łatwe, po prostu wywieziecie go z Berlina. Co Rosjanie mogą wam zrobić?

- Co tylko zechcą, z aneksją Berlina Zachodniego włącznie. - Widział, że mówiła zupełnie poważnie, ale przecież to było niedorzeczne. - Nie wiem, co by zrobili, ale wiem, co mogą zrobić.

- Niech idą do diabła.

- Dobry pomysł, ale niepraktyczny.

- Phil, on był w bardzo ciężkim stanie i z pewnością jest osłabiony. Nie godzi się zabierać go ze szpitala już teraz.

- Nie dopuścilibyśmy do tego, gdybyśmy mieli wątpliwości co do stanu jego zdrowia.

- Ale nie możecie zagwarantować mu bezpieczeństwa. Ktoś próbował go zabić. To może się przecież powtórzyć.

- Nie sądzę. Będzie teraz pod szczególną opieką strażników. - Taką miał przynajmniej nadzieję.

Zsunęła się na brzeg fotela i wyciągnęła do niego rękę.

- Po co go tam odsyłać? Jaki to ma sens?

- Żadnego sensu, Karin. Zrozum, nie wszystko jest jednak w mojej mocy. Spandau jest pod kontrolą wojska, a ono podjęło właśnie taką decyzję.

- No tak, ale to jest decyzja polityczna. Przecież ty, CIA, możecie wpłynąć na rząd w Waszyngtonie. - Jej oczy zaczynały nabiegać łzami.

Westchnął ciężko. Nie mógł zrobić żadnej z rzeczy, o które go prosiła. Jej żądania były zupełnie nierealne. Uderzyła pięścią w kolano.

- Przynajmniej przytrzymajcie go w szpitalu, aż uda mi się wystąpić z kolejną apelacją. Zaraz się za nią zabiorę. Jest chory, co zwiększy jego szanse. Błagam! Poproś ich o to!

Potrząsnął głową nie patrząc jej w oczy.

- Do licha, Karin, nic nie mogę zrobić. Wzieliby mnie za idiotę. - Wstał. - I mieliby rację.

- Myślałam, że nie zależy ci na opinii innych.

- Zależy mi akurat tyle, żeby nie robić z siebie durnia. A na takiego bym wyszedł spełniwszy twoją prośbę.

Spojrzała na niego. Jej oczy nabiegły łzami.

- Na litość boską, jeśli już musisz, to płacz - powiedział cicho. - To napięcie robi się nieznośne. Połóż się, uspokój.

Gwałtownie uniosła na niego wzrok.

- Co takiego?

- Połóż się i uspokój.
 - Mówisz to, bo mam ochotę płakać?
 - Nie. Bo podobasz mi się i ja chyba też ci się podobam. Będzie nam dobrze.
- Uśmiechnęła się.
- Ty na moim miejscu też nie byłbyś spokojny.
 - Dostosuję się do ciebie. - Zachichotała.
 - No chodź. - Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Rozdział 28

Wieczorem, kiedy leżeli obok siebie na łóżku, zadzwonił telefon. Sięgnął ręką i w półmroku po omacku odszukał aparat.

- Słucham?
- Tu Dieter. Nie przeszkadzam?
- Trochę, a o co chodzi? - Wziął z małego stolika zegarek. Było dwadzieścia po dziesiątej.

- Został zastrzelony niejaki Becker, piszący dla „Der Kurier”. Był u siebie w mieszkaniu z dwoma członkami Partii Narodowej. Oni również zginęli.

„Kurier” był prawicowym, antyrządowym tygodnikiem.

- Czy to ma dla nas jakieś znaczenie? - Wiedział, że tak. Inaczej Kluger nie byłby tym zainteresowany, a sprawą zajęłaby się rutynowo policja.

- Chyba tak. Jadę teraz do „Kuriera” pogadać z naczelnym redaktorem. Przyjedziesz?
- Tak. - Trzymając słuchawkę zapinał pasek zegarka.
- Wpadnę po ciebie za dwadzieścia minut.
- Czekam.

Kiedy odwrócił się, Karin siedziała na łóżku.

- Coś się stało, Phil?
- To się stało, że muszę wyjść.

Pogładziła go po plecach. Powoli odsunął się i wstał.

- Przepraszam cię, Karin.
- Daj spokój. Ubiorę się. Jest tu światło?
- Uwaga na oczy. - Przekręcił kontakt. - Poczekasz tu, aż wrócę?
- A jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem.

- To pojedę do domu. Mam jutro dużo roboty i muszę wcześniej wstać.

Ubrali się i zjechali na dół. Otworzyła drzwiczki porsche.

- Może cię gdzieś podrzucić?

- Dzięki, ale ktoś przyjedzie tu po mnie.

- Dokąd jedziesz tak nagle?

- Dlaczego pytasz?

- Żeby cię zdenerwować - uśmiechnęła się. - Nie oczekuję od ciebie zdrady zawodowych tajemnic.

- Dziwna jesteś, Karin. - Patrząc na nią kręcił głową. Usiadła za kierownicą i wciągnęła ostrożnie nogi do środka.

- Zadzwoń do mnie w wolnej chwili - powiedziała.

- A może to ty do mnie zadzwonisz?

- Dobrze. - Zatrzasnęła drzwi.

Patrzył na oddalające się tylne światła jej samochodu. Czekał na Klugera.

Po paru minutach zza rogu pokazały się reflektory. Gdy pojazd był już blisko, rozpoznał srebrnoszare audi. Kluger zatrzymał samochód i Strang wsiadł do środka.

- Kim są ci zastrzeleni nacjoniści, Dieter?

- Hans Lotz, sekretarz partii oraz Werner Brandt, przewodniczący komitetu bezpieczeństwa.

- Nieźle.

- Znałeś ich?

- Owszem. Z Brandta był zimny drań. - Musiał taki być, jako szef komitetu bezpieczeństwa, czyli bojówki nacjonalistów. Mieli tam grupy wykwalifikowanych bandziorów. - Jeśli nacjoniści wysłali kogoś po kopertę Hessa, to wysłali Brandta. Po co pojechali do tego dziennikarza? - Znał odpowiedź, tak samo jak Kluger. Dlatego właśnie tam jechali.

- Phil, jeśli w kopercie było coś, co wywołałoby konflikt z Moskwą, to Becker był właściwym człowiekiem do rozdmuchania afery. Każdy z „Kuriera” by to zrobił, ale Becker był najlepszy, jako członek Partii Narodowej i zagorzały nazista.

- Kiedy dokonano morderstwa?

- Około trzy godziny temu policja pojechała do mieszkania Beckera i znalazła ciała. Mieli sygnał od „Kuriera”, że Becker nie odbiera telefonu, a miał stawić się w redakcji z jakimś artykułem.

- Jakim?

- Nie wiem. Tyle powiedziała mi policja. Pomyślałem, że sami powinniśmy pogadać z redaktorem naczelnym. Może powie nam coś więcej.

- Oby tak było.

Redaktorem był dr Bruno Schenk, mały człowieczek o łysej czaszce, w której odbijało się białe światło jarzeniówek wiszących pod sufitem w jego gabinecie. Pomieszczenie było gustownie umeblowane, w skandynawskim stylu. Na podłodze leżał ciemnobrązowy dywan.

Kiedy sekretarka wprowadziła ich do środka, Schenk stał przed wielką tablicą czytając odbitkę korektorską. Odwrócił się i ujrzeni, że jest mocno zdenerwowany.

Kluger przedstawił Stranga jako Rittera, swojego współpracownika z Urzędu Ochrony Konstytucji. Uznali, że lepiej nie informować „Kuriera” o zainteresowaniu USA tą sprawą.

- To straszne. Biedny Becker. - Schenk siadł za biurkiem. Łokcie oparł o blat. - Powiedziałem już wszystko policji. Wiem bardzo niewiele i...

- Szukamy innych śladów niż policja, panie doktorze - przerwał mu Kluger.

- Oczywiście. Rozumiem. Jeśli tylko mogę w czymś pomóc... Czy zamordowano ich z przyczyn politycznych? O to panom chodzi?

Kluger jakby go nie słuchał.

- Zadzwoił pan na policję z prośbą, żeby pojechali do mieszkania Beckera. Tak było?

- Zgadza się.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Dzisiaj mija termin dostarczenia materiałów na kolejne wydanie tygodnika, a Becker miał przygotować dla nas artykuł. Zatelefonował wczoraj do mnie do domu i powiedział, że będzie miał jakąś sensacyjną historię. Obiecał być tu z gotowym tekstem nie później niż wczesnym popołudniem.

- Co to za sensacja? - Kluger zdjął papieraek z kawałka gumy.

Schenk pokręcił głową, niezadowolony, że Becker nie dał się pociągnąć za język.

- Mówił o jakiejś politycznej aferze.

- Która może wywołać skandal w rządzie, panie doktorze? - Kluger wrzucił papieraek do popielniczki Schenka i włożył gumę do ust.

- Nie w naszym rządzie. Powiedział, że wywoła wielką burzę w Moskwie.

Zadzwoił telefon. Schenk porwał słuchawkę, a Strang i Kluger popatrzyli po sobie.

- Ja? Nie. Nie teraz. Powiedz mu, że oddzwonię. W tej chwili jestem zajęty. Nie łącz żadnych telefonów, aż do odwołania. - Odłożył słuchawkę. - Przepraszam.

- Co jeszcze mówił Becker? Schenk pogładził się po głowie.

- Że ma to związek z niemiecką działalnością przeciwko Rosji w czasie ostatniej wojny. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia i prosiłem go o więcej faktów, zanim przystąpi do pracy, ale uparł się, że przyniesie mi gotowy artykuł. - Rozłożył bezradnie ręce. - To wszystko. Powiedział jeszcze, że spowoduje awanturę z Moskwą.

- „Z Moskwą” czy „w Moskwie”? - spytał Strang. Schenk aż podskoczył, zaskoczony, że Strang się odezwał.

Całą uwagę skupiał na Klugerze. Patrzył na Amerykanina, nie rozumiawszy pytania.

- Wcześniej powiedział pan, że Becker przewidywał wielką burzę w Moskwie, a teraz mówi pan o awanturze z Moskwą. No więc, jak on to dokładnie wyraził?

Schenk uniósł brwi jakby kwestia nie miała żadnego znaczenia. Wzrokiem poszukał wsparcia u Klugera.

- Jak to było? - spytał Kluger.

- Powiedział „w Moskwie” - zniecierpliwził się Schenk. - Pamiętam. Bardzo się tym podniecał.

- Czy takie podniecenie było u niego czymś normalnym?

- Raczej nie. No chyba, że miał jakąś rewelację. Był dobrym i doświadczonym dziennikarzem, człowiekiem bardzo zdyscyplinowanym. Nie gonił za tanią sensacją, pisał inteligentnie i z dużym nakładem pracy. Byle co nie wprawiało go w ekstazę.

- Wydaje się, że wczoraj miał jednak jakąś sensację - rzekł Strang. Schenk patrzył na niego bez słowa.

- Czy wspomniał panu, że miał zamiar spotkać się z kimś z Partii Narodowej? - spytał Kluger.

- Nie, nic takiego nie mówił. Myśli pan, że Lotz i Brandt mają jakiś związek z tą sprawą?

- Po prostu pytam, czy czegoś o nich nie napomknął, panie doktorze.

Schenk pokręcił głową.

- Nie. Wciąż nie mogę pojąć, kto i dlaczego mógł go zamordować.

- Właśnie na te pytania szuka teraz odpowiedzi policja - odparł Kluger.

* * *

Wsiedli do audi zaparkowanego przed redakcją „Kuriera”.

- Co o tym myślisz? - spytał Kluger.

- Lotz i Brandt byli w posiadaniu koperty Hessa lub jej zawartości i przynieśli to Beckerowi. Jednak ktoś jeszcze musiał wiedzieć o ich spotkaniu.

Kluger przytaknął.

- Może policja już coś odkryła. - Spojrzał na zegarek. - Mieli na to dość czasu. Chcesz z nimi pogadać?

- Pewnie.

* * *

Sprawę prowadził niewysoki, trzydziestoparoletni sierżant o nazwisku Tillich. Miał wspaniałe, czarne wąsy.

- Wszyscy zginęli natychmiast - powiedział. - Każdy z nich otrzymał jeden strzał w głowę z pistoletu kaliber 9 milimetrów.

- Czy ustalono już, kiedy nastąpiła śmierć? - spytał Kluger.

- Mniej więcej dobiegł temu. Wczoraj wieczorem.

- Gdzie Becker mieszkał?

- W dzielnicy Hansa. Miał tam apartament.

- I żaden z sąsiadów nic nie słyszał? - Kluger energicznie żuł gumę.

Tillich zaprzeczył ruchem głowy.

- Dziwne, prawda?

- Owszem, dziwne, że oddano trzy strzały bez żadnego hałasu.

- Chyba, że użyli tłumika - rzucił Strang.

- Właśnie - zgodził się Tillich.

Kluger przedstawił Stranga, jalko pracownika CIA i Tillich ciekaw był, dlaczego ta instytucja interesuje się jego sprawą. Nie pytał jednak, rozumiejąc, że i tak nie otrzymałby odpowiedzi.

- Czy z mieszkania coś zginęło? - odezwał się Strang.

- Śladów kradzieży lub przeszukiwania pomieszczeń nie było. Nie ruszono również ich portfeli, w których mieli trochę gotówki.

- Czy zanim Becker i pozostali dwaj zginęli, byli ranieni?

- Ranieni?

- Torturowani - wyjaśnił Strang. Tillich nic nie rozumiał.

- Torturowani? Skądże. Po prostu zabito ich. Jedna kula w głowę i po wszystkim.

Koniec. - Strzelił palcami. - O, tak.

Strang spojrzął znacząco na Klugera. Wszystko było już jasne. Kluger wstał.

- Dziękujemy za pomoc, sierżancie.

- Czy panowie mogliby powiedzieć mi, dlaczego istnieje podejrzenie, że denaci byli torturowani? - Przenosił szybko wzrok z jednego na drugiego, w końcu zatrzymał spojrzenie na Strangu.

- Może morderca szukał czegoś i nie znalazł. Ale ponieważ nie znęcano się nad nimi, myślę, że zdobył to, a potem ich pozabijał.

- A czego mógł tam szukać?

- Nie wiem - odparł Strang. - To jeszcze jedna zagadka.

* * *

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Kluger usiadł bokiem, plecami do drzwi i położył ramię na oparciu fotela.

- O co tu, do cholery, może chodzić?

- Nie mam pojęcia. Ta zbrodnia przypomina wypadek z Rossem, tyle, że jego oprawcy poszukiwali informacji. Wydusili z niego, kto był w posiadaniu koperty Hessa.

- Tak myślisz? I Ross im powiedział?

Strang pokiwał głową.

- Ktokolwiek go zabił, musiał wiedzieć o jego związkach z nacjonalistami. Pozostawało im jedynie zmusić go do zdradzenia, u którego z nich jest koperta. Potem ktoś zaniósł ją Beckerowi.

- A dlaczego ci trzech zginęli?

- Aby zabrać do grobu tajemnicę Hessa. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. A tobie?

- Też nie.

- Tylko, kto za tym stoi, Dieter? Jezu! Nacjoniści wykradli kopertę, lecz kto mi ją sprzątnął? Kto był w stanie zamordować Rossa w Nowym Jorku, a teraz tych trzech w Berlinie?

Wtorek 3 maja 1977

Rozdział 30

Zwykle zasypiał bardzo szybko i spał przez siedem godzin. Jednak tej nocy leżał w ciemności przez dwie godziny, zerkając co kwadrans na zegarek, aby sprawdzić, ile czasu już stracił bezskutecznie próbując zasnąć. Odczuwał pieczenie zaczerwienionych oczu. Kiedy w końcu sen przeszedł, budził się jeszcze dwukrotnie, ponownie zasypiał i ostatecznie wstał o wpół do szóstej, godzinę wcześniej niż normalnie. Nie mógł przestać myśleć o Rossie i tych trzech innych, zamordowanych mężczyznach. Nie rozumiał, w jaki sposób ktoś skojarzył Rossa z kopertą Rudolfa Hessa. Istniało tylko jedno wyjaśnienie, lecz było zupełnie nedorzeczne. Mimo to, jedynie ono tłumaczyło wszystkie zaistniałe wydarzenia i fakty.

Stał pod zimnym prysznicem cały kwadrans. Odświeżający strumień wody pryskał mu w twarz, w półprzymknięte, zmęczone oczy. Wycierając się ręcznikiem stwierdził, że w dalszym ciągu czuje się fatalnie.

Nałożył płaszcz kąpielowy i usiadł w fotelu rozmyślając. Czekał, aż Karin Hartmann wstanie. Nie chciał jej zrywać z łóżka swoim telefonem. O wpół do ósmej stracił cierpliwość i zadzwonił.

Jej głos zabrzmiał pełnią życiowej energii.

- Nie zbudziłem cię? - Był pewien, że tak nie było.

- Skądże. Wstałam pół godziny temu. - Jezu, a on siedział tu i czekał.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Słucham cię.

- To nie na telefon.

- W takim razie przyjdź tu do mnie, albo może do mojego biura.

- Wolałbym, abyś to ty złożyła mi wizytę.

- Niestety, nie mogę, Phil. Mam dzisiaj dużo...

- Karin, to ważna sprawa. Bardzo ważna. - Milczała przez chwilę.

- No dobrze, ale jestem jeszcze nieubrana. Mogę przyjechać najwcześniej za czterdzieści pięć minut.

- Czekam.

Powoli nałożył ubranie. Nie widział powodu do pośpiechu. Przyjechała prawie po godzinie.

- Kiepsko wyglądasz. - Dotknęła jego zmarszczek.

- Zmęczony jestem. - Podał jej dłoń i poprowadził do pokoju dziennego.

- Czuję, że coś się wydarzyło. Mam rację? - patrzyła na niego uważnie.

- Niestety. - Opowiedział jej o zamordowaniu dziennikarza z „Der Kurier” i dwóch nacjonalistów, oraz że prawdopodobnie odebrano im dokument Hessa. - Właśnie dlatego torturowano Rossa: żeby przyznał się, kogo informował o istnieniu koperty. Ktoś wiedział o związkach Rossa z nacjonalistami. Musieli trzymać ich pod ścisłą obserwacją. Nawet ty nie wiedziałaś o sympatiach politycznych swojego przyjaciela. A oni z pewnością wyśledzili, z kim się spotyka.

- Ale skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, że Ross ma informację o kopercie?

- Oto jest pytanie, prawda?

- No właśnie.

- Co mu powiedziałaś, pokazując ją w swoim gabinecie?

Zastanowiła się.

- Czy wymieniłaś nazwisko Hessa?

- Tak. Pokazałam mu kopertę i dałam do przeczytania wypisaną na niej instrukcję. Dodałam, że Hess zostawił ją mojemu ojcu w Norymberdze, i że prawdopodobnie zawiera jakiś dokument.

- A potem spytałaś, czy powinnaś ją rozpieczętować, wobec faktu, że Hess był o krok od śmierci?

- Tak było. Poradził mi nie ruszać koperty. - Pokręciła głową. Zdawała sobie sprawę, jak pochopnie zaufała Rossowi.

- Boże, ale byłam głupia.

- Wcale nie. Zresztą to teraz nieważne. Czy powiedziałaś mu coś jeszcze?

- Nie.

Jeszcze raz przypomniał sobie wszystkie fakty. A więc pozostawało tylko jedno wytłumaczenie. Jedyne.

- Ktoś jeszcze o tym wiedział, Karin?

- Jak to możliwe?

- Słyszeli twoją rozmowę z Rossem.

- Ależ nie było tam nikogo, z wyjątkiem Grety, która siedziała w sekretariacie. Myślisz, że to ona...?

- Nie. Ktoś założył u ciebie podsłuch. - Nie odrywała od niego wzroku.

- To jedyny sposób. Przecież ktoś słyszał twoją rozmowę z Rossem. Musieli wcześniej założyć nadajniki w twoim biurze, a zapewne także w mieszkaniu.

- Czy właśnie dlatego nie chciałaś odbyć tej rozmowy u mnie?

- Dlatego.

- Jesteś pewien tego podsłuchu?
- Niezupełnie, ale łatwo będzie to sprawdzić.
- Domyślasz się, kto?
- Niestety nie. Może zresztą zupełnie się mylę. Najpierw muszę przekonać się, że mam rację. Chciałbym, żeby nasi ludzie sprawdzili twoje biuro. Zgadzasz się?
- Oczywiście. Jeśli jest tam podsłuch, muszę o tym wiedzieć. - Myśląc o tym, wzbierała w niej złość, że ktoś wbrew jej woli słuchał jej prywatnych rozmów.
- A mieszkanie?
- Co? Myślisz, że tam również coś znajdziecie?
- Tak. Ktoś obserwował, a przynajmniej podsłuchiwał cię. Nie wiem tylko dlaczego.

Rozdział 31

Karin Hartmann zadzwoniła od niego do swojej sekretarki dając jej wolne przedpołudnie. Zaraz potem Strang poprosił telefonicznie Klugera o przysłanie do biura Karin ekipy u wykrywaczami urządzeń elektronicznych.

- A co się stało? - spytał Kluger.
 - Myślę, że ktoś założył tam podsłuch.
 - Coś takiego!
 - To jedyna możliwość. Ktoś wiedział, że powiedziała Rossowi o kopercie. Musiał to podsłuchać.
 - Chyba masz rację. Kiedy mają się zjawić moi ludzie?
 - Jak najprędzej. Chciałbym, żeby sprawdzili również jej mieszkanie.
 - W porządku, Phil. Będziemy w jej biurze o dziesiątej. Pasuje?
 - Jak najbardziej. - Odłożył słuchawkę.
 - Kiedy to zrobią? - spytał Karin.
 - O dziesiątej wejdą do biura, a potem przeszukają twoje mieszkanie.
- Siedziała na krześle. Nie mogła się pogodzić z faktami.
- Aż trudno mi w to uwierzyć.
 - Wiem. Chodź, pojedziemy i zaczekamy na ekipę na miejscu.

Dotarli tam tuż po wpół do dziesiątej. Siedzieli w sekretariacie nic nie mówiąc świadomi ukrytych urządzeń podsłuchowych. Parę minut przed dziesiątą pojawił się Kluger w

towarzystwie dwóch specjalistów, którzy wnieśli walizeczki ze sprzętem wykrywającym wszelkie urządzenia elektroniczne.

- Zacniemy chyba od tamtego pomieszczenia - powiedział cicho Kluger wskazując obite skórą drzwi do gabinetu Karin. Strang skinął głową.

Otworzyli obite drzwi, następnie wewnętrzne, po czym ludzie Klugera wkroczyli do wnętrza. Kann, Strang i Kluger obserwowali ich, stojąc w przejściu.

Jeden z mężczyzn wyjął z walizki urządzenie nadawczo-odbiorcze, postawił je na podłodze, nałożył słuchawki i nacisnął włącznik. Rozległo się buczenie. Jeśli w biurze była jakaś pluskwa, odebrałaby ten sygnał i przekazała go dalej. Drugi z ludzi rozwinął przewody z odbiornika. Przyczepiwszy do nich antenę, zaczął systematycznie omiatać nią gabinet. Jego kolega czekał przy odbiorniku na retransmisję sygnału przez urządzenie podsłuchowe.

Różdżka przesunęła się powoli nad biurkiem, ostrożnie omijając leżące na nim, równo poukładane kartki papieru i akta. Zbadawszy lewą ściankę oraz szuflady, wsunęła się pod blat. Operator poprawił słuchawki, mocno skoncentrowany. Wtem syknął przez zęby i pociągnął lekko przewód. Trzymający antenę drugi mężczyzna zajrzał pod biurko. Schyliwszy się wyciągnął rękę. Już po chwili trzymał w niej miniaturowy nadajnik ze sterzącą króciutką antenką. Rzucił go Krugerowi, który natychmiast wyrwał wystający drucik.

- Ciągłe odbieram sygnał - szepnął operator przyciskając słuchawkę ręką do ucha. - Musi tu być jeszcze jeden.

Kluger dał mu ręką znak, żeby podjęli pracę.

Przeszukali zasłony, okna, otoczenie parapetu. Drugą pluskwę znaleźli w jednej z doniczek. Była zakopana tuż pod powierzchnią ziemi; wystawała cienka antena, ukryta za łodygą rośliny. Przekazawszy nadajnik Klugerowi zabrali się za ściany, obrazy, regały oraz podłogę pod dywanem. Nic nie znaleźli.

- Teraz sekretariat. - Kluger wskazał ruchem głowy drugie pomieszczenie.

Kiedy wyszli, Strang i Kluger usiedli z Karin Hartmann koło jej biurka. Strang przyjrzał się jednemu z nadajników. Był produkcji amerykańskiej.

- Nasz wyrób.

- Ten również. - Kluger położył na blacie drugą pluskwę. Strang poczuł na sobie wzrok Karin.

- To jeszcze nic nie znaczy. Każdy mógłby kupić sobie taką zabawkę. Zwłaszcza osoba, której zależało na zmyleniu śladów i skierowaniu podejrzeń na Amerykanów.

Kluger wskazał drucik.

- Ta antenka ma dosyć spory zasięg.
- Wiem, Dieter. Ważne jest teraz, od kiedy? Jak dawno temu założono podsłuch?
- Boże. I pomyśleć, że ktoś słuchał wszystkiego, co mówiłam - odezwała się Karin.

Nie odrywała wzroku od miniaturowych nadajników.

Do gabinetu wsadził głowę któryś z radiowców.

- Tylko jeden. - Pokazał go na dłoni. - Był pod biurkiem sekretarki.
 - W ten sposób słyszeli nazwiska osób, które składały pani wizyty - rzekł Kiuger.
- Zacisnęła pięści w bezsilnej złości.

- Teraz kolej na twoje mieszkanie, Karin - zdecydował Strang.

Na dole on i Karin wsiedli do jej samochodu i ruszyli przodem, wskazując drogę Klugerowi. Pojechali do Tiergarten.

Znaleźli u niej dwie pluskwy: jedną w fałdach zasłony w saloniku; drugą w sypialni ukrytą pod stojącym obok łóżka stolikiem. Obydwie były amerykańskie, tego samego typu, co trzy znalezione wcześniej. Kluger ustawił je rzędem na ławie.

Karin siedziała nieco dalej na sofie, patrząc na nie z obrzydzeniem.

- Czy mamy szukać dalej, Phil? - spytał Kluger.
- Nie. Dziękuję ci, Dieter.
- W takim razie zwijamy się. Pogadamy później.

Karin odprowadziła ich do drzwi. Wracając trzymała ręce skrzyżowane na piersi i dłońmi przyciskała łokcie do ciała jakby było jej zimno. Usiadła na sofie odwracając wzrok od leżących nadajników.

- Kto to mógł zrobić? - odezwała się cicho.

- Na pewno nie nacjonaści. Mieli Rossa, który kręcił się koło ciebie. To im zupełnie wystarczało.

- Ktokolwiek zostawił te nadajniki, zamordował również Rossa, prawda?

- Tak myślę. A także Lotza, Brandta i Beckera. Mordercy mają dokument Hessa.

- Ale dlaczego Joe musiał zginąć? Skąd wiedzieli, że jest w to zamieszany, że pomagał w kradzieży koperty? Nic takiego nie wynikało z rozmowy, w czasie której dowiedział się ode mnie o dokumencie.

- Byli w twoim gabinecie już po kradzieży.

- Co??? - Tego już było jej za wiele. A więc ktoś jeszcze włamał się do jej biura!

- Przyszli i zobaczyli, że koperta zniknęła. Wiedział o niej tylko Ross, w takim razie niewątpliwie miał udział w kradzieży. To musiało się stać tego samego dnia, w ostatni

czwartek. Wróciwszy z lunchu stwierdziłaś brak koperty, a oni przyszli po nią wieczorem. Nazajutrz Ross został zastrzelony w celu zdobycia dokumentu.

- Ale dlaczego? Po co? Wszystko to jedynie w celu zdobycia dokumentu?

- Nie widzę innego wytłumaczenia.

- Przecież minęło już trzydzieści lat, odkąd koperta spoczęła w sejfie mojego ojca.

Jaką może mieć teraz wartość? I dlaczego nie skradziono jej wcześniej?

Wpatrywał się w nadajniki.

- Nie mam pojęcia, Karin. - Chyba, że nikt nie wiedział o jej istnieniu, aż do teraz. Czy było to jednak możliwe?

- O czym myślisz? - spytała.

- Kiedy złożyłaś Hessowi wizytę w Spandau?

- Przed apelacją. W styczniu.

- Mówił ci coś o dokumencie?

- Tak. Nawet się zdziwiłam, że pamiętał o nim po tylu latach.

- Co dokładnie o nim powiedział?

- Spytał, czy mam kopertę, którą przekazał ojcu w Norymberdze. Było to nasze pierwsze spotkanie i chciał się prawdopodobnie upewnić, że ją otrzymałam.

- Tylko tyle?

- No tak. Odpowiedziałam, że ją mam, na co on uśmiechnął się, zadowolony. Ot i wszystko.

Boże! Czy to możliwe? Czy naprawdę tak to się stało?

- Gdzie odbyła się wasza rozmowa, Karin?

- W sali odwiedzin. Tylko tam można się z nim zobaczyć.

- Pilnowali was strażnicy?

- Tak. Zdaje się, dwóch.

- Skąd byli?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o ich narodowość. - Czuł, że chwycił jakąś nić. Był tego prawie pewien.

- Nie pamiętam. - Zmarszczyła na chwilę czoło. - Nie. Nic z tego.

Patrzył, jak się zastanawia.

- Jeden był chyba Francuzem. - Przypomniała sobie, że Hess zwracał się do któregoś z nich po francusku. - A drugi... może Anglik, nie wiem.

- Nikogo więcej nie było?

- Nie. Prawie na pewno.

- Czy który z nich mógł słyszeć, jak Hess mówił o dokumencie?

Zdecydowanie pokręciła głową.

- Niemożliwe. Sama ledwie go zrozumiałam, bo powiedział to szeptem i bardzo szybko. - Uśmiechnęła się. - Konspirator. Pochylił się do mnie nad stołem i mówił prędko ściszym głosem. Rozmawialiśmy przez kwadratowy otwór w ścianie. Nikt nie mógł nas podsłuchać. Spojrzałam nawet na jednego ze strażników. Sprawiał wrażenie niezadowolonego, bo pewnie mają rozkaz przysłuchiwać się uważnie rozmowie.

- Nikt w Spandau nie pytał cię potem o treść słów Hessa?

- Skądże. Zresztą i tak odmówiłabym odpowiedzi.

Uśmiechnął się.

- Jasne. A jednak ktoś was słyszał.

- Nie rozumiem.

- Oto dowód. - Wskazał głową leżące na ławie nadajniki. Przeniosła na nie wzrok.

Myślisz, że podłożono je po mojej styczniowej wizycie y Messa?

- Nie inaczej.

- I cały czas były tutaj - powiedziała do siebie cicho. - Ale jaki to ma związek z tamtą rozmową?

- Był przy niej obecny ktoś jeszcze.

Rozdział 32

Kiedy wyjaśnił Goodbloodowi, co chciał zrobić, pułkownik zdjął okulary. Upuścił je na bibularz i zaczął przecierać mocno oczy, jakby był jeszcze zaspany, jakby nie rozumiał sensu słów Stranga. Bez szkieł wyglądał o wiele mniej groźnie.

- Jeśli naprawdę chciałby pan to przeprowadzić, to jest pan kandydatem do zakładu dla czubków. Przykro mi to mówić. - Goodblood podniósł okulary. - Do licha ciężkiego, Strang. Nie możemy tam wejść ot tak, po prostu, i zrealizować pański plan.

- A jaki mamy wybór? Pozwolić na kolejne morderstwo? Odesłać tam Hessa nie wiedząc, kto za tym wszystkim stoi i dać sprawcy kolejną szansę? Następnym razem może mu się powieść.

Goodblood z namaszczaniem nałożył okulary, starannie umieszczając wygięte druciki za uszami. Koncentrując na tej czynności całą swoją uwagę chciał uniknąć odpowiedzi na argumenty Stranga.

- Musimy to zrobić, panie pułkowniku, sprawdzić, czy moje przypuszczenia są słuszne. Z taką wiedzą zbliżymy się do wykrycia niedoszłego zabójcy Hessa.

- Ale przecież nie mamy wstępu do Spandau, nie mówiąc o możliwości myszkowania tam przez parę godzin. - Goodblood położył na blacie otwartą dłoń, dając wyraz swojej anielskiej cierpliwości. - Nie ma tam już nawet naszych wartowników.

- A jacy są?

- Zaraz, kto przejmuje kontrolę po nas? - Goodblood uniósł na moment wzrok. - Anglicy. Teraz oni pilnują więzienia.

- I wysłali tam swoich wartowników?

- Oczywiście.

- Ale, na miłość boską, przecież Hess jest w szpitalu!

- Fakt, lecz Spandau musi mieć zawsze pełną obsadę. Również przy bramie i na wieżach. Pilnują pustego więzienia.

- Idiotyzm.

- Zgadzam się. Ale Rosjanie nalegali. Rozumie pan już, dlaczego uważam pański projekt za szaleństwo?

- Czy są tam jeszcze pańscy ludzie z ekipy śledczej?

- Tak.

- Możemy więc wejść jako członkowie tej grupy. - Goodblood popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Anglicy zgodzą się na to, panie pułkowniku. - Strang poczuł na sobie jego pełen niedowierzania i ironii wzrok. - Poprosi pan ich o pozwolenie?

Postawa Goodblooda wcale go nie zaskoczyła. Zresztą, nie miał mu jej za złe. Jego plan był dziełem desperata, ale usprawiedliwiały go zajścia ostatnich kilku dni.

- Nie pójdą na to. Pomyślą, że straciłem rozum.

- Proszę, niech pan nie odmawia.

Pułkownik siedział nieporuszony ze ściągniętą twarzą.

- Co jest łatwiejsze, panie pułkowniku: wejść do Spandau i wykonać robotę, czy wpuścić tam Hessa z nadzieją, że zamach na jego życie się nie powtórzy? Oto dwie alternatywy. Lecz jeśli zginie, zacznie się szamotanina z Moskwą o to, czy mają prawo wysłać swoje wojsko, aby strzegło pustego więzienia.

Bardzo powoli, jakby nieświadomie, Goodblood kiwnął głową. Zaczynał rozumieć konsekwencje śmierci Hessa.

- Cóż, w takim razie spróbuję. - Sięgnął po telefon. - Zadzwońię do brytyjskiego dyrektora Spandau.

- Niech pan go tu ściągnie. Przez telefon może się nie zgodzić. - Poczul ulgę, że Goodblood dał się namówić.

W przeciwnym razie, poszedłby wprost do generała Bensona, albo nawet poleciałby do Waszyngtonu.

- No dobrze. Zaproszę go tu. - Goodblood połączył się z więzieniem i poprosił Brytyjczyka do aparatu. Po chwili odłożył słuchawkę. - Wszyscy dyrektorzy są w szpitalu u Hessa.

- Niech pan tam zadzwoni, panie pułkowniku. - Cholera, widział, że Goodblood podchodzi do dzieła bez entuzjazmu.

- Porozmawiam z pułkownikiem McCubbinem. To amerykański dyrektor Spandau. Niech pogada ze swoim angielskim kolegą i sprowadzi go tutaj.

Goodblood nakręcił numer szpitala i poprosił do telefonu McCubbina.

- Dzień dobry, pułkowniku. Mówi Goodblood z misji. U mnie w porządku, a u pana? To dobrze. Mam pewną sprawę do pułkownika Dampiera. Nie, to nie na telefon. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciał pan przyprowadzić go tutaj. Niech mu pan powie, że sprawa jest pilna i bardzo ważna. Jak długo jeszcze zostają panowie w szpitalu? Świetnie. Doskonale. Będę panu niezmiernie zobowiązany. - W wyraźną ulgą Goodblood skończył rozmowę. - Przywiezie go tutaj za kilkanaście minut. Był zaintrygowany.

- Nie zawiedzie się, żeby tylko przyjechali.

Zjawili się po dwudziestu minutach. McCubbin był gruby, miał czerwoną twarz o niemal liliowych policzkach i niski głos. Przypominał dobrodusznego komiwojażera.

Dampier był przeciwieństwem McCubbina, wysokim, chudym, blondynem. Jego brwi były tak jasne, że prawie niewidoczne. Miał bladobłękitne, świdrujące oczy. Na mundurze nosił dwa rzędy baretek, nie rozstawał się również ze skórzaną szpicrutą.

- To pomysł pana Stranga, pułkowniku Dampier - odezwał się Goodblood. - Najlepiej będzie, jeśli sam powie, o co chodzi.

Dampier przeniósł spojrzenie na Stranga. Podobnie jak McCubbin, z niesmakiem przestudiował jego sztruksową marynarkę i fularową, wzorzystą apaszkę. Nawykł do krytycznego postrzegania. Strang pomyślał, że niełatwo będzie go przekonać.

- W zeszłym tygodniu, z biura adwokat Hessa, Karin Hartmann, skradziono dokument. Leżał tam w sejfie od czterdziestego szóstego roku. Hess przekazał go ojcu panny Hartmann, który bronił go w Norymberdze, z prośbą o ujawnienie treści po jego śmierci. Przez wiele lat

dokument spoczywał spokojnie w sejfie, ale w ubiegłym tygodniu został skradziony. Dziś rano przeszukaliśmy biuro i mieszkanie panny Hartmann. W obydwu miejscach były miniaturowe nadajniki podsłuchowe. Jestem pewien, że ktoś zainstalował je, aby dowiedzieć się czegoś o dokumencie Hessa. Powstaje pytanie: dlaczego dopiero teraz, po tylu latach? Powiedziała mi, że Hess wspomniał jej o kopercie, kiedy odwiedziła go w więzieniu cztery miesiące temu. Sądzę, że ktoś słyszał ich rozmowę.

- W pomieszczeniu, oczywiście, byli strażnicy. - Dampier mówił ciekawym, piskliwym głosem, wyrzucając z siebie krótkie frazy.

- Dwóch, jak twierdzi panna Hartmann.

- Właśnie. Są tam po to, żeby słuchać rozmów Hessa z odwiedzającymi.

- Wiem, panie pułkowniku.

- Implikuje pan, że któryś z nich przekazał treść słów Hessa komuś z zewnątrz?

- Według niej, żaden ze strażników nie słyszał tego fragmentu rozmowy. Hess mówił o dokumencie ściszym głosem i bardzo szybko. Panna Hartmann uważa, że strażnicy nie mogli niczego usłyszeć.

- Więc co pan sugeruje? - Dampier powoli założył nogę na nogę. Szpicrutę trzymał oburącz, opartą na udzie.

- W pomieszczeniu, w którym odbywają się widzenia musi być podsłuch.

Dampier chwycił mocniej szpicrutę i wygiął ją w pałąk. - O Jezu! - McCubbin zahuczał nerwowym śmiechem. Przeniósł wzrok na Goodblooda, lecz ten obserwował Dampiera.

- Po co? - spytał ostro Anglik. - Po co ktoś ukrywałby tam nadajnik?

- Aby słyszeć, o czym Hess rozmawia z gośćmi z zewnątrz - odparł Strang. - Nie widzę innego wytłumaczenia.

- A jakież to rewelacje spodziewał się usłyszeć?

- Powiedział coś w styczniu i jestem pewien, że właśnie dlatego podłożono pluskwy u jego adwokata oraz skradziono dokument.

- Wie pan, co on zawiera?

- Nie. Nie mam również najmniejszego pojęcia, kto i dlaczego dokonał kradzieży. Nie wątpię jednak, że ci sami ludzie próbowali zgłodzić Hessa, na wypadek, gdyby pamiętał treść dokumentu.

Dampier uderzał się lekko w udo. Odwrócił się do Goodblooda.

- Jaka jest pańska opinia, pułkowniku? Jest podsłuch, czy nie?

- Nie można wykluczyć.

Strang zdumiał się. Głos Goodblooda pozbawiony był już sceptycyzmu i ironii sprzed czterdziestu minut, kiedy rozmawiali o tym bez świadków. Instykt tropiciela odpowiedział mu, żeby udzielić poparcia wywodowi Stranga. A może po prostu zadziałała tu zawodowa solidarność.

- Myśli pan, że warto przeszukać salę spotkań? - spytał Dampier.

- Jeśli pan Strang ma rację, to na pewno tak - odparł Goodblood. - Znalezienie nadajnika może pomóc w wykryciu trucicieli.

- Czy tę robotę wykonaliby pańscy ludzie, którzy prowadzą śledztwo w Spandau?

- Nie, wysłałbym dodatkową ekipę i dołączyłbym ją do tamtej.

- Rosjanie nie zgodzą się. - Dampier wciąż postukiwał szpicrutą w udo. - Nie ma mowy.

- A czy muszą o tym wiedzieć, panie pułkowniku? - wtrącił się Strang. Dampier rzucił mu ostre spojrzenie.

- Radziecki członek dyirekcji pozostanie w szpitalu aż do wieczora - stwierdził McCubbin. - Pilnuje przygotowań do przeprowadzki Hessa. - Widać było, że popiera projekt Stranga.

- Ilu radzieckich strażników jest teraz w Spandau? - spytał Strang.

- Tylko trzech. Reszta pilnuje szpitala. Wysyłamy tam strażników na zmianę, aby zapewnić Hessowi pełne bezpieczeństwo przez całą dobę. Ci, którzy zostają w Spandau strasznie się nudzą.

- Czy dałoby się odwrócić uwagę Rosjan od sali spotkań na jakąś godzinę? - Strang zwrócił się do Dampiera.

- Tak, dało by się. Czemu nie. - Rozważał coś w myślach przez chwilę, po czym spojrzał na Goodblooda. - Kiedy pańscy ludzie mogą być na miejscu? - Strzelił prosto z mostu.

- W ciągu godziny.

- Czy obydwaj panowie również chcą w tym uczestniczyć? Strang dał znak Goodbloodowi, który odpowiedział:

- Tak. My dwaj i jeszcze dwóch moich ludzi.

- W porządku. - Dampier dziarsko kiwnął głową. - Dobrze. Zrobimy tak: jeden strażnik zawsze stoi przy bramie, razem z żołnierzami. To nie będzie Rosjanin. Powiem mu, żeby panów oczekiwał i prosiłbym, aby pan, pułkowniku, wysiadł i podał mu do sprawdzenia legitymację. Pułkownik McCubbin i ja będziemy pilnowali, żeby żaden Rosjanin nie zbliżał się do sali, gdy będziecie wykonywali swoją robotę. To zresztą mało prawdopodobne, bo

przez ostatni tydzień siedzą głównie w swojej kwaterze. Jakby któryś kierował się w waszą stronę, postaramy się odwrócić jego uwagę. - Wykonał ostatnie, silniejsze uderzenie szpicrutą w udo. - Będę się zbierał, a panowie niech wszystko przygotują. A właśnie, lepiej, żeby pańscy ludzie założyli cywilne ubrania. Tak samo wygląda wasza ekipa śledcza w Spandau. Nie będziecie się rzucać w oczy, zwłaszcza Rosjanom.

- Zastosujemy się - odparł Goodblood. Dampier spojrział na marynarkę i apaszkę Stranga.

- Ten pan nie musi się przebierać. Już teraz wygląda bardzo po cywilnemu. - Wstał i wyprostowany wsunął szpicrutę pod lewą pachę. - Idzie pan, pułkowniku? - rzucił w stronę McCubbina.

McCubbin z wysiłkiem podniósł się na nogi.

Rozdział 33

Pojechali we czterech: Goodblood i Strang zajęli miejsca z tyłu, a przed nimi siedziało dwóch specjalistów ze sprzętem do wykrywania podsłuchu. Samochód należał do misji, lecz nie był oznakowany.

Skreśli z Wilhelmstrasse na wybrukowany kocimi łbami podjazd do więzienia. Kierowca zatrzymał auto o dwa kroki przed zieloną bramą, osadzoną w wysokim murze.

Goodblood wysiadł i nacisnął guzik dzwonka, wyciągając z kieszeni legitymację. W bramie było małe, kwadratowe okienko. Po chwili ktoś odsunął drzwiczki i za kratą pokazała się twarz może pięćdziesięcioletniego strażnika.

- O co chodzi? - spytał z amerykańskim akcentem.

- Jestem pułkownik Goodblood. - Uniósł przed oczy strażnika swoją legitymację. Tamten spojrział na fotografię, potem na Goodblooda, porównując zdjęcie z oryginałem.

- W porządku, panie pułkowniku. Chciałbym zobaczyć, ilu ludzi jest z panem.

Goodblood odsunął się od okienka.

- Razem czterech? - upewniał się strażnik.

- Tak.

- Zgadza się. Pułkownik Dampier uprzedził mnie o panów wizycie. Niech pan łaskawie wsiądzie do samochodu i powie kierowcy, żeby wjechał bardzo powoli i stanął zaraz za bramą.

Kiedy Goodblood zajął miejsce obok Stranga, skrzydła wielkiej bramy zaczęły się otwierać.

- Wjedź powoli i zatrzymaj się tuż za bramą, Jordan.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Pojazd wtoczył się na teren więzienia i stanął w krótkim, mrocznym tunelu o łukowatym sklepieniu. Brama zamknęła się za nim. Przed drugą bramą, u wylotu tunelu, stał land rover armii brytyjskiej.

Zbliżył się do nich strażnik w towarzystwie angielskiego porucznika, który zasalutował Goodbloodowi i spytał:

- Czy mogę sprawdzić dokumenty pozostałych panów, sir?

Strang i dwaj cywile pokazali swoje legitymacje, a oficer ze strażnikiem dokonali szybkiej identyfikacji. Po chwili strażnik skinął głową. Porucznik zrobił krok do tyłu i strzeliwszy obcasami ponownie zasalutował.

- Wszystko w porządku, sir. - Pokazał w stronę land rovera. - Kiedy tamta brama otworzy się, proszę jechać za moim pojazdem.

Kierowca Goodblooda dał znak, że zrozumiał. Strażnik nie zapisał ich wjazdu w dzienniku. Dampier rozkazał, aby nie było żadnego śladu ich wizyty, który Rosjanie mogliby odkryć. Nadał więc po prostu zakodowany sygnał do otwarcia wewnętrznej bramy.

Brytyjski porucznik zasiadł za kierownicą land rovera i gdy przejazd był już wolny, ruszył. Odwracając się na moment zobaczył, że Amerykanie jadą za nim. Wynurzyli się z tunelu, obok uzbrojonej obsługi wewnętrznej bramy, i jeden za drugim pokonali dziedziniec, stając przed wejściem do budynku administracji.

Wysiedli. Porucznik poprowadził ich do środka i dalej, wysokim korytarzem aż do niewielkiego pomieszczenia, w którym stali rozmawiając Dampier i McCubbin. Ludzie Goodblooda wnieśli swoje walizeczki z ekwipunkiem.

Porucznik wyprężył się służbiście oddając honory.

- Pułkownik Goodblood i towarzyszący mu panowie, sir.

- Świetnie, że pan już jest. Dziękuję, poruczniku. - Dampier odsalutował mu elegancko, płynnym ruchem podnosząc dłoń do prawej brwi. - Może pan odejść.

- Tak jest, sir.

- A wiec do roboty - odezwał się ponownie Dampier, gdy porucznik zamknął za sobą drzwi. - Zaraz zaprowadzę panów do sali, w której odbywają się widzenia. - Podniósł z biurka szpicrutę i spojrzał na McCubbina. - Niech pan zajmie pozycję w korytarzu i postara się zatrzymać rozmowę Rosjanina, który przypadkowo może znaleźć się w pobliżu.

- Zajmę się tym. - McCubbin uśmiechnął się do Goodblooda i Stranga. - Życzę panom powodzenia.

Dampier odczekał minutę po jego wyjściu i zdecydowanym ruchem umieścił szpicrutę pod pachą, trzymając lekko za koniec.

- Idziemy.

Ruszyli za nim korytarzem do sali odwiedzin. Pomieszczenie było małe, o gołych ścianach, których dolna połowa miała kolor zielony, a górna kremowy. Sufit był biały. W jednej ze ścian znajdował się duży, kwadratowy otwór, pod którego dolną krawędzią wmurowano w ścianę wąski stolik. Po obu jego stronach, przy ścianie stały dwa krzesła. Nieco z boku był drugi stolik, z miejscem dla strażnika, który w czasie odwiedzin przysłuchiwał się rozmowie.

Strang wsadził głowę w otwór. Po drugiej stronie znajdowała się dokładna kopia pierwszego pomieszczenia: identycznie ustawiony stolik, dwa krzesła oraz miejsce dla strażnika. W głębi zobaczył drzwi, przez które wprowadzano Hessa.

Dampier przeleciał szpicrutą po obwodzie otworu.

- Kiedyś była tu metalowa siatka, ale zdjęto ją przed wielu laty. Teraz jedynie stoliki oddzielają więźnia od gościa.

Goodblood rozejrzył się uważnie po obydwu częściach sali.

- Niewiele tu miejsc na ukrycie nadajnika - powiedział do Stranga wyjąwszy głowę z otworu. - Gdzie pan proponuje zacząć?

- Jeśli podłożono pluskwę, to tylko tutaj. - Zatoczył ręką krąg, obejmujący okienko w ścianie i wmurowane pod nim stoliki.

- Dobrze. - Goodblood kiwnął na dwóch cywili. - Startujcie od tego miejsca - stuknął w stoliki.

Stojąc z boku patrzyli, jak jeden z techników przesuwając antenę detektora nad stolikiem. Drugi, ze słuchawkami, czekał na sygnał retransmitowany przez ukryty nadajnik.

Już po chwili, gdy antena omiatała z góry na dół bok stolika, operator nachylił się, nasłuchując intensywnie.

- Coś tu jest - powiedział cicho i pokręcił lekko gałką strojenia.

Antena wjechała pod blat.

- Tutaj - stwierdził zdecydowanie. Jego partner zajrzał pod stół.

- Zdaje się, że znalazłem. - Odłożył detektor, przyklęknął i obiema rękami sięgnął głębiej. - Mam. - Jego głos zadudnił spod stołu. Po chwili szarpnął mocniej i stanął przed nim trzymając nadajnik z małą antenką. Podał go Goodbloodowi.

- Niech mnie...! - zagrział Dampier.

- W pełni podzielam - przytaknął Goodblood. - Miał pan rację, Strang.

Nie odpowiedział. Nadajnik znajdował się dokładnie pod Hessem, gdy nachylił się do Karin Hartmann i szeptał o kopercie.

- Made in USA - rzekł Goodblood wrywając drucik anteny z nadajnika. Dampier natychmiast przeniósł na niego wzrok.

- Tak jak te, które znaleźliśmy dziś rano - dodał Strang. Transmitter miał spory zasięg: jego sygnał można było odbierać w promieniu kilkuset metrów.

- Nic więcej nie słyszę, sir - odezwał się operator.

- Niech pan sprawdzi dokładnie - rzekł Goodblood. - Musimy mieć pewność.

Strang wiedział, że to zbędne. Chodziło przecież tylko o podsłuchiwanie słów Hessa w czasie widzeń.

Antena omiotła resztę pokoju, krawędzie otworu oraz drugie pomieszczenie. Bez rezultatu. Wrócili do gabinetu Dampiera, po czym Goodblood odesłał swoich techników do samochodu.

- Zawiadomię pułkownika McCubbina, że już po wszystkim - powiedział Dampier. - Jedną chwileczkę. - Wyszedł dziarskim krokiem na korytarz.

- Co pan o tym myśli? - Goodblood obracał w dłoni nadajnik. - Kto, do cholery, mógł go tam wsadzić? - ściszył głos, jakby urządzenie było w stanie podsłuchiwać ich rozmowę.

Strang w zamyśleniu patrzył na pluskwę. Nie miał wątpliwości, czyja to była robota. Już nie. Ale jeszcze mnóstwo pytań pozostawało bez odpowiedzi. Wskazał głową drzwi.

- Powinniśmy chyba poprosić ich o pomoc. McCubbina i Dampiera.

- Mam nadzieję, że potrafią.

- Ale nie tutaj. W naszej misji. - Strang omiół wzrokiem biuro. - Tutaj nie ma pewności, kto słucha naszej rozmowy.

Wątpił, żeby u Dampiera również był podsłuch, ale czuł się trochę nieswojo.

- Powiem im.

Weszli Dampier z McCubbinem. Mieli uroczyste miny.

- To poważna sprawa, panowie - odezwał się McCubbin.

- Tak. - Goodblood zatoczył ręką koło. Zniżył głos. - Chcielibyśmy z panami porozmawiać, ale w naszej misji.

- Rozumiem. - Dampier rozejrzał się po ścianach. - Czy teraz?

- Jeśli to nie sprawi różnicy...

- Oczywiście. Weźmiemy mój samochód - powiedział do McCubbina.

Pojechali za samochodem Goodblooda do misji. Na miejscu udali się do jego gabinetu.

- Czy sądzi pan, że w Spandau może być więcej ukrytych nadajników? - spytał Dampier. Przez całą drogę ta sprawa nie dawała mu spokoju.

- Raczej nie - odparł Strang. - Ktoś chciał słyszeć, o czym Hess rozmawia z odwiedzającymi. Dlatego podsłuch założono pod stołem w sali, gdzie odbywają się widzenia.

- Jak pan myśli, kto zostawił tę pluskwę?

- Mam nadzieję, że właśnie panowie pomogą nam wyjaśnić tę kwestię.

- Naturalnie - powiedział Dampier. - Niech pan pyta.

- Czy strażnicy mają wstęp do tej sali bez ograniczeń?

- Tak. - Dampier oparł koniec szpicruty na skrzyżowanym kolanie. - Teoretycznie każdy z nich mógł wślizgnąć się tam i zostawić pluskwę. Ma pan na myśli jakąś konkretną grupę? Francuzów, a może Rosjan?

- Niekoniecznie, panie pułkowniku. Każdego można kupić. Tak jak Lichtiego.

Dampier uderzał się lekko w kolano. Niezbyt podobała mu się sugestia, że przekupionym mógł być któryś z Brytyjczyków.

- Miał tam dostęp każdy z pracowników, na przykład sprzątacze. Trudno w to uwierzyć, bo większość z nich pracuje tam od lat. Są lojalni, prawda pułkowniku?

- Jak najbardziej - zgodził się McCubbin.

- Czy pod koniec zeszłego roku nie przybył nikt z personelu?

- Nie - zdecydowanie powiedział Dampier. - Nie było żadnych zmian od wielu lat.

- A wartownicy? Czy zawsze są to ci sami ludzie?

- Oficerowie i podoficerowie z reguły tak. Znają dobrze specyfikę tej służby, więc cztery mocarstwa starają się nie zmieniać już wypróbowanych w tych warunkach dowódców. Szeregowi żołnierze, oczywiście, nie zawsze są ci sami. Musi pan jednak zrozumieć... - Dampier wycelował w Stranga szpicrutą i opuścił ją, gdy Strang na nią spojrział. - Żaden z wartowników nie pełni służby wewnątrz budynku więzienia, więc nie miałby uzasadnionego powodu, żeby tam wchodzić. Ich obowiązki ograniczają się do ochrony na zewnątrz: przy bramie oraz na wieżach.

- Czy wejście jednego z nich do środka i podłożenie nadajnika byłoby niemożliwe? - spytał Strang.

- Możliwe, lecz wysoce ryzykowne. Musiałby jakoś usprawiedliwić swoją obecność, gdyby ktoś go zobaczył.

McCubbin wyciągnął rękę w stronę Dampiera. - Chwileczkę, pułkowniku. Coś przecież było, pamięta pan? Czy nie chodziło o radzieckiego oficera?

Dampier zmarszczył brwi.

- Tak. - Uderzył szpicrutą w otwartą dłoń. - Przypominam sobie. Chyba w listopadzie zeszłego roku.

- Właśnie - potwierdził McCubbin.

- Co to było? - Strang zdziwił się jak spokojnie brzmiał jego własny głos. Siedział jak na szpilkach, czuł nadszarpnięcie przełom.

- Po budynku administracji spacerował radziecki oficer, dowódca ich straży. Zauważył go jeden ze strażników, zdaje się, że Francuz.

- Tak jest - potwierdził McCubbin.

- Meldunek o tym wpłynął do dyrekcji, ale uznaliśmy, że sprawa jest bez znaczenia. Oficer był nowy, więc radziecki dyrektor nakazał mu, by więcej tego nie robił.

- Oficer był nowy? - spytał Strang. - Pojawił się tam po raz pierwszy w listopadzie?

- Pierwszy i ostatni. Przez ostatnie dwa lata radzieckimi żołnierzami dowodził kapitan Sobennikow. Równy facet. W marcu radziecka warta zjawiała się ponownie pod jego komendą.

- Kim był oficer, który zastąpił go w listopadzie? - Dampier chrząknął, trochę zniecierpliwiony.

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie.

- Pamięta pan, pułkowniku, czy nie? - Nie miało to wielkiego znaczenia, ale postanowił podrażnić się trochę z Dampierem.

- Niestety. - Anglik trzepnął się szpicrutą w udo. - Może pan?

- Nie - McCubbin pokręcił głową. - Rozmawiałem z nim tylko raz, a raczej próbowałem rozmawiać. Nie znał angielskiego zbyt dobrze. Ale jego nazwisko znajdziemy w więziennych kartotekach.

- A ten Sobennikow dowodził ich wartą od dwóch lat?

- Tak - odrzekł Dampier. - Nawet trochę dłużej.

- Bez przerw na urlop, czy z jakichś innych powodów?

- Zazwyczaj żołnierze dostają urlop w miesiącach, gdy nie pełnią akurat służby w Spandau. Nie jest to trudne, gdyż bywają tam tylko przez jeden miesiąc na cztery.

- Czy ktoś pytał Sobennikowa o powód jego absencji w listopadzie?

- Ja go pytałem - powiedział McCubbin. - Wyjaśnił mi, że został wezwany do Moskwy. Chodziło chyba o jakiś kurs dla dowódców, ale nie jestem pewien. Zresztą nie dopytywałem się. Czy widzi pan w tym coś dziwnego, panie Strang?

- To zastanawiające. - Spojrzał na Goodblooda. - Zgodzi się pan ze mną, pułkowniku?

- Nie zaprzeczę.

* * *

Kiedy Dampier i McCubbin wyszli, Goodblood zapytał:

- Myśli pan, że nadajnik został ukryty przez tego radzieckiego kapitana?

- Założę się o wszystko. Nie wiem, dlaczego zrobiono to dopiero w listopadzie, a nie trzydzieści lat temu, ale nie mam wątpliwości, że to on.

- Chcieli podsłuchiwać, o czym Hess rozmawia z odwiedzającymi?

- Panie pułkowniku, tylko wtedy Hess mógł zdradzić jakąś tajemnicę: w czasie prywatnej rozmowy z kimś z zewnątrz. Rosjanie dowiedzieli się o dokumencie i zechcieli go przejąć, nacjonaści nie mieli z całą aferą nic wspólnego, poza faktem, że kradli dokument, gdy otrzymali cynk od Rossa. Ich udział ogranicza się do paru godzin. Od samego początku za wszystkimi stali Rosjanie. To oni wynajęli Lichtiego, zabili go, zabili też pozostałych. Bardzo chcieli zdobyć ten dokument.

- I według pana to właśnie oni próbowali otruć Hessa?

Strang skinął głową.

- Ale, na miłość boską, dlaczego? Przecież Moskwa pragnie, aby żył jak najdłużej.

- Zgadza się z panem, że to nie ma sensu. Ale nikt inny, tylko oni w końcu przechwycili dokument i chcieli zabić Hessa w obawie, że jeszcze pamięta jego treść.

- Nic nie rozumiem. Co może być dla Rosjan ważniejsze niż utrzymanie Hessa przy życiu w Spandau? Dlaczego poszli na takie ryzyko, aby nie ujawnić zawartości dokumentu?

- Myślę, że jest w nim coś o przedwojennej działalności Hessa, z początków trzydziestego dziewiątego roku. Coś o grupie radzieckich oficerów, którzy pracowali dla niemieckiego wywiadu. To jest właśnie owa wielka tajemnica Rudolfa Hessa, panie pułkowniku.

Rozdział 34

Goodblood nie miał ochoty, ale Strang przekonał go, że warto spróbować. Musieli sprawdzić, czy istniała choćby najmniejsza szansa poznania prawdy, dowiedzenia się, co skłoniło Moskwę do podjęcia tak ryzykownych operacji.

- Nie wierzę psychiatrom - mówił Goodblood. - Nie mam do nich za grosz zaufania. Bóg mi świadkiem, że to nie wynika z jakichś osobistych doświadczeń, ale po prostu ich nie lubię. I uważam, że rozmowa z nim to strata czasu.

- Ja również nie darzę ich specjalną sympatią, panie pułkowniku, ale powinniśmy chyba porozmawiać z Edisonem. W zeszłym tygodniu, gdy podejrzewaliśmy Hessa o próbę samobójstwa, Edison był przeciwnego zdania. Miał rację. Teraz też może nam powiedzieć coś ciekawego, w każdym razie, chciałbym go wysłuchać.

Goodblood patrzył na niego sceptycznie.

- To ważne, pułkowniku. Zbyt ważne, by pominąć szansę, jeśli takowa istnieje.

W końcu Goodblood dał się namówić. Teraz, gdy siedzieli w gabinecie Edisona, na twarzy Goodblooda wciąż malowało się powątpiewanie, którym jednak lekarz wcale się nie przejmował.

- Chcielibyśmy wiedzieć, kapitanie, czy Hess może to jeszcze pamiętać.

Edison odchylił się, splatając dłonie z tyłu głowy.

- Mówi pan, że dokument powstał w czterdziestym szóstym?

- Wtedy przekazał go swojemu obrońcy. Napisany został chyba w Norymberdze. W przeciwnym wypadku znaleziono by go przy nim przed procesem.

- I dotyczy wydarzeń z trzydziestego dziewiątego?

- Tak.

Edison nabrał głęboko powietrza i pogładził wąsy. Nie miał na sobie marynarki od munduru i gdy wchodzili, Goodblood obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. Nie aprobował jego podwiniętych rękawów, zdjętego krawata i rozpiętego kołnierza koszuli.

- Jeśli napisał to w Norymberdze, powinien jeszcze pamiętać treść - powiedział Edison.

Strang widział, że Goodblood będzie kwestionował wszelkie jego wywody i pozostanie nieprzekonany. Edison oparł kolano o krawędź biurka i kołysał się na krześle.

- Na początku czterdziestego pierwszego Hess zaczął narzekać na amnezję. Był wtedy już od pół roku w Anglii. Więc jeśli pamiętał coś pięć lat później, równie dobrze może pamiętać i teraz.

- Wspomniał o dokumencie swojej adwokat cztery miesiące temu - odezwał się Strang.

Edison przestał się bujać.

- Naprawdę? Co jej powiedział?

- Tylko spytał, czy wciąż go przechowuje...

- Mówił coś o zawartości?

- Nie. Chciał wiedzieć, czy ma kopertę, którą wręczył jej ojcu w Norymberdze.

- To wszystko?

Strang potwierdził.

- Wystarczy. - Edison ponownie uruchomił kolano. - Nie ma wątpliwości, że pamięta nie tylko dokument, ale i jego treść.

- Po trzydziestu latach, kapitanie? - Goodblood potarł oko, gotów roześmiać się w każdej chwili.

- Tak, panie pułkowniku. - Edison wyczuł ironię w pytaniu, lecz nie zmieniając pozycji, uśmiechnął się tylko lekko. - Jeśli po trzydziestu latach nie zapomniał o jego istnieniu, to z pewnością pamięta, co w nim napisał.

- W takim razie proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie.

- Słucham, panie pułkowniku.

- Jeśli dokument opisuje jakieś wydarzenia sprzed wojny, jakże mógł o nich pisać w Norymberdze, skoro stracił pamięć w czterdziestym pierwszym?

Jakby oczekiwał tego pytania, Edison pokiwał głową, opuścił stopy na podłogę i oparł ręce na biurku, przyjmując oficjalną postawę.

- W zeszłym tygodniu, gdy rozmawialiśmy o Hessie z panem Strangiem, wyraziłem opinię, że większość jego psychologicznych problemów była wyssana z palca. Cała ta amnezja, o ile nie jest wytworem jego wyobraźni, wydaje się być bardzo selektywna.

- Naprawdę, pan tak myśli?

- Owszem, panie pułkowniku. On postanowił zapomnieć to, co chciał. Bardzo mu z tym wygodnie. Ale resztę z pewnością pamięta. Z relacji panów wynika, że ów dokument przechowuje w swojej pamięci bardzo pieczołowicie.

- Czy nie zechciałby o nim porozmawiać? - Gdy tylko Strang wypowiedział to pytanie, dojrzał kącikiem oka, jak Goodblood odwraca się gwałtownie w jego stronę. Poczul na sobie jego przeszywający wzrok. Mimo to, dodał: - Czy byłby skłonny zdradzić, co zawiera dokument?

- Ciężka sprawa. Chyba niełatwo byłoby go do tego namówić.

- Dlaczego?

- Przez wiele lat miał wystarczająco silną motywację, by nikomu nie wyznać prawdy o dokumencie, a jednocześnie nie zapomnieć, co w nim jest. Jeśli, jak twierdzi jego adwokat, pragnął ujawnienia jego treści po swojej śmierci, tym bardziej musiał o nim pamiętać. Cały czas. Nie domyśla się pan, jakiego rodzaju ważne informacje zawiera?

- Ma chyba związek z grupą starszych oficerów Armii Czerwonej, którzy pracowali dla wywiadu niemieckiego w czasie wojny. Hess osobiście zwerbował kilku z nich w trzydziestym dziewiątym.

Edison wysunął dolną wargę, sięgając nią do swoich jasnych wąsów.

- Ho, ho - odezwał się cicho. - Przekonać go, żeby coś o tym powiedział będzie trudno. Nawet bardzo trudno.

Strang ciągle czuł na sobie badawcze spojrzenie Goodblooda.

- Czemuż to?

- No cóż, to czysta spekulacja, ale podejrzewam, że w Norymberdze liczył się z wyrokiem śmierci i dlatego prosił o ujawnienie dokumentu po egzekucji. Czuł, że Rosjanie dążą do takiego werdyktu i chciał się na nich zemścić. To był jego motyw. Dokument dotyczący radzieckich szpiegów, w dodatku starszych oficerów, zadziałałby w Moskwie jak prawdziwa bomba. Zwłaszcza wtedy.

- Dzisiaj również - dodał Strang.

- Z pewnością. Hess także musi zdawać sobie z tego sprawę, dlatego chyba nie będzie chciał rozmawiać. Weźmy pod uwagę jego psychikę: ma silną osobowość, jest też bardzo dumny. Pała żądzą zemsty na Rosjanach, odpowiedzialnych za jego dożywotnią odsiadkę. Nienawidzi ich. Żyje tylko po to, by się zemścić.

- A więc myśli pan, że nie będzie skłonny do zwierzeń?

- Przez trzydzieści lat miał silny powód, żeby milczeć. Musiałby pan dać mu równie silną motywację, aby przemówił.

* * *

Kiedy zjeżdżali windą, Goodblood nie odzywał się. Podobnie, gdy szli przez hall, obok salutujących żandarmów. Strang czekał na to, że w końcu wydusi z siebie, o czym tak intensywnie myślał przez ostatnie dziesięć minut wizyty u Edisona.

Wyszli na zewnątrz i ruszyli wzdłuż budynku szpitala. Po drodze minęli jeszcze dwóch żandarmów, którym Goodblood odsalutował niecierpliwie. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim samochodzie, bez chwili zwłoki. To było widać.

Za szpitalem przeszli obok rzędu zaparkowanych pojazdów. Goodblood usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi, natychmiast też odwrócił się w bok, opierając jedną rękę na kierownicy a drugą na oparciu fotela.

- No dobra, o co panu chodziło?

- Nie rozumiem, panie pułkowniku.

- Niech pan nie zgrywa wariata. Dlaczego pan pytał, czy Hess zechce mówić?

- Ponieważ mam zamiar z nim porozmawiać.

Goodblood spodziewał się takiej odpowiedzi, ale nawet teraz, gdy usłyszał ją z ust Stranga, nie mógł uwierzyć.

- Muszę to zrobić, panie pułkowniku.

- Pan postradał rozum. Rosjanie nigdy nie pozwolą, żeby pan go odwiedził w Spandau.

- Tutaj. - Strang pokazał ruchem głowy na szpital. - Tutaj mogę z nim porozmawiać.

- Przecież pilnują go także radzieccy strażnicy i to nie gorzej niż w więzieniu. Nie dopuszczą pana w pobliże jego pokoju.

- A jednak, panie pułkowniku. Mam plan.

- Nie ma, do cholery, czasu na żadne plany. Opuszcza szpital jutro rano. O ósmej zero zero zabierają go z powrotem do Spandau.

- Mimo to, można jeszcze coś zrobić. Powinniśmy przedyskutować tę sprawę z komendantem.

- Z generałem Bensonem? - Goodblood zsunął czapkę z czoła, patrząc na niego dziwnie. Odchylił się, aż tył czaszki oparł się o boczną szybę.

- Powiem mu o tym, czy pan chce, czy nie. Muszę porozmawiać z Hessem zanim wróci do więzienia. Przecież chodzi o wielką stawkę. Rosjanie zamordowali już sześciu ludzi, żeby zdobyć dokument, chcieli też uciszyć Hessa. Musimy poznać zawartość koperty, dowiedzieć się, za czym Rosjanie gonili z taką determinacją.

Do rezydencji komendanta dotarli wieczorem, gdyż Goodblood musiał koniecznie przebrać się w świeży mundur. Pojechali więc najpierw do jego domu. Cały czas Goodblood udawał Strangowi, jak bardzo pozbawiony sensu jest jego plan, jakie konsekwencje mogą wyniknąć, gdyby Rosjanie ich na tym przyłapali, a w końcu, co pomyśli sobie o nich poczciwy generał Benson.

Strang jednak uparł się. Powiedział, że nie będzie miał Goodbloodowi za złe, jeśli ten umyje ręce od całej sprawy, ale to i tak niczego nie zmieni. Goodblood nie musi się angażować, ani czuć winny, bo od początku to on, Strang, odpowiada za całą sprawę.

Goodblood postanowił jednak popsuć Strangowi szyki. Narzucił mu swoją obecność przy rozmowie z generałem Bensonem i wcale się nie krył, że idzie tam po to, aby zademonstrować Bensonowi swoją dezaprobatę. Strang zauważył u Goodblooda chęć pokazania się swojemu dowódcy, bez względu na okoliczności. Nie podobała mu się ta cecha, nigdy i u nikogo.

Kiedy zadzwonili do drzwi Bensona i czekali Strang zobaczył, jak Goodblood pieczołowicie poprawia swój wygląd: zacisnął mocniej węzeł krawata, obciągnął i wygładził poły mundurowej marynarki. „Żałosne”, pomyślał Strang.

Drzwi otworzył kapral i ujrzawszy Goodblooda stanął na baczność.

- Dobry wieczór, sir.

- Witam, kapralu. Przyjechaliśmy do pana generała.

- Tak jest, sir. Proszę do środka. Zaraz pójde po adiutanta.

Znaleźli się w sporym, kwadratowym hallu, po czym kapral wprowadził ich do poczekalni, nieco z boku.

- Już śpieszę po kapitana Wylie'a.

Strang oparł się plecami o marmurowy kominiek, a Goodblood zasiadł w fotelu. To było znamienne: gdy mógł usiąść, nigdy nie pozostawał w pozycji stojącej, zwłaszcza w towarzystwie mężczyzn znacznie wyższych od niego. Strang miał nadzieję, że pułkownik nie skomplikuje mu i tak trudnej rozmowy z Bensonem.

Wszedł kapitan Wylie i Goodblood przedstawił mu Stranga.

- W jakim celu chce się pan widzieć z generałem, panie Strang?

- To delikatna i bardzo pilna sprawa, kapitanie. Przykro mi, ale mogę o niej powiedzieć tylko generałowi.

- Mamy tu akurat dwóch senatorów z Waszyngtonu oraz naszego ambasadora w Bonn.

- Wylie spojrzął na zegarek. - Za kilka minut udają się na wspólną kolację. Szkoda, że pan wcześniej nie zadzwonił.

- To naprawdę delikatna sprawa. Nie nadaje się na rozmowę przez telefon.

- Od razu widać, że jest z CIA, prawda kapitanie? - zaśmiał się nerwowo Goodblood.

- Tak jest, sir. - Wylie ponownie sprawdził czas. - Zawiadomię generała o pańskiej prośbie, panie Strang. Może wyjdzie do pana na parę minut, zanim zacznie się kolacja.

- Mam nadzieję.

- Zaraz wracam, sir.

Kiedy wyszedł, Strang znowu stanął przy kominku, a Goodblood zajął swoje poprzednie miejsce w fotelu. Nie patrzyli na siebie, nie zmienili też ani słowa. Strang modlił się w duchu, żeby Benson wszedł do niego teraz. I tak będzie tu czekał do skutku, aż dostanie się przed oblicze generała.

Milczenie wydłużyło im czas oczekiwania, lecz nie minęło nawet pięć minut, gdy przez otwarte nagle drzwi wszedł Benson. Goodblood poderwał się.

- Dobry wieczór, sir. - Stanął na baczność.

- Jak się pan ma, pułkowniku.

Goodblood przedstawił mu Stranga.

- Myśmy się już kiedyś spotkali, prawda, parne Strang?

- Tak, sir. Mniej więcej rok temu.

- Moje kontakty z Agencją ograniczają się do sytuacji, gdy jesteśmy w kłopotach.

Wylie powiedział mi, że to pilna sprawa.

- Tak jest. Chcę porozmawiać z Hessem zanim wróci do Spandau.

Benson przyjął to spokojnie, bez widocznego zaskoczenia Powoli splótł dłonie na plecach.

- Pan, oczywiście, wie, że opuszcza szpital jutro o ósmej rano?

- Tak, sir.

- Dlaczego pan o to prosi?

Strang opowiedział mu o dokumencie i akcji, jaką podjęła Moskwa, żeby go przechwycić.

- Uważa pan, że on jeszcze pamięta, co w nim napisał? - Benson nie poddawał tego faktu w wątpliwość: po prostu ciekaw był, czy pamięć starca wciąż sprawnie funkcjonuje.

- Psychiatra ze szpitala, kapitan Edison, twierdzi, że tak.

Benson przyjrzał się uważnie Strangowi, po czym przeniósł wzrok na Goodblooda. Pułkownik zachowywał się, jakby widział Stranga po raz pierwszy w życiu.

- Rosjanie też chyba myślą, że pamięta, skoro próbowali go sprzątnąć - rzekł Benson.

- Zgadzam się z panem, sir.

- To musi być coś bardzo ważnego, jeśli zdecydowali się uciszyć Hessa na zawsze. Do tej pory byłem pewien, że daliby wszystko, byle tylko żył wiecznie. Aż trudno w to uwierzyć.

- Benson przeniósł wzrok na Goodblooda, czekając na potwierdzenie.

- Mnie również, sir - odparł pułkownik. Ani myślał patrzeć Strangowi w oczy.

- Ale takie są fakty, sir - powiedział ostro Strang rzucając Goodbloodowi nieprzyjazne spojrzenie. - Cała akcja wymagała szybkiego tempa i fantastycznej organizacji. Dotarli do tego człowieka w Nowym Jorku już następnego ranka po tym, jak otrzymał informację, której potrzebowali. Podśluch w sali odwiedzin w Spandau podłożył również Rosjanin, nie ma co do tego wątpliwości.

Benson skinął głową.

- Jestem gotów przyjąć pańską wersję za prawdę, panie Strang, i chciałbym panu pomóc, ale nie ma sposobu, żeby mógł pan dostać się do Hessa. Rosjanie się nie zgodzą.

- Trzeba to zrobić bez ich wiedzy, sir.

- Bardzo chętnie zrobiłbym to za plecami tych drani. Lecz zorganizowanie spotkania zabrałoby trochę czasu, którego nie mamy. Hess wraca do więzienia o ósmej rano i nic nie możemy na to poradzić.

- A jednak istnieje pewien sposób, sir.

- Ma pan na myśli jakiś konkretny plan, panie Strang?

- Tak.

- Słucham.

Środa 4 maja 1977

Rozdział 36

Dwaj uzbrojeni żołnierze amerykańscy stali u wylotu korytarza, który został odizolowany od reszty szpitala specjalnie dla Hessa. Na zewnątrz jego pokoju siedział jeszcze jeden żandarm z karabinem opartym na kolanach. Naprzeciwko były otwarte drzwi pomieszczenia dla strażników i jeden z nich, Francuz, spoczywał na krześle w przejściu i obserwował drzwi Hessa.

O szóstej dwadzieścia rano jedna z pielęgniarek wyznaczonych do opieki nad Hessem przeszła obok wartowników i ruszyła korytarzem do sali swojego pacjenta. Siedzący przy drzwiach żołnierz na jej widok powstał z uśmiechem, a ona odpowiedziała mu tym samym i zniknęła w środku, starannie zamykając za sobą drzwi.

Wartownik przeciągnął się leniwie i wrócił do pozycji siedzącej. Odchylając głowę do tyłu, oparł karabin na kolanach, gdy wtem z umieszczonych we wszystkich korytarzach głośników rozległo się buczenie, a zaraz potem zniekształcony głos wołającej kobiety. Wartownik nie mógł zrozumieć sensu słów, lecz wyprostował się i spojrzał w kierunku wylotu korytarza, gdzie stali żandarmi.

Głośniki zamilkły. W tej samej chwili do korytarza wbiegła grupa lekarzy i pielęgniarek. Pchali przed sobą wózek z noszami oraz stół z połyskującą aparaturą. Wartownik skoczył na równe nogi. Strażnik z przeciwka także wstał i wyjrzał na korytarz.

Jeden z lekarzy pchnął drzwi do pokoju Hessa, po czym cała grupa w białych kitlach pośpiesznie weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nimi automatycznie.

- Co się dzieje? - spytał strażnik.

- Nie wiem - odparł żołnierz. Mocniej chwycił karabin. Pilnujący wlotu korytarza żandarmi patrzyli na niego. Twarze wszystkich wyrażały pełne zaskoczenie.

Pojawił się drugi, angielski strażnik. Ziwnął szeroko.

- Co jest, Henri? - spytał zapinając koszulę. Zagadnięty wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Do Hessa właśnie weszło paru lekarzy. Anglik wybiegł na korytarz i energicznie zapukał do drzwi drugiej sypialni, naprzeciwko. Nie czekając na odpowiedź, wsadził głowę do środka.

- Coś się stało Hessowi! - zawołał. Po chwili w drzwiach pojawił się Rosjanin. Jedną rękę zdążył już włożyć w rękaw koszuli, drugą przytrzymał spodnie.

Wszyscy trzej strażnicy stanęli przed pokojem Hessa.

- O co tu chodzi? - odezwał się Rosjanin.

- Są u niego lekarze.

- Musimy tam wejść. - Rosjanin wepchnął koszulę w spodnie.

Anglik wyciągnął rękę.

- Chwileczkę! Teraz nie możemy. Nie wiemy, co z nim robią.

- Musimy zobaczyć.

Rosjanin zrobił krok w stronę drzwi, gdy te otworzyły się nagle. Hess leżał na noszach okryty kocem aż po szyję. Oczy miał zamknięte. Pozostały personel podążył za nimi, ciągnąc za sobą stół z aparaturą.

Rosjanin chciał ruszyć za nimi, gdy wtem z pokoju wybiegł jeszcze jeden lekarz. Rosjanin chwycił go za rękę.

- Co się stało?

- Zapaść. - Lekarz oswobodził ramię z uścisku.

- A co to takiego? On za półtorej godziny opuszcza szpital. Co to jest zapaść?

- Jego serce przestało bić! - Lekarz wyminął go i chciał biec dalej, kiedy Rosjanin znowu przytrzymał go za rękaw.

- Zaczekać.

Lekarzowi było już tego za wiele. Gwałtownie wyrwał się i spojrzał ostro na pozostałych strażników.

- Niech on mi zejdzie z drogi! Jeśli się nie pospieszymy, Hess wyjdzie ze szpitala, ale prosto na cmentarz. Przywróciliśmy akcję serca: teraz musimy utrzymać go przy życiu. - Wskazał kciukiem Rosjanina. - Wyjaśnijcie mu to i niech się trzyma ode mnie z daleka! - Odepchnął Rosjanina i popędził korytarzem. W chwilę potem zniknął za zakrętem.

Rosjanin skoczył do biura, lecz Anglik był tam pierwszy. Trzymał już w dłoni słuchawkę.

- Muszę zadzwonić do mojego dyrektora! - krzyknął Rosjanin. - Daj mi telefon!

- Najpierw ja, Sergiej.

Tamten chciał chwycić aparat, lecz Anglik przezornie uskoczył z nim do tyłu.

- Daj mi go! - Nie krzyczał już. Wrzeszczał.

- Po kolei! - Anglik trzymał telefon mocno przy ciele. - To nasz miesiąc i pułkownik Dampier dowie się o tym jako pierwszy.

- No dobrze, George. - Rosjanin nieco ochłonął. - Tylko się pospiesz.

Na końcu korytarza Hessa umieszczono w windzie, po czym zespół reanimacyjny zjechał z nim piętro niżej. W pośpiechu przewieziono go na oddział intensywnej terapii. Za podwójnymi drzwiami, które jeden z lekarzy zamknął na klucz, stali plecami do ściany czterej amerykańscy żandarmi.

Dwaj lekarze popchnęli nosze obok stołu operacyjnego i przez drugie drzwi wjechali nimi do niewielkiego magazynu.

Tu czekał Strang, który na widok Hessa natychmiast wstał. Hess, oparty na jednym łokciu rozglądał się naokoło. Jego niebieskie, głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami oczy były prawie niewidoczne.

- Nie było kłopotów? - spytał Strang lekarzy.

- Najmniejszych. Jeden ze strażników, chyba Rosjanin, trochę się zdenerwował. Ale nie było z nim większych problemów.

- Ile mam czasu?

- Och, przynajmniej godzinę. Jeśli to okaże się za mało, proszę dać mi znać. Będę na zewnątrz.

Obaj lekarze wyszli zamykając za sobą drzwi.

- Dlaczego tu jestem? - odezwał się Hess niskim głosem. Spuściwszy nogi w dół usiadł na noszach, ubrany był w spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę. Wygładził dłońmi białe włosy nad uszami.

- Herr Hess, nazywam się Strang, jestem z Misji Stanów Zjednoczonych. - Pokazał mu swoją legitymację. Hess obejrzał ją starannie. - Chciałbym z panem porozmawiać. Może tam będzie panu wygodniej? - Wskazał trzy krzesła stojące pod ścianą.

- Chyba tak. - Hess ostrożnie zsunął się na podłogę i podszedł do krzesła. - O czym chciał pan ze mną mówić?

- O dokumencie, który przekazał pan swojemu obrońcy w czterdziestym szóstym roku.

Hess przyjrzał mu się uważnie. Usiadł.

- Nie wiem o żadnym dokumencie. - Przysunął sobie drugie krzesło i z wysiłkiem uniósł nogi, by je na nim położyć. Odchylił się do tyłu, czujny i ostrożny. Oczy schowały się głęboko w cień pod gęstymi brwiami.

- Wspomniał pan o nim w styczniu. - Strang zajął miejsce naprzeciw Hessa. - W czasie rozmowy z panną Hartmann, gdy odwiedziła pana w Spandau.

- Nie, nie pamiętam - pokręcił głową. - Dlaczego sprowadził mnie pan tutaj, żeby zadać mi to pytanie?

Strang oparł dłonie na kolanach i pochylił się do niego.

- Herr Hess, to naprawdę bardzo ważne. Niech pan sobie przypomni.

Hess siedział wyprostowany ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Szczękę wysunął do przodu.

- Przenieśliśmy pana tutaj, by Rosjanie nie dowiedzieli się, że rozmawiamy. O ósmej rano ma pan być przewieziony do Spandau, jednak wcześniej musiałem dowiedzieć się czegoś o tym dokumencie.

Hess siedział w milczeniu. Nie patrzył w jego stronę.

- Herr Hess, wiem, że jest w nim coś, co może wywołać wielki skandal polityczny w Moskwie.

Twarz starca drgnęła. W kącikach jego ust pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Mam rację, prawda? - spytał Strang.

Hess odwrócił powoli głowę i spojrzał na niego.

- Tak, ma pan rację. Rosjanie będą musieli przełknąć bardzo gorzką pigułkę, ale nie mogę panu powiedzieć nic więcej. Wszystko odbędzie się po mojej śmierci i w ten sposób zemszczę się na nich. Gdyby nie oni, rządy mocarstw zachodnich już dawno wypuściłyby mnie na wolność. Ale Rosjanie mnie nienawidzą, ponieważ byłem zastępcą Hitlera. W Norymberdze domagali się dla mnie szubienicy, a teraz pilnują, żebym pozostał w więzieniu aż do śmierci. - Uderzył się dużym palcem w pierś. - Jestem człowiekiem osiemdziesięcioletnim, a u nich wciąż nie ma litości. - Z wyrazem uporu na twarzy ponownie skrzyżował ramiona. - Kiedy umrę, treść dokumentu zostanie ujawniona i dopełni się moja zemsta.

Strang widział u starca determinację i pewność siebie. Czuł się podle, że musiał rozwiązać jego plany.

- Herr Hess, pański dokument został skradziony - powiedział cicho.

Hess siedział przez chwilę nieruchomo.

- To nieprawda - odezwał się w końcu grubym głosem. - Niemożliwe.

- Niestety. Zrobili to Rosjanie.

Hess przyglądał się mu podejrzliwie wietrzając jakiś podstęp.

Strang wiedział, że szok będzie duży. Patrzył z niepokojem, jak Hess przyjmuje złą wiadomość.

- Żeby go zdobyć, zabili sześciu ludzi. Pana też próbowali otruć, gdyż myślą, że pamięta pan jego treść.

Hess powoli pokręcił głową.

- Nie. Nic nie pamiętam. Oni się mylą.

- Są jednak przekonani, że jest inaczej.

- Czy to prawda? Czy to naprawdę Rosjanie chcieli mnie otruć?

- Tak. Radziecki oficer umieścił urządzenie podsłuchowe w sali odwiedzin. Słyszeli, jak pytał pan pannę Hartmann o dokument i potem chcieli pana zamordować.

- To do nich podobne. Bydlaki.

- Niech pan mi powie, czego dotyczy ten dokument, Herr Hess. Jeśli można tego użyć przeciwko Moskwie, my to zrobimy. I zemścimy się za pana.

Hess spoglądał na swoje stopy. Spoczywały złączone na krześle, obute w szpitalne kaptcie.

- Tam chodzi o Michaiła, prawda? - spytał Strang.
- Co pan o nim wie? - Oczy Hessa zwróciły się na niego.
- Nic. Żadnych szczegółów. Dlatego chciałbym od pana usłyszeć całą prawdę.
- A jeśli powiem, to obieca mi pan, że użyje tego z maksymalnym skutkiem przeciwko

Rosjanom?

- Obiecuje. - Strang przysunął bliżej krzesło, zerkając ponad Hessem na drzwi szafy, gdzie ukryli mikrofon połączony z magnetofonem. Za płytą sufitową, dokładnie nad głową Hessa umieścili drugi mikrofon, tak na wszelki wypadek.

- Nienawidzę Rosjan z całej siły. Przez nich cierpię od tylu lat. Nie dopuszczali do mnie żony ani syna, przez co wszyscy musieliśmy cierpieć.

- Niech pan mi opowie o Michaiłe - powiedział łagodnie Strang.

* * *

Od początku 1933 roku, kiedy władzę w Niemczech przejął Hitler, Stalin i inni przywódcy partii komunistycznej zaczęli się bacznie przyglądać wzrostowi niemieckiej potęgi militarnej. Bardzo szybko doszli do wniosku, że prędzej czy później musi dojść do wojny między Związkiem Radzieckim a zdecydowanie antykomunistycznym państwem Hitlera. Tak więc pod koniec 1934, Stalin rozpoczął rozbudowę Armii Czerwonej.

Od czasów zakończenia wojny domowej w 1920, Armia Czerwona miała w społeczeństwie dość niski prestiż. Korpus oficerski utracił swoje wpływy na rzecz komisarzy ludowych. Wraz z rozwojem sił zbrojnych, morale oficerów rosło, gdyż zyskiwali pewną niezależność od partii. Wśród zdobytych przywilejów był immunitet wykluczający aresztowanie oficera przez służby cywilne bez zgodny komisarza wojskowego.

Jednak z rozbudową Armii Czerwonej w Stalinie narastał niepokój. Prawie dwadzieścia procent oficerów walczyło w wojnie domowej, a wielu z nich miało wysokie stopnie w armii carskiej. Właśnie spośród nich rekrutowali się wyżsi dowódcy. Bardzo nieliczni zawdzięczali swoją pozycję Stalinowi, dlatego nie mieli powodów, aby lojalnie stać u jego boku. Nie można było na nich polegać, gdyby doszło do walki o władzę z opozycyjnymi grupami aparatu partyjnego.

W 1936 roku Stalin wiedział już, że liczni dowódcy Armii Czerwonej popierają Nikołaja Bucharina, przeciwnego stalinowskim metodom narzucania systemu komunistycznego, opartym na masowych zsyłkach i egzekucjach.

W styczniu 1937 Bucharin został aresztowany za zdradę. Przez całą wiosnę Stalin przygotowywał się do rozprawy z korpusem oficerskim. 11 czerwca 1937 aresztowano głównodowodzącego, marszałka Tuchaczewskiego oraz siedmiu innych, wysokich rangą

dowódców. Jeszcze tego samego dnia stanęli przed sądem za zdradę, a nazajutrz zostali straceni. Tak rozpoczęła się wielka czystka w Armii Czerwonej.

Przez resztę 1937 roku i cały następny masowo likwidowano oficerów, aż rozstrzelano połowę ich liczebnego stanu: łącznie 35 000 ludzi. Wśród nich było wszystkich jedenastu Wicekomisarzy Wojskowych, siedemdziesięciu pięciu spośród osiemdziesięciu członków Najwyższej Rady Wojskowej, trzech z pięciu marszałków, trzynastu z piętnastu komendantów armii lądowej. Plutony egzekucyjne zdziesiątkowały wszystkie szczeble dowództwa do poziomu brygady.

Wydarzeniom tym przyglądał się wywiad niemiecki. Ze Związku Radzieckiego docierało jednak bardzo niewiele informacji. Przez całe lata dwudzieste, po sygnowaniu traktatu w Rapallo, armie niemiecka i radziecka ściśle ze sobą współpracowały: niemieccy oficerowie wykładali w akademiach Armii Czerwonej, a radzieccy dowódcy kształcili się w uczelniach niemieckich. Hitler, zaciekle antykomunista, położył jednak kres tym praktykom. Tak więc przez cały 1937 rok wywiad niemiecki wiedział o czystce w Armii Czerwonej tyle, co zdołał przeczytać w gazetach. Większość agentów, jacy dla niego pracowali, stanowili oficerowie, którzy zostali zlikwidowani. Teraz meldunki pochodziły niemal wyłącznie od byłych carskich oficerów w Niemczech i Francji. Jednak pewność źródeł, z których czerpali informacje, pozostawiała wiele do życzenia.

Pewnego popołudnia w początkach września 1938, słabość niemieckiego wywiadu stała się powodem jednego z niekontrolowanych napadów szału Hitlera. W jego górskiej willi niedaleko Berchtesgaden, wokół długiego stołu w sali konferencyjnej czekała na niego grupa współpracowników. Byli wśród nich Hess, Góring, szef Abwehry - admirał Wilhelm Canaris, oraz dowódca SS, Himmler.

Przez otwarte drzwi wszedł Hitler niosąc dwie cienkie teczki. Wszyscy obecni stanąwszy na baczność wyrzucili ramiona w nazistowskim pozdrowieniu. Hitler nawet na nich nie spojrzał. Przeszedł na swoje miejsce przy stole i dopiero wtedy zaczął się im przyglądać. Strzelał spojrzeniem to w jedną, to w drugą stronę. Szybkim ruchem odpowiedział na ich powitanie, tym samym zezwalając im na opuszczenie wyciągniętych rąk. Nie siadał, więc i oni stali wyprostowani. Czekali.

Hitler zacisnął usta, wykrzywił je w podkowę pod czarnymi wąsami, po czym spojrzał na Canarisa. Otworzywszy jedną z teczek wyjął z niej kilka kartek z napisanym na maszynie tekstem. Był to raport Abwehry na temat Armii Czerwonej.

- To pańskie! - Hitler potrząsnął kartkami trzymanymi w ręce wycelowanej w Canarisa.

Białowłosy, ubrany w galowy mundur admirał stał bez słowa. Patrzył na szarpane ruchami Hitlera papiery. Słowa Fiihrera brzmiały jak oskarżenie, nie jak pytanie, dlatego nie odpowiadał.

Hitler rzucił mu raport i kartki poleciały na podłogę za plecami Canarisa. Nikt się nie poruszył.

Z drugiej teczki Hitler wyjął raport wywiadu zagranicznego SS i machnął nim w stronę Himmlera, który stał naprzeciwko Canarisa.

- To pańskie, Himmler!

Dowódca SS zmrużył oczy za binoklami. Miał na sobie, jak zwykle, czarny mundur.

- Tak jest, Mein Fuhrer.

Hitler rzucił mu kartki.

Wszyscy zastygli w bezruchu. Stojący po prawej stronie Hitlera Hess dojrzał na policzkach wodza czerwony rumieniec gniewu. Pomyślał, że był on w pełni uzasadniony. W ciągu ostatnich sześciu tygodni sam dwukrotnie zwracał Hitlerowi uwagę na konieczność usprawnienia działalności wywiadowczej w ZSRR.

Hitler wciąż przerzucał wzrok z Canarisa na Himmlera i z powrotem. Wtem odszedł od stołu i zaczął wściekle deptać strony raportu Himmlera, wciskając w nie obcasy, szarpiąc, kopiąc podarte strzępy na wszystkie strony.

- Oto, ile jest wart pański raport, Himmler! To się nie nadaje do czytania, ale do pucowania butów!

Himmler stał sztywno nie śmiejąc spojrzeć, co wódz robi z jego sprawozdaniem.

Hitler wrócił na poprzednie miejsce i przyciągnął krzesło bliżej stołu. Usiadł dając znak, żeby również zajęli miejsca, co też natychmiast uczynili. Hess zauważył, że mimo ciężkiego oddechu Hitler odzyskuje panowanie nad sobą. Po chwili odezwał się już trochę spokojniej.

- Niech pan zrozumie, Canaris, i pan, Himmler, że wiemy, co się dzieje w Rosji. Ta świnią, Stalin, morduje swoich oficerów. Musimy jednak wiedzieć dokładnie, jakie są tam straty. - Uderzył pięścią w stół. - Musimy! Za kilka lat będziemy walczyć przeciwko bolszewikom, to pewne. Jeśli Stalin nie wyciął swoich oficerów w pień, jest dla nas niezbędne poznanie stanu ich morale. To chyba rozumiałe, prawda?

- Tak jest, Mein Fuhrer - odparł Canaris.

- Zupełnie oczywiste, Mein Fuhrer - dorzucił Himmler.

- Jeśli tak - Hitler znowu uderzył w stół - dlaczego ja nic nie wiem na ten temat!

Canaris zdecydował się na odpowiedź.

- Miałem informatorów wśród oficerów Armii Czerwonej, Mein Fuhrer, ale, niestety, znaleźli się wśród tych, którzy zostali zlikwidowani przez Stalina. A ci, co przeżyli, nie są zbyt chętni do współpracy. Obawiają się, że każdy, kto próbuje nawiązać z nimi kontakt, jest agentem tajnej policji Stalina.

Hitler machnął niecierpliwie ręką.

- Znam te wymówki. Słyszę je już od miesięcy. A pan, Himmler, poczęstuje mnie takim samym alibi?

- Niestety, Mein Fuhrer. U mnie występuje dokładnie ten sam problem.

Hitler oparł zaciśnięte pięści na stole i pochylił się do przodu. Znowu mierzył spojrzeniem na przemian Canarisa i Himmlera.

- To niedopuszczalne. Nakazuję wam przekazać swoim ludziom, że musimy wiedzieć, co się dzieje w armii bolszewickiej. I to dokładnie! Nie będę dłużej tolerował raportów z jakichś zasłyszanych w paryskiej kafejce wyznań zbiegłego carskiego generała, który opowiada, co słyszał od siostry męża swojej kuzynki w... - wskazał ręką na podarte szczątki sprawozdania Himmlera - ... jakieś krymskiej mieścinie. Chcę wiedzieć, co się dzieje w Moskwie! - Krzyknął przy wtórze kolejnego uderzenia w stół.

Wieczorem Hess myślał o tym cały czas. Najpierw siedząc z tyłu mercedesa w drodze z willi do Berchtesgaden, potem w swoim prywatnym wagonie, jadąc do Monachium.

Dziesięć dni później Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało przyjęcie na część nowego radzieckiego ambasadora. Po prawicy Hessa siedział radziecki attache wojskowy, pułkownik Starikow.

Dookoła stołów krążyli kelnerzy serwując wino. Jeden z nich podszedł do Hessa z butelką wody mineralnej i napełnił jego szklankę. To samo nalał Starikowowi. Kiedy się odalił, Hess spytał uprzejmie.

- Pan jest abstynentem, tak jak ja, pułkowniku? - Tego wieczoru spotkali się po raz pierwszy, lecz Starikow zdążył mu już powiedzieć, że jest w Berlinie od pięciu tygodni.

- Tak jest, panie ministrze. - Starikow miał kwadratową twarz i przycięte pod grzebień włosy.

- Jesteśmy w mniejszości, prawda?

- Na to wygląda.

- Pański poprzednik, generał Gusiew, z całą pewnością nie należał jednak do naszego klubu. - Hess popił wody, obserwując Starikowa. Byli mniej więcej w tym samym wieku: czterdzieści cztery lata. Hess pomyślał, że Rosjanin nie wygląda na uszczęśliwionego. - Czy zna pan generała Gusiewa, pułkowniku?

- Znałem go, panie ministrze.

- Jak to?

- Żałuję, lecz on nie żyje.

- Nie żyje? - „Pluton egzekucyjny” pomyślał Hess. - Ależ był tu, w Berlinie, jeszcze dwa miesiące temu. Rozmawiałem z nimi i był w pełnym zdrowiu.

- Był również zdrowy, gdy umierał, panie ministrze. - W głosie Starikowa zabrzmiała gorycz. - Nasi przywódcy polityczni uznali, że nadszedł jego czas. - Popił trochę wody. - Był moim przyjacielem.

- Bardzo przykro mi to słyszeć, pułkowniku. Naprawdę.

- Dziękuję panu.

- Wasza armia straciła w ostatnich miesiącach wielu świetnych oficerów. Musiał pan pożegnać na zawsze wielu przyjaciół.

- Ma pan rację, panie ministrze. Zginęły tysiące wspaniałych ludzi, a wśród nich moi liczni przyjaciele.

Hessowi wydawało się, że Rosjanin miał ochotę o tym porozmawiać, lecz tymczasem wolał nie zmuszać go do dalszych zwierzeń. Skończywszy posiłek wysłuchali przemówienia ministra spraw zagranicznych Ribbentropa, który powitał nowego ambasadora, oraz odpowiedzi radzieckiego dyplomaty, w której zapewniał naród niemiecki o wiecznej przyjaźni rządu i obywateli Związku Radzieckiego.

Kiedy umilkły oklaski, Hess podjął rozmowę z innej beczki. - Pan, oczywiście, wybiera się w przyszłym tygodniu do Grafenwohr, na demonstrację naszych czołgów, pułkowniku? Obserwatorzy wojskowi ze wszystkich ambasad zostali zaproszeni na pokazowe ćwiczenia Pierwszej Dywizji Pancerniej.

- Oczekuję jej z najwyższą niecierpliwością, panie ministrze.

- Będę jechał do Norymbergii moją prywatną salonką. Byłoby mi miło, gdyby zechciał pan przyłączyć się do mnie.

- Dziękuję, panie ministrze. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Skorzystam z zaproszenia.

W następnym tygodniu, jadąc do Norymbergii w salonce Hessa, Starikow opowiadał, jak to jako młody porucznik kawalerii w armii carskiej bił się z Niemcami na frontach I wojny światowej.

- To wielka tragedia, że musieliśmy walczyć przeciwko sobie - powiedział Hess. - A jeszcze większa, że w czasie waszej wojny domowej sami musieliście stawiać czoła bolszewikom. Niestety, w osiemnastym roku nie mogliśmy przyjść wam z pomocą.

Starikow spojrzał na niego uważnie i Hess przestraszył się, że za szybko poruszył ten temat.

- Może nie powinienem tego mówić. Przecież jest pan teraz oficerem Armii Czerwonej. Ale moje słowa wyrażają uczucia i myśli wielu Niemców. Mówię zupełnie szczerze.

Starikow zerknął na drzwi w obu końcach pomieszczenia. Były starannie zamknięte.

- Wiem o tym, panie ministrze. Gdyby wydarzenia przybrały obrót taki, jak pan mówi, historia byłaby zupełnie inna. Słusznie pan jednak zauważył, że teraz jestem oficerem Armii Czerwonej.

Hess pokiwał głową nie spuszczać z niego wzroku.

Z Norymbergii pojechali dalej mercedesem Hessa. W czasie innej jazdy na poligon w Grafenwohr, Hess mówił głównie o pięknych krajobrazach i swojej miłości do gór. Starikow również je uwielbiał. Obydwaj pasjonowali się również muzyką kameralną. Po niedługim czasie stwierdzili, że mają wiele wspólnych zainteresowań.

Przebywali w swoim towarzystwie przez cały okres ćwiczeń. Hess widział, że niemieckie czołgi oraz oddziały piechoty w akcji zrobiły na Starikowie wielkie wrażenie. Po zakończeniu symulowanych walk, zagraniczni obserwatorzy zostali zaproszeni na oględziny sprzętu, a zwłaszcza czołgów. Chodzili wzdłuż rzędów dywizyjnych lekkich czołgów typu Panzer I i Panzer II. Ich załogi, w czarnych kombinezonach mundurowych, stały na baczność przed pojazdami.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Starikow. - Piękne maszyny.

- Chodźmy - zaproponował Hess. - Pokażę panu coś jeszcze wspanialszego.

Pojechali samochodem do odizolowanej części bazy, dokąd zwiedzający attache nie mieli wstępu. Samochód Hessa czterokrotnie mijał posterunki na biegnącej przez las drodze. Mimo, że wartownicy znali przecież Hessa, przed podniesieniem szlabanu każdorazowo sprawdzali dokumenty jego i Starikowa.

Tuż za ostatnim punktem kontrolnym szofer skręcił na położony między drzewami parking. Po pięciu minutach dotarli do miejsca, w którym wycięto część drzew, tworząc w ten sposób równą, kwadratową polankę. Pod rozpiętym, brezentowym dachem stał tam czołg, większy od tych, które brały udział w ćwiczeniach. Nad brezentem umieszczono dodatkową, pokrytą liśćmi siatkę maskującą. Zwisiała zaczepiona o najbliższe drzewo.

- Nazywamy go „Panzer III”, pułkowniku. - Hess wyciągnął rękę w kierunku czołgu - Jeśli pan ma ochotę, proszę go sobie obejrzeć z bliska.

Obeszli pojazd dookoła, po czym wspięli się na wieżę i zajrzeli przez właz do wnętrza.

- Osiąga prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę - odezwał się Hess. - Posiada działo kalibru trzydzieści siedem milimetrów.

- Jest piękny. - Starikow zeskoczył na ziemię i stamtąd przyglądał się czołgowi.

- Chodźmy dalej - powiedział Hess.

Idąc drogą mijali kolejne czołgi tego typu. Stały między drzewami pod wiszącymi sitakami kamuflującymi.

- Niech pan tam spojrzy!

Starikow zobaczył jeszcze większy czołg, ze znacznie potężniejszym działem na wieży.

- Jakie to działo, panie ministrze? Siedemdziesiątka piątka?

Uśmiechnięty Hess skinął głową.

- Siedemdziesiąt pięć milimetrów. Proszę podejść bliżej. Oto „Panzer IV”. Ma taką samą szybkość co „trójka”, ale, jak pan widzi, jest znacznie lepiej uzbrojony.

Znowu weszli na pancerz. Obejrawszy maszynę ze wszystkich stron, stanęli ponownie na ziemi. Hess widział, że radziecki oficer był wstrząśnięty.

- My nie mamy nic takiego - rzekł Starikow. - Zupełnie nic.

- Przy pomocy tych czołgów moglibyśmy zrobić to, czego nie zrobiliśmy w osiemnastym roku - powiedział Hess.

- Pewnego dnia moglibyśmy wam pomóc przeciwko bolszewikom.

Starikow uśmiechnął się niepewnie, ale milczał.

- To kiedyś musi nastąpić, pułkowniku. Obaj dobrze o tym wiemy.

- Tak, panie ministrze. - Starikow ciągle nie odrywał wzroku od czołgu. - To musi nastąpić.

- Zatem pytam: czy pan nam pomoże?

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Informacji.

Starikow nie odpowiedział. Hess obawiał się, że źle ocenił Rosjanina, choć przecież rozumieli się doskonale. Nie wątpił, że się zgodzi. Nagle poczuł, jak atmosfera porozumienia ginie bezpowrotnie. A co będzie, jeśli popełnił błąd? Starikow odwrócił się w stronę, z której przyszli.

- Czy moglibyśmy już wrócić, panie ministrze?

- Ależ oczywiście.

Szli ramię w ramię, mijając stojące wśród drzew czołgi. Hess żałował, że nie poczekał trochę dłużej, aby lepiej poznać Rosjanina. Może wtedy przedstawiłby mu swoją propozycję inaczej, bardziej przekonująco. Zastanawiał się, czy zaproponować mu pieniądze, ale wiedział, że to byłoby największym błędem. Starikow zgodzi się z przekonania, albo nie zgodzi się w ogóle, bez względu na wszystko inne.

- Nie jesteśmy dziećmi - odezwał się Rosjanin. - Obaj zdajemy sobie sprawę, co pan mi zaproponował. Jak może pan oczekiwać, że zdradzę swój kraj?

- Nie pański kraj, pułkowniku. Jemu największe zniszczenia przynosi Stalin. To on jest naszym wrogiem, pańskim i moim, wrogiem mojego kraju i pańskich przyjaciół oraz całego pańskiego narodu. Pan dobrze o tym wie.

Bez słowa przeszli obok ostatniego czołgu, ukrytego na swoim stanowisku w wykarczowanej, leśnej zatoczce. Skierowali się w stronę samochodu i czekającego na nich kierowcy.

- Jakie informacje chciałby pan otrzymywać? - spytał Starikow.

- Cokolwiek, pułkowniku. Wszystko. Teraz najbardziej interesuje nas stan morale pańskich kolegów, oficerów, zwłaszcza po tym, co zrobił Stalin.

- Jestem pewien, że wszyscy oficerowie nienawidzą go tak samo, jak ja. Nie potrafiłbym nawet wyrazić, co do niego czuję.

- Chcielibyśmy dowiedzieć się o nich wszystkiego: kto został rozstrzelany, co myślał ci, którzy przeżyli, dosłownie wszystko.

Starikow kiwnął głową.

- Dobrze. Zrobię to.

Hess wyciągnął do niego rękę. Rosjanin uściśnął ją mocno.

Przez następnych kilka miesięcy Starikow dostarczał Hessowi informacji, jakie napływały z Moskwy do jego biura w ambasadzie, jakie otrzymywał w listach od przyjaciół, lub też pochodzące z oficjalnych komunikatów.

Na początku stycznia 1939, kiedy współpracowali już od prawie czterech miesięcy, Starikow przesłał Hessowi informację, że musi się z nim zobaczyć. Spotkali się w apartamencie berlińskiego hotelu „Aldon”, lokalu, którego używali już na tajne konferencje.

- Mam nowinę - powiedział Starikow. - Nie wiem tylko czy jest dobra, czy zła. Otrzymałem rozkaz powrotu do Moskwy.

- Kiedy pan wraca?

- Pod koniec miesiąca.

- Czy to oznacza kłopoty? - zmartwił się Hess.

Nie chodziło mu tylko o ty, że może stracić cenne źródło informacji. Lubił Starikowa i szanował go.

- Nie wiadomo. Mam się zgłosić do sztabu armii, ale to nic jeszcze nie znaczy. Mogli tak powiedzieć, żeby mnie ściągnąć do kraju, a tam od razu postawią mnie pod ścianą.

- Niech pan zostanie, Igorze. Nie ma pan tam rodziny, w ogóle nikogo. Wobec tego, po co wracać? Byłby pan u nas bardzo wysoko ceniony. Zapewniłbym panu pozycję, na jaką pan zasługuje.

- Dziękuję, panie ministrze. - Starikow pokręcił głową. - Muszę tam wrócić. Być może nie ma powodów do niepokoju. Gdyby chcieli mnie rozstrzelać, nakazaliby mi stawić się w Moskwie natychmiast, a nie daliby mi trzech tygodni na przygotowanie się do egzekucji.

- Pewnie tak. - Hessa wcale nie przekonał wywód Starikowa, który sam również do końca nie wierzył w to, co mówił.

- O ile nie postawią mnie pod ścianą, będę, oczywiście, kontynuował dostarczanie panu informacji. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie pan miał ze mnie znacznie więcej pożytku, gdy zostanę w Moskwie, niż gdybym ciągle przebywał tutaj.

- Rzykuje pan jednak życiem.

- Wielu moich przyjaciół już je straciło. A moje i tak jest pozbawione sensu, z wyjątkiem pomagania panu i pańskiemu krajowi, przeciwnikom Stalina i jego systemu.

- No dobrze. Jeśli pan już podjął decyzję, musimy omówić sposób komunikowania się.

Ustalili częstotliwość, czasy transmisji oraz szyfr. Hess powiedział, że w swojej kwaterze w Pullach zainstaluje radiostację, którą będzie obsługiwał zaufany, lojalny oficer. Hess będzie osobiście kodował i rozszyfrowywał wszystkie nadawane i odbierane informacje, aby zapewnić Starikowowi maksymalne bezpieczeństwo.

Trzy tygodnie później Rosjanin wrócił do Moskwy. Nie został rozstrzelany. Czystka już się skończyła, ale w korpusie oficerskim pozostało tak niewielu wojskowych, że na wolne miejsca należało szybko promować nowych. Starikow otrzymał awans na generała majora i przydział do Sztabu Generalnego Armii Czerwonej.

Hess wybrał sobie oficera sygnałowego w osobie młodego porucznika nazwiskiem Gunther Langkau. Dołączył on do osobistego personelu Hessa i odpowiadał za obsługę tajnej radiostacji, umieszczonej w podziemnym, strzeżonym pomieszczeniu w Pullach.

10 kwietnia 1939 Langkau otrzymał pierwszy zakodowany meldunek z Moskwy. Kiedy Hess go rozszyfrował, okazało się, że był podpisany imieniem, które ustalili ze Starikowem jeszcze w apartamencie „Aldona”: Michaił. Wybrał je Rosjanin, właśnie tak

nazywał się jego wuj, marszałek Tuchaczewski, jeden z ośmiu dowódców, zgładzonych przez Stalina na początku czystki.

* * *

- I to właśnie generał Starikow był Michaiłem? - spytał Strang.

Hess potwierdził ruchem głowy. Spoglądał na swoje stopy, spoczywające na krześle.

- Tak, Igor Starikow.

- Czy on jeszcze żyje, Herr Hess?

- Nie sędzę. A jeśli tak, to jest chyba bliski śmierci. Był w moim wieku.

- Więc to jest właśnie historia, która zostałaby ujawniona, gdyby został pan stracony w Norymberdze?

- Tak. - Hess spojrział na niego spod swoich gęstych brwi, przechyliwszy głowę w bok.

- Nie zgadza się pan ze mną?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale widzę, że tak jest. Ciekawe, co by się stało z Igorem w czterdziestym szóstym. To prawda. Może wtedy jeszcze żył, a może nie. Nie wiedziałem. Niech pan jednak pamięta, że byłem na sali sądowej jako oskarżony o zbrodnie, które w całej historii świata nigdy zbrodniami nie były. Utworzyli prawa po fackie, aby dopasować je do popełnionych czynów. Dlatego zostałem zbrodniarzem, i myślałem, że umrę, bo tego domagali się Rosjanie. Owładnęło mną uczucie nienawiści i nieodparta chęć zemśczenia się na nich, na każdym Rosjaninie. Los Igora wciąż nie był mi obojętny. Często o tym myślałem, ale uważam, gdyby wówczas żył, zaakceptowałby moje działanie i chętnie oddałby swoje życie, aby zachwiać Stalinem i komunistami. A tak by się stało, gdyby mój obrońca opublikował dokument. Igor zrozumiałby. Teraz prawie na pewno nie żyje i moje sumienie jest zupełnie czyste.

Strang ciekaw był, jak Hess zareagowałby na wiadomość, że Michaił działał jeszcze w pięćdziesiątym drugim roku. Od tamtej pory minęło jednak dwadzieścia pięć lat. Hess miał chyba rację, że pewnie już nie żyje.

- Czy on pracował w pojedynkę, Herr Hess?

- Skądże znowu! Powinien pan poznać jakoś jego informacji. Skupił wokół siebie jeszcze innych oficerów.

- Powiedział panu, kim byli?

- Oczywiście! Przesyłał mi nazwisko i życiorys każdego nowego. Miało to dla mnie duże znaczenie ze względu na orientację w wartości napływających od nich informacji, tak, naturalnie, że znałem ich nazwiska.

- Pamięta pan jakieś?

- Pamiętam je wszystkie! Nie było ich tak wiele. Ich nazwiska, daty nawiązania współpracy, stopnie wojskowe i jednostki nigdy nie opuściły mojej pamięci.

- Niech pan mi je poda.

Jeszcze po południu Strang wylądował w Waszyngtonie i z zapisem całego opowiadania Hessa pojechał do Langley. Miał sześć nazwisk, łącznie z generałem Starikowem i szukał ich w bankach informacji, gromadzących biografie oficerów radzieckich. Dane pochodziły z wojennych kartotek niemieckiego wywiadu.

Hess powiedział mu, że generał Starikow zwerbował pięciu dalszych członków grupy „Michaił” w niecałe cztery miesiące po rozpoczęciu działalności, a więc do początku maja 1939. Generał Anton Kalinin ze sztabu wojsk lotniczych został zwerbowany czwartego marca; major Aleksiej Filatow, adiutant dowódcy Kijowskiego Okręgu Wojskowego - dziesiątego marca; pułkownik Andriej Grossman, ze sztabu Piątej Armii Piechoty - ósmego kwietnia; pułkownik Władimir Zamiatin ze sztabu Leningradzkiego Okręgu Wojskowego - trzeciego maja. Oficer sygnałowy, porucznik Nikołaj Boldin został mianowany adiutantem Starikowa dziesiątego lutego, a do grupy przyłączył się dwudziestego ósmego marca, jako radiooperator.

Strang odszukał najpierw dane o Starikowie. Okazało się, że służył w Sztabie Generalnym do dziesiątego sierpnia 1941. Potem został przeniesiony do Państwowego Komitetu Obrony - zespołu planowania strategicznego, który utworzono kilka dni po rozpoczęciu inwazji niemieckiej. Odtąd był pod bezpośrednimi rozkazami Stalina. W Komitecie było od piętnastu do dwudziestu wyższych dowódców wszystkich rodzajów wojsk. W czterdziestym szóstym roku, gdy komitet został rozwiązany, Starikow, już marszałek, otrzymał nominację na szefa Sztabu Generalnego. Zmarł 14 marca 1953 na atak serca w swoim moskiewskim mieszkaniu.

Generał lotnictwa Kalinin służył w Moskwie do września 1942, potem otrzymał dowództwo nad siłami powietrznymi Frontu Bałtyckiego. Zginął w katastrofie lotniczej w listopadzie 1944.

Major Filatow pełnił służbę w Kijowskim Okręgu Wojskowym tylko do końca czerwca 1941. W kilka dni po napaści Niemiec na ZSRR wysłali go na południe, w okolice Odessy, gdzie otrzymał komendę nad jednym z pułków. Po zdobyciu miasta przez Niemców walczył dalej na Krymie, jako dowódca dywizji. Tam też stracił nogę w kwietniu 1942. Tego samego roku 21 listopada został awansowany do stopnia generała majora i przeniesiony do Sztabu Generalnego w Moskwie, w którym służył do końca wojny. Potem otrzymał przydział

do Berlina, jako jeden z komendantów wojsk okupacyjnych. Przebywał tam do 4 grudnia 1948, kiedy to przeszedł na emeryturę, jako generał porucznik. Obecnie mieszkał w Odessie.

Pułkownik Grossman służył w sztabie Piątej Armii Piechoty do 9 kwietnia 1943, kiedy dostał przydział do sztabu Szóstej Armii Gwardii Frontu Woroneskiego. 12 listopada 1944 przeniesiono go do ósmej Armii Gwardii. Zginął w czasie szturm Berlina w kwietniu 1945.

Pułkownik Zamiatin przebywał w Leningradzie przez cały okres oblężenia. 31 stycznia 1944, cztery dni po zakończeniu blokady, ze względu na zły stan zdrowia spowodowany wycieńczeniem i głodem przeniesiono go do służby garnizonowej w sierpniu 1953. Od tamtej pory do teraz mieszkał w Wikowie nad Morzem Czarnym.

Jedynym członkiem grupy „Michaił”, który wciąż czynnie służył w wojsku był porucznik Boldin. Do śmierci Starikowa w 1952 był jego adiutantem, a potem, już jako major, dostał się do Naczelnej Administracji Wywiadowczej Sztabu Generalnego, czyli GRU. Co robił przez następnych parę lat - nie wiadomo. Dopiero 11 marca 1961 został szefem jednego z najważniejszych wydziałów w GRU - Pierwszego Departamentu, odpowiedzialnego za wywiad zagraniczny. We wrześniu 1970 został mianowany zastępcą dyrektora GRU. Miał już wtedy stopień pełnego generała. 30 czerwca 1976 Boldin został szefem instytucji.

Dyrektor CIA, Holmes, siedział w swoim obszernym gabinecie na siódmym, ostatnim piętrze budynku Centrali. Przeczytał raport Stranga oraz wydruki z biografiami członków grupy „Michaił”, nacisnął guzik telefonu wewnętrznego.

- Niech pani poprosi do mnie Stranga. - Zamknął teczkę z dokumentacją.

Sekretarka wprowadziła Stranga do gabinetu.

- Przeczytałem to wszystko. - Holmes położył dłoń na teczce. - Doszedł pan do ciekawych wniosków. A więc okazuje się, że to nie była robota Rosjan. W każdym razie, niezupełnie.

- Nie, sir. Za wszystkim kryje się Boldin. Był osobiście zainteresowany zdobyciem listy nazwisk członków grupy „Michaił”, aby ochronić własną skórę. Dla pewności chciał również sprzątnąć Hessa.

- To niewiarygodne. - Holmes spojrział na teczkę. - Kiedy zmarł marszałek Starikow, Boldin zdecydował się zerwać z nami kontakt i siedzieć cicho. Tak po prostu. Przez wiele lat musiał żyć w ciągłym strachu, że coś kiedyś wyjdzie na jaw i będzie musiał odpowiadać za zdradę.

- Jestem tego pewien, sir. Myślę, że kiedy tylko został szefem GRU, przeszukał tamtejsze kartoteki szukając wzmianki o Michaiile. Musiał znaleźć raport z przesłuchań adiutanta Hessa, które przeprowadzono w czterdziestym piątym roku. Dowiedział się, że Michaił został zwerbowany osobiście przez Hessa, który mógł wciąż pamiętać. No i zdecydował się nie liczyć na jego amnezję.

Holmes uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że na jego miejscu też bym na nią nie liczył.

- Ani ja. - Boże, ale ten Boldin musiał być zdesperowany. - W lipcu kontrolę nad Spandau mają Rosjanie, ale pewnie za późno odkrył związek Michaiła z Hessem, by zdążyć coś przedsięwziąć. Musiał czekać do następnego „rosyjskiego” miesiąca, czyli listopada. Wtedy jeden z jego ludzi założył podsłuch w sali odwiedzin. I tak wszystko się zaczęło.

- Niech mnie diabli. - Holmes klepnął dłonią w teczkę. - Szef GRU. A kiedyś, drań, pracował dla nas.

- Chyba dałby się namówić do podjęcia przerwanej współpracy.

Holmes przyjrzał mu się uważnie.

- Wiemy przecież, jak bardzo stara się ukryć swoją przeszłość. Mamy go w garści. Nie będzie się stawiał, bo nie ma wyjścia.

Poniedziałek 4 lipca 1977

Rozdział 39

W moskiewskiej ambasadzie Stanów Zjednoczonych odbywało się przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości. Wśród zaproszonych gości znaleźli się członkowie radzieckiego rządu i aparatu partyjnego, a także dyplomaci z przedstawicielstw innych krajów.

Strang stał z boku w wielkiej sali balowej w towarzystwie attache kulturalnego - Scully'ego, obserwując przybywających gości. Obydwaj trzymali w dłoniach kieliszki z szampanem, ale mimo że stali tam już od dwudziestu minut, wypili tylko po jednym małym łyku. Bez reszty oddawali się lustracji przybywających.

Do sali wkroczyli radzieccy generałowie z żonami, a za nimi wysoki mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, którego Scully znał jako wysokiego oficera KGB. Mężczyzna złożył mu z daleka lekki ukłon, na co Scully uniósł kieliszek. Znał wszystkich wyższych oficerów radzieckiego wywiadu, a oni wiedzieli, że jest szefem placówki CIA w Moskwie.

- Czy to Boldin? - spytał cicho Strang.

- Nie, to generał Samsonow z KGB.

Strang przyglądał się pilnie nowo przybyłym gościom.

- W Bogu nadzieja, że przyjdzie.

- Będzie tutaj - odparł Scully. - Dostanie go pan.

Strang pociągnął łyk szampana, który był już ciepły i bez gazu, ale nawet tego nie zauważył. Obserwował szerokie wejście do sali balowej. Czekał na spotkanie z Boldinem przez całe dwa miesiące. Holmes nie od razu zgodził się na jego przyjazd do Moskwy. Wolał, żeby rozmowę z Boldinem odbył Scully, gdyż takie rozwiązanie było najprostsze. W końcu jednak uległ. Rozpracowanie Boldina było przecież zasługą Stranga, zgodził się więc, żeby doprowadził sprawę do końca. Tak więc poprzedniego dnia Strang przyleciał do Moskwy.

Do sali balowej wszedł kolejny gość - masywnie zbudowany, ubrany w galowy mundur generała. Poniżej ozdobnych naramienników, na piersiach nosił trzy rzędy medali. - Oto Boldin - szepnął Scully.

Boldin stanął niedaleko drzwi, rozejrzał po sali i kiwnął głową Scully'emu. Przyszedł sam. Scully widział jego żonę tylko dwa razy, wiedział jednak, że generał spędza dużo czasu w towarzystwie wysokiej urzędniczki z GRU.

Boldin dojrzał Samsonowa z KGB, stojącego w grupie kilku osób i natychmiast odwrócił wzrok. Scully wiedział, że nie zbliży się do tej części sali. Między obiema radzieckimi organizacjami wywiadowczymi istniał silny antagonizm: wojskowy GRU przeciwko politycznemu KGB. Rywalizacja ta była już uświęcona wieloletnią tradycją.

- Nie ma co czekać - odezwał się Scully. - Zróbmy to od razu. - Ruszyli przez salę pełną gości w kierunku Boldina.

- Dobry wieczór, panie Scully - Boldin z uśmiechem wyciągnął do niego rękę. Był średniego wzrostu, miał siwe, zaczesane do tyłu włosy.

- Dobry wieczór, generale - Scully podał mu rękę.

- Proszę przyjąć najlepsze życzenia z okazji Dnia Niepodległości. I wielu następnych rocznic.

- Dziękuję. Pozwoli pan, że mu przedstawię: pan Strang.

- Witam pana. - Wymienni uścisk dłoni. - Czy jest pan nowym pracownikiem pana Scully'ego?

- Nie, panie generale. Przebywam tu jedynie z krótką wizytą. Przyleciałem wczoraj z Berlina.

- Urlop?

- Nie. Przybyłem, żeby z panem porozmawiać.

- Naprawdę? - Jediną reakcją Boldina było nieznaczne uniesienie brwi.

Scully rozejrzał się w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca.

- Może przejdźmy kawałek dalej, generale.

Boldin patrzył zaintrygowany, przenosząc co chwilę wzrok z jednego na drugiego swojego rozmówcę.

- Jeśli pan sobie życzy - powiedział.

Przeszli pomiędzy stojącymi grupkami kobiet i mężczyzn. W sali było coraz więcej osób. Po drodze Boldin wziął kieliszek szampana z tacy, którą podsunął kelner.

Scully poprowadził ich do oddalonego rogu pomieszczenia. Gdy stanęli, Boldin duszkiem wypił szampana, co Strang uznał za pierwszy objaw napiętych nerwów.

- O czym chciałby pan porozmawiać, panie Strang? - spytał Boldin.

- Ma pan pozdrowienia od Michała, generale.

Boldin nie okazał prawie żadnej reakcji. Mrugnął tylko szybko, ale to było wszystko. Strang pomyślał, że przyjął cios bardzo dzielnie.

- Michał? Co za Michał, panie Strang?

- Ten, który był pańskim szefem do pięćdziesiątego drugiego roku.

- Proszę wybaczyć, ale obawiam się, że nie rozumiem.

- Rozumie pan doskonale, generale. Wiemy o Michaile wszystko od starego mieszkańca Spandau.

- To chyba jakaś pomyłka. - Boldin starał się mówić z przekonaniem.

- Żadna pomyłka. Żyją jeszcze dwaj pańscy starzy znajomi: generałowie Zamiatin i Filatow. Ich nazwiska mogą zostać przekazane KGB. Szybko przyznają się do wszystkiego i wymieniają również pana.

Boldin spuścił wzrok na swój pusty kieliszek, po czym uniósł go do ust, aby wypić ostatnią kroplę. Spojrzawszy na Stranga, powoli nabrał powietrza.

- Myślałem, że to już skończone, że po tylu latach jestem już bezpieczny.

- Nasze bezpieczeństwo nigdy nie jest pewne, generale, bez względu na mijający czas. Hess nawet w więzieniu otarł się o śmierć.

- I taka ma być moja nagroda? Kiedyś pracowałem dla waszego kraju, a teraz tak mi się odwdzięczacie?

- Nie pracował pan dla nas, ale przeciwko Stalinowi, którego pan nienawidził. To wszystko. W rzeczywistości walczył pan o swoje idee. Wszyscy to robią: komuniści, naziści, czy nawet taki liberalny demokrat, jak ja. Gdy walka o władzę kończy się, pracujemy już tylko dla siebie, a nie dla idei.

- Czego pan ode mnie oczekuje, panie Strang?

- Chcemy, żeby pracował pan dla nas, tym razem naprawdę dla nas.

Boldin obracał w palcach pusty kieliszek.

- Będziemy bardzo dyskretni, generale, co zapewni panu stuprocentowe bezpieczeństwo. Jest pan dla nas zbyt cenny, abyśmy dopuścili do jakiegokolwiek ryzyka.

- Zdaje się, że nie mam wielkiego wyboru.

- Żadnego wyboru, generale.

Wtorek 21 lipca 1987

Rozdział 40

Boeing 737 należący do British Airways zatoczył duże koło, podchodząc do lądowania na lotnisku Tegel. Strang patrzył w okno. W dole widział promienie słońca odbijane w oknach biurowców i dachach samochodów, które poruszały się szybko zatłoczonymi autostradami. Zaszło tu bardzo wiele zmian. Strang widział Berlin po raz pierwszy od dziesięciu lat i był zdumiony ilością nowo powstałych budynków. Miasto nieustannie odradzało się.

Nie można było tego powiedzieć o paru ludziach, których tu znał. Na przykład Kluger. Jego małżeństwo rozpadło się po dwóch szumnych latach. Teraz mieszkał i pracował w Bonn, jako zastępca dyrektora Urzędu Ochrony Konstytucji. Przynajmniej zrobił karierę.

Po kontroli paszportowej przeszedł do hallu dla oczekujących i w tłumie dojrzał Sheehana, stojącego przy punkcie wynajmu samochodów. Wyglądał dokładnie tak, jak opisał się przez telefon: wysoki, szczupły, o wystających kościach policzkowych. Miał na sobie czarne ubranie, fasonem bardzo przypominające mundur. Już z daleka wyglądał na Amerykanina. To rzucało się w oczy. Ktoś powinien mu to powiedzieć.

Strang podszedł do niego przeciskając się w tłumie. Na jego widok Sheehan wyciągnął rękę.

- Jestem Bill Sheehan. Witamy znowu w Berlinie, panie Strang. Dziękuję, że zechciał pan przyjechać.

- Zaciekawilo mnie to, co pan powiedział przez telefon - odparł Strang. - Poza tym pogoda w Londynie jest okropna, więc pomyślałem, że dobrze będzie uciec stamtąd, choćby na parę godzin. - Pokazał ruchem głowy duże okna, za którymi świeciło słońce. - Miałem rację. Już teraz czuję się lepiej.

- Mam nadzieję, że nie zepsuję panu humoru.

- Ja również.

- Woli pan porozmawiać tutaj, czy w samochodzie?

Strang popatrzył na ludzi, którzy stali w kolejce po wynajęcie aut.

- W samochodzie - zdecydował.

Na zewnątrz Sheehan poprowadził do stojącego na parkingu białego BMW.

- Czy chciałby pan dokądś pojechać? - spytał.

- Może później, gdy opowie mi pan o co chodzi. - Strang żywił nadzieję, że Karin będzie w swoim biurze. Zwykle ryzyko, związane z niezapowiedzianą wizytą. Miło byłoby zobaczyć ją znowu.

Wsiadli do samochodu. Strang ocenił, że Sheehan musiał niedawno przekroczyć trzydziestkę, był więc za młody na szefa placówki CIA.

- Czy mówi coś panu imię „Michaił”? - spytał Sheehan. Strang przyjrzał się mu bacznie.

- A powinno? - „Co mogło się stać?”, dodał w myślach. Bogu dzięki, że Sheehan nie wymienił tego imienia przez telefon. Nawet ich bezpieczna linia nie dawała zupełnej dyskrecji.

- Wczoraj stary Rudolf Hess powiedział jednemu z cywilnych, amerykańskich strażników, że w końcu postanowił powiedzieć wszystko, co wie na temat Michaiła. - Sheehan patrzył na swoją dłoń, którą stukał lekko w kierownicę. - Wyraził też nadzieję, że jego czyn nie przeszkodzi w niczym panu Strangowi.

- Cholera - mruknął Strang. Dlaczego Hess zdecydował się na to właśnie teraz, gdy jego sensacyjne oświadczenie mogło wszystko popsuć?

- Skąd on znał pańskie nazwisko?

- Rozmawiałem z nim dziesięć lat temu. Najwidoczniej spotkanie to wywarło na nim duże wrażenie.

- A kim jest ten Michaił?

Strang spojrzał na niego znacząco.

- Przepraszam - rzekł Sheehan. - Nie muszę tego wiedzieć.

Strang pomyślał, że przez dziesięć lat Boldin musiał dostarczać CIA olbrzymią ilość materiałów wywiadowczych. On i grupa, którą utworzył. Dziesięć lat temu, gdy Strang wrócił z Berlina do USA, aby pracować w Langley, w grupie Boldina było jedenastu wyższych oficerów, ze wszystkich rodzajów wojsk. Od tamtej pory przestał się zajmować tą sprawą, chociaż pewnego razu rozmawiał z oficerem, który utrzymywał kontakt z Boldinem. Od niego dowiedział się, że grupa znacznie się rozrosła. Strang zapomniał o całej historii w wirze codziennej pracy: najpierw pięć lat w Langley, potem trzy w Paryżu, jako zastępca szefa. Od ostatniego lata kierował placówką CIA w Londynie. Wiedział tylko, że Boldin wciąż zajmował stanowisko dyrektora GRU. Według radzieckich kryteriów, jako sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna był w najlepszym okresie swojej kariery. Utrzymałby to stanowisko jeszcze przez wiele lat, pod warunkiem, że Hess będzie milczał.

- Takie wyznanie Hessa może nam zaszkodzić. I to bardzo.

- O rany - szepnęła Sheehan. - Nie wiedziałem, czy jego słowa miały jakikolwiek sens, czy też staremu Hessowi pomieszało się w głowie. Nie byłem też pewien, czy warto zawiadamiać o tym Langley.

- Jak najbardziej warto. Ta informacja z pewnością ich zainteresuje.

Hess był wciąż ogarnięty nienawiścią do Rosjan. Została w nim jedynie przemożna żądza zemsty, która musiała narastać przez ostatnie dziesięć lat. W końcu poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Miał już dziewięćdziesiąt trzy lata i ciągle przebywał w więzieniu za sprawą Rosjan. Nie można go było winić za chęć zemsty.

- Dlaczego strażnik powiedział panu o tym?

- Już mówiłem: jest Amerykaninem.

- Personel Spandau nigdy się z nami nie kontaktował - odparł Strang, przyglądając się mu uważnie.

Twarz Sheehana pozostała bez wyrazu.

- Ten strażnik jest inny. Znajduje się na naszej liście płac i to od kilku lat. Przejąłem go, kiedy tu przybywałem dwa lata temu. Jest bardzo cennym źródłem informacji. Musiał zostać zwerbowany już po pańskim wyjeździe.

- Musi pan dopilnować, aby Hess nie przekazał żadnej informacji na zewnątrz.

- Pan zdaje sobie sprawę, że to nie będzie łatwe. Szczelność izolacji Spandau od świata ma wiele słabych punktów.

- Musicie je zlikwidować.

- Wyślę raport do Langley. Niech oni zdecydują, co dalej robić. Czy teraz można pana dokądś podrzucić?

- Nie, dziękuję. - Strang zapatrzył się na deskę rozdzielczą pojazdu. Bardzo chciał zobaczyć się z Karin, ale mając w głowie Hessa, nie mógł do niej jechać. Wyczułaby, że coś jest nie w porządku.

- Lecę z powrotem do Londynu.

Poniedziałek 17 sierpnia 1987

Rozdział 41

Po południu Strang wyszedł ze swojego gabinetu i zjechał windą H garażu ambasady. Zasiadłszy za kierownicą ruszył, minął wartowników z piechoty morskiej, po czym wy dostał

się na Upper Brook Street. Skręcając w Grosvenor Square włączył radio. Podawano wiadomości.

- ... były zastępca Hitlera zmarł dzisiaj w Brytyjskim Szpitalu Wojskowym w Berlinie Zachodnim. Miał dziewięćdziesiąt trzy lata.

Strang objechał plac dookoła i ruszył z powrotem do ambasady.

- Nie wiadomo jeszcze, jaka była przyczyna śmierci, ale Hess cierpiał na dolegliwości płuc, serca i żołądka. Przez ostatnie lata był prawie niewidomy. Spędził w więzieniu ponad czterdzieści lat.

Strang zjechał do garażu, wjechał windą na czwarte piętro i ruszył biegiem do swojego gabinetu. Natychmiast porwał za jeden z telefonów. Obchodząc biurko w kierunku fotela, poprosił centralę o połączenie bezpieczną linią z Sheehanem w Berlinie Zachodnim.

Już po chwili miał go przy aparacie.

- Jak to się stało? - spytał Strang. Sheehan milczał przez chwilę.

- Wygląda na samobójstwo. Jutro będzie oficjalny komunikat, który to potwierdzi.

- W jaki sposób tego dokonał?

- Wyszedł do ogrodu w asyście jednego strażnika - powiedział cicho Sheehan. - Jest tam niewielka oficyna. Hess chciał być przez chwilę sam. Więc strażnik pozwolił mu do niej wejść. Kiedy po kilku minutach zajrzał do środka, Hess leżał z jakimś elektrycznym kablem zaciśniętym na szyi. Udusił się. Zabrali go natychmiast do Brytyjskiego Szpitala Wojskowego, ale na reanimację było już za późno.

Strang trzymał słuchawkę mocno w dłoni.

- Kim był strażnik, który mu wtedy towarzyszył? Amerykanin?

- Tak.

- Ten, o którym pan mi opowiadał?

- Ten sam - odpowiedział Sheehan. O Boże!

- Dziękuję. - Strang odłożył słuchawkę i oparł się w fotelu. Problemy starego Hessa już się skończyły. Długo to trwało, ale było już po wszystkim. Boldin także pozostał bezpieczny, co miało pierwszorzędne znaczenie. Kiedyś Hess pewnie zgodziłby się z takim argumentem. Ale co naprawdę myślał w ostatniej chwili swojego życia?